

RAPORT SPECJALNY

Co Biden powiedział w Warszawie
– oceniają Ziemkiewicz i Warzecha



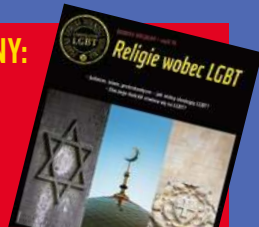
TYGODNIK LISICKIEGO

NR 9/516 27 LUTEGO–5 MARCA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Gdzie się podzieli
obrońcy wolności słowa?

DODATEK SPECJALNY:
JUDAIZM, ISLAM
I PROTESTANTYZM
WOBEĆ INWAZJI
IDEOLOGII LGBT



Zielony komunizm
Rafała Trzaskowskiego
już w stolicy Polski

Watykan w uścisku globalistów

JAK SYNOD REALIZUJE CELE
„ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU”

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



9 772299 850000

Nakład: 52 500 egzemplarzy
eprasa.pl 9a77d2b09f

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI 1943–1953 ZNÓW ZAPOMNIANI

Nie wojna domowa, tylko obrona narodu
przed sowiecką okupacją



KOŚCIÓŁ I KOMUNA – W latach 1945–1950 wzrastał w Polsce terror wobec duchownych i złudzenia prymasa „MARCHLEWSZCZYZNA” – Żadne spośród sąsiadujących z ZSRS państw nie nadawało się do roli „imperialistycznego agresora” tak jak II RP

POLACY BUDOWALI LIPAWĘ – Rosja potrzebowała niezamarzającego portu na Bałtyku. Wybór cara zapadł w II połowie XIX w.

W IMIĘ CELTÓW – Zagorzali separatyści bretońscy założyli podczas drugiej wojny światowej mundury Waffen-SS i wzięli do ręki broń przeciw państwu francuskiemu

ZŁODOWACENIA W POLSCE – Jeśli bylibyśmy w interglacjale wielkiej epoki lodowcowej, to czas ocieplenia – już trwający 11,7 tys. lat – skończyłby się za kilkanaście tysięcy lat

BERBERZY NA ISLANDII – W wiekach XVII i XVIII islamscy piraci uprowadzili i sprzedali w niewolę 1 125 000 Europejczyków. Dotarli nawet pod koło podbiegunowe...

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Najbardziej epokowe przemówienie epoki

Wiem, że nie wypada, ale muszę przyznać, że dawno już się tak nie ubawiłem. Zderzenie z jednej strony rozdętej do maksymalnych granic propagandy, której więksi i mniejsi pracownicy uderzali w tony najwyższe i najpotężniejsze, z krótkim, acz dosadnym komentarzem prezesa Jarosława Kaczyńskiego: „Nic nie powiedział” – toż lepszej komedii nikt nie mógł wymyślić. Nic dziwnego, że władze szybko dostrzegły szkody i uruchomiły Stanisława Żaryna, który orzekł, iż nagranie było „prowokacją”. Być może słowa te ktoś wyrwał z kontekstu lub była to odpowiedź na jakieś konkretne pytanie? A może najzwyczajniej w świecie polityk PiS był zziębnięty oraz zmęczony i po prostu wyrwał mu się to, co naprawdę myśli?

Ciekawe zresztą, jak to się stało, że akurat w tym momencie znalazł się obok niego i nagrał go niejaki Bart Staszewski. Co robili wtedy pan Żaryn i jego służby, skoro, jak sam teraz twierdzi, do najważniejszej osoby w państwie ot, tak po prostu mógł się zbliżyć i ją nagrać znany z prowokacji lewacki aktywista, i to w bezpośredniej bliskości prezydenta USA? Zaczynam dochodzić do przekonania, że służby tak dużo czasu poświęcają propagandzie, że nie mają czasu zajmować się bezpieczeństwem.

Tak czy inaczej słowa prezesa PiS padły, a wystąpienie Joe Bidena było zaskakująco słabe. Retorycznie poplątane, nieskładne, bez jasnej struktury i prostego przekazu. Nie spodziewałem się, co oczywiste, wielkich mądrości, ale amerykańscy politycy, a już szczególnie prezydenci, niezależnie od ich politycznej i ideologicznej proveniencji, są – co się tyczy wystąpień publicznych – mistrzami. To

zaś, co pod oświetlonym reflektorami w kolorach flagi Ukrainy (cóż to za osobliwy pomysł?) Zamkiem Królewskim mówił gospodarz Białego Domu, na pewno mistrzostwem nie było.

Co więcej, niektóre fragmenty były najzwyczajniej w świecie kuriozalne, jak te, w których to Biden opowiadał o swoim przywiązaniu do wolności i gdy stwierdzał, że nie ma słowa „słodsze niż wolność”. Mówił to przecież polityk, który jak żaden inny był odpowiedzialny za najbardziej drastyczne ograniczenia wolności obywatelskich w okresie walki z tzw. pandemią. Dopiero teraz krok po kroku, dzięki kolejnym procesom, dowiadujemy się, na jaką skalę amerykańskie instytucje federalne za czasów Bidena tłumiły wolność słowa i debaty – czyli jaskrawo naruszały pierwszą poprawkę do konstytucji USA.

Joe Biden to przecież ten sam prezydent USA, który swoich republikańskich przeciwników politycznych oskarża już nie tylko o łamanie demokracji, lecz także o faszyzm i, wszystko na to wskazuje, gotów jest używać przeciw nim służb. Ten sam Biden, który ma być ostoją zachodnich wartości, jest przecież najbardziej radykalnym promotorem aborcji tak w USA, jak na świecie, podobnie jak jest też najzgorzalszym orędownikiem ideologii LGBT, która jest właśnie całkowitym i radykalnym zaprzeczeniem wolności słowa i opinii. To przecież Biden odpowiada też za działania FBI, które to pierwszy raz w historii uderzyły w Kościół katolicki, a ściślej w wiernych przywiązanych do Tradycji – nigdy wcześniej amerykańska agencja nie próbowała ograniczać wolności wyznania. Biden jako symbol wolności? Toż koń by się uśmieł. Nie rozumiem zachwytów wielu prawicowych

komentatorów po tym przemówieniu: przecież gdyby tak wychwalała przez prezydenta Bidena USA „wolność” zawitała do Polski, nie byłoby dla nich miejsca.

Jedyny istotny i korzystny dla Polski przekaz dotyczył potwierdzenia zobowiązań sojuszniczych: w przypadku jakiegokolwiek ataku na jedno z państw NATO będzie ono bronione przez wszystkich, przede wszystkim przez USA. Dobrze, że te słowa padły, i z pewnością będą one ostrzeżeniem dla Moskwy. Dobrze, że niezależnie od wszystkiego Polska może liczyć na bezwarunkową solidarność naszego najpotężniejszego sojusznika.

Ztego punktu widzenia ktoś może powiedzieć: ważniejsza niż sama treść przemówienia była po prostu obecność prezydenta USA w Polsce. To prawda. Z drugiej strony jednak i w tym przypadku ogarniało mnie, jakby to powiedzieć, zaambarasowanie. Czy może być coś bardziej żenującego od konkurencji o to, kto ile sekund lub minut rozmawiał lub widział się z amerykańskim politykiem? Swoją drogą nic lepiej nie pokazuje czczości tych wszystkich opowieści o nadzwyczajnej polskiej potęgzie. A także, co smutne, tego, jak łatwo grać na polskich kompleksach i jak łatwo Polakami manipulować. Mam nadzieję, że w rozmowach z Amerykanami stać naszych polityków na więcej.

Na tym miałem właściwie zakończyć, gdyby nie informacja, którą wyczytałem na portalu gazeta.pl. Otóż jeden z polityków opozycji, uchodzący za specjalistę od spraw międzynarodowych, ogłosił tam, że Biden postawił w swym przemówieniu jasny warunek: rząd musi przywrócić w Polsce demokrację. Przeczytałem i padłem. Po prostu istny cyrk Monty Pythona. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 PAWEŁ CHMIELEWSKI
WATYKAN I GLOBALIŚCI
Kościół wchodzi na ścieżkę „inkluzywnej różnorodności”

18 PIOTR SEMKA
PRASKI ZWROT NA „DRODZE SYNODALNEJ”

RAPORT SPECJALNY: BIDEN W POLSCE

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WYKORZYSTAĆ SZANSĘ DLA POLSKI
Koniec niemiecko-rosyjskiego uścisku?

26 ŁUKASZ WARZECHA
**PREZYDENT USA
NIC NIE POWIEDZIAŁ**

KRAJ

28 JAN FIEDORCZUK
**GDY „WOLNE MEDIA”
ODWRÓCIŁY WZROK**
Wolność słowa dla wybranych

31 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
KUSZENIE ŚLĄSKA

32 TOMASZ ROWIŃSKI
WOJNA W OBOZIE NARODOWYM

34 ZUZANNA DĄBROWSKA
HOMOKLAPY

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
SIEĆ PRZEMOCY

KULTURA

38 KRZYSZTOF MASŁOŃ
RUSKIE GADULSTWO
„Wracz”, czyli kto?

42 PIOTR GOCIEK
JAK ZABIĆ STARSZEGO PANA

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
POLSKIE PRZEDMURZE
My możemy zabezpieczyć interesy Zachodu

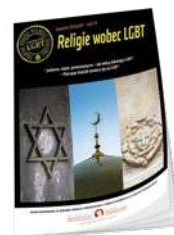
70 WOJCIECH GOŁONKA
**ZAWSZE WSZYSTKO
NA JEDNĄ KARTĘ**

73 MARIUSZ DZIERŻAWSKI
„UKRAIŃCY WALCZĄ ZA NAS”

74 MAŁGORZATA WOŁCZYK
TO JEST NASZA WOJNA

DODATEK SPECJALNY

53
RELIGIE WOBEC LGBT



HISTORIA

76 RAFAŁ ŁATKA
LIDER KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W PRL
Prymas Stefan Wyszyński

ŚWIAT

80 TERESA STYLIŃSKA
DWADZIEŚCIA LAT RECEPA ERDOĞANA
Ostatnie wybory?

84 PIOTR WŁOCZYK
AMERYKA NAPINA ŁUK

86 CHRIS O'NEILL
DYZMA PO AMERYKAŃSKU

EKONOMIA

88 JAKUB WOZINSKI
WIELKI RESET PO WARSZAWSKU
Zielony radykalizm

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jack Pzybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiękiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Oliver Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminski, Dominika Ćosić (Bruszel),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabanski, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Kamila Gola, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadarowski (dobrać zdjęć)
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa
Okładka: Fabrice Coffrini/AFP, Andrew Medicini/AP/East News

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; Joanna Gosek, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 500 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Koniec wójtowych gazet”, Łukasz Zboralski, „DRz” nr 3/2023

[...] jako wieloletnia czytelniczka prasy, również tej terenowej, zawsze ceniłam to, że informowała ona mieszkańców o sprawach dotyczących kwestii lokalnych, którymi nie interesowały się wydawnictwa centralne, jeżeli nie miały one charakteru aferałnego. Ale moja opinia niestety dotyczy czasu przeszłego, ponieważ jakaś czarodziejska różdżka wprowadziła na łamy tego typu periodyków politykę przychylną rządzącej władzy, także tej samorządowej, pozostawiając czytelników samych sobie z problemami bytowymi, czyli tzw. przyziemnymi, pozbawiając ich prawa do opinii oraz wskazywania miejscowych nonsensów i zaniedbań urzędniczych [...]. Obecnie ów głos został zastąpiony peanami na rzecz przedstawicieli samorządu sprawującego władzę na danym terenie oraz płachtami reklam, np. zachęcających seniorów do nabycia środków na potencję czy też innych specyfików wracających ich nabywcom wigor, zdrowie i urodę.

Pojawiły się także, np. w Lublinie, darmowe gazetki wrzucane do skrzynek pocztowych, wychwalające miejscowych działaczy totalnej opozycji, zapewniających na ich łamach o swojej miłości do mieszkańców owego Koziego Grodu oraz gotowości w niesieniu pomocy osobom w potrzebie, ze szczególnym uprzywilejowaniem seniorów. Owe dytrybmy ogłoszone na łamach gazetek lokalnych są finansowane także z budżetu miasta, czyli przez nas.

[...] w całości zgadzam się z tezą autora przytoczonego artykułu, że zbiorowe potrzeby mieszkańców z powodów politycznych przestały być w kręgu zainteresowania prasy lokalnej, która ma na rynku przeciwników w postaci wydaw-

nictw finansowanych przez samorządy zamieszczające polityczne i jednostronne publikacje, o czym można się przekonać, wyjmując ze skrzynki pocztowej, np. w Lublinie, darmową gazetkę szumnie nazwaną „PLATFORMA NEWS”, okraszona wizerunkami uśmiechniętych działaczy PO, przecinających wstęgi, do czego się da, i zapraszających do kontaktów z nimi w każdej sprawie. Mimo że nie byłam zwolenniczką czasów szluznie minionych, zauważyłam, że jeśli chodzi o ówczesne gazety lokalne, to z pominięciem treści propagandowych i sprawozdań z posiedzeń KC PZPR, których nie czytałam, ówczesni dziennikarze nie segregowali czytelników według upodobań politycznych i podejmowali interwencję na łamach dzienników, a także udostępniali je mieszkańcom Lublina do wyrażania opinii, nawet gdy były one nieprzychylnie ówczesnej władzy lokalnej. Niestety, ten dobry zwyczaj od dawna nie istnieje [...].

Z wyrazami szacunku
Jolanta Brzustowska z Lublina

Małgośka, mówię Ci...

Szanowna Redakcjo, zwykle początkiem listu jest fraza „Jestem stałym czytelnikiem Waszego tygodnika” itp., itd. No cóż, ja też jestem, ale jestem również wielbicielem felietonów Małgorzaty Wólczyk i jej lirycznej Małgośki.

Miałem kiedyś przyjemność na bieżąco czytać felietony Stefana Kisielewskiego, który po mistrzowsku, zabawnie i ostro pokazywał, jakie to socjalistyczne jajo jest kanciaste. Podobnie dziś liryczna Małgośka pokazuje kanty na jaju klasy lewicowoeuro-pejskiej. Życzę Pani Małgorzacie, a przede wszystkim sobie, aby wzorem Mistrza, który wydał „Lata pozłacane, lata szare”, ukazały się jej felietony zebrane w jednym tomie.

No i proszę, Mistrz i Małgośka – jakoś tak samo mi się złożyło. Wszystkiego owocnego, Pani Małgorzato!

Pozdrawiam serdecznie
Piotr Selega





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Austria plugawieńka

Ten tytuł to ukłon dla stylistyki Józefa Mackiewicza, który w niezrównany sposób garniował swoją piękną polszczyznę – soczystymi, kresowymi zdrobnieniami. Oto Wiedeń stał się w ostatnich dniach miejscem obrad Zgromadzenia Parlamentarnego Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej. Zimowa sesja tego gremium odbywa się w czasie, gdy mija rok od napaści Rosji na Ukrainę. Rocznicą ta jest tematem obrad Zgromadzenia, przy czym długo nie było jasne, czy brać w nich udział będą przedstawiciele Rosji. Rząd Austrii zdecydował w końcu o przyznaniu wiz delegacji rosyjskiej.

Problem w tym, że 15 osób z delegacji rosyjskiej objętych jest aktualnymi sankcjami Unii Europejskiej, w tym Piotr Tołstoj, wiceprzewodniczący Dumy, niższej izby rosyjskiego parlamentu. Ukraina już długo przed zebraniem ZP OBWE wzy-

wała austriackie władze, by nie wpuszczały Rosjan. Także inne państwa zwracały Austriakom uwagę, że winny respektować unijną „czarną listę”. Jak się okazało w praktyce – Austria jest dziś faktycznym koniem trojańskim Kremla w polityce europejskiej. Jaka jest geneza tej wciąż zaskakującej wielu Polaków rusofilii?

Po wojnie okupowana Austria, podobnie jak Niemcy, podzielona została na cztery sektory okupacyjne – amerykański, angielski, francuski i sowiecki. Wiedeń patrolowały jeepy z czterema żandarmami z mocarstw okupacyjnych. W 1955 r. okupację zakończono za cenę narzucenia Austrii ścisłej neutralności. Ale Rosjanie, choć wycofali się ze swej strefy okupacyjnej, zamienili Wiedeń w swoją centralę szpiegostwa za żelazną kurtyną. A austriaccy biznesmeni zaczęli gustować w roli pośrednika między Zachodem a Wschodem. Upadek

ZSRS w latach 1989–1991 nic tu nie zmienił, tyle że więzy KGB-owskie uzupełniono o rozmaite szemrane interesy z moskiewskimi oligarchami. A po dojściu do władzy Putina znów na pierwszy plan wysunęły się sowieckie tajne służby. Wręcz wyzywającą demonstracją tej wpływowej pozycji Rosji nad Dunajem była w 2018 r. obecność Władimira Putina na weselu Karin Kneissl, ówczesnej szefowej austriackiej dyplomacji.

Ale wszelkie bliższe relacje z KGB-istami są jak pieszczoły z grzechotnikiem. Trudno się spostrzec, a już się jest pozbawionym swobody ruchu. I dlatego Austria jest dziś adwokatem Putina. A cała sprawa powinna być ostrzeżeniem dla Viktora Orbána. To, co wydaje się premierowi Węgier jedynie grą na różnych fortepianach, może z czasem coraz bardziej wiązać ręce. Pokrywa klawiatury może znieśc boleśnie przycięć palce. ©©

POLSKA UMACNIA GRANICĘ Z ROSJĄ

Polska zaczęła rozbudowywać umocnienia na granicy z Rosją i Białorusią. Po informowaniu o tym w ubiegłym tygodniu na Twitterze minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak: „To element naszej strategii obrony i odstraszenia. Pierwsze umocnienia są już rozmieszczane na granicy z obwodem kaliningradzkim” – poinformował szef MON. Tymczasowa zaporę na granicy z Rosją zaczęła być stawiana przez polskie wojsko jeszcze w listopadzie. To zaśleki z drutu tnącego szerokie na 3 metry i wysokie na 2,5 metra. ©©

(luz)



FOT. TWITTER.COM/MBLASZCZAK

Święto, święto i po święcie. Mikołaj Joe wrócił do USA, ale nie zostawił nam zbyt wielu prezentów. Jego wizyta podniosła na duchu dwie grupy. Pierwsza to oczywiście mieszkańcy Ukrainy walczący z rasyzmem. Druga to lokalni działacze PiS, którzy w ostatnim roku mocno zwątpili w sens swojej roboty. Teraz, jak wieść niesie, znów uwierzyli, że można wygrać kolejne wybory. Podpowiadamy stare powiedzenie: Chcesz wygrać wybory? Nie licz na Mikołaja, licz na siebie.

Tak czy inaczej, z okazji wizyty Wujka Joe ułożyliśmy wierszyk o współczesnej sytuacji w europejskiej polityce:

*Raz przeleciał ptaszek,
nad żytem i ryżem.
Biden? Nad Berlinem.
Oraz nad Paryżem.*

Z kancelarii premiera Mateusza płyną inne sygnały. Otóż tam wszyscy z największą uwagą oczekują informacji z resortu finansów. Chodzi o to, kto i ile musi dopłacić do podatku, a kto i ile otrzyma zwrotu. Panuje bowiem przeświadczenie, że od tego właśnie zależy, czy da się wygrać wybory. W skrócie: kto zyskał, a kto stracił na Polskim Ładzie. Wszyscy o nim zapomnieli, a on przecież jest. Jak Wałęsa.

Na Nowogrodzkiej z kolei kolejny problem wewnątrzkoalicyjny. Najwyższą irytację wzbudza u byłego SWP (szeregowego wicepremiera, znanego też jako Naczelnik) bardak w partii Republikańskiej, a zwłaszcza sprawa kasy dla Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, co skończyło się dymisją szefa tegoż ośrodka oraz małym kryzysem w relacjach z bielanowcami. W całej sprawie najciekawsze jest, kto rozpowszechniał na Nowogrodzkiej fragmenty erotycznej książki szefa NCBiR, bo jedyne osoby, które regularnie czytają tam książki, to Jarosław Kaczyński oraz Janina Goss, a ich o taką lekturę nie podejrzewamy.

Skoro jednak temat „Oxford Girls” Pawła Kucha został wywołany, wyjaśnijmy, że ukazała się jako współczesny samizdat po angielsku i pod pseudonimem P.D. Kuch. Powstaje

wiec pytanie: Kto w PiS czyta płynnie po angielsku – i w dodatku powieści erotyczne? My natomiast oburzamy się z innego powodu: autor Kuch nie zna swego miejsca w szeregu. Jedyną osobą, która może napisać prawdziwą opowieść o seksualnych przebudzeniach Oxfordu, jest przecież Radek Sknerus Sikorski.

Żli ludzie z Platformy opowiadają straszne rzeczy o Donaldzie z Sopotu. Nie tylko cieszyć się z robaczych kłopotów Rafcia Trzaskowskiego, lecz także sam miał je inspirować. Tak się bowiem składa, że Donald ma na sercu jedynie dobro PeŁo, a PeŁo to on. Nie Rafcio.

Dla tych, którzy przegapili: Rafcio i jego ferajna wspierają plan C40 Cities: wprowadzenia przez największe miasta świata zakazu jedzenia mięsa, kupowania nowych ubrań i jeżdżenia samochodami tudzież latania samolotami. Proponujemy okres przejściowy. Na przykład 100 lat. W tym czasie Rafcio będzie miał zakaz jazdy samochodem, Radek Sikorski – latania samolotami, Donald z Sopotu – kupowania nowych ubrań, a Bronek Komorowski – jedzenia mięsa. Cała czwórka będzie się też żywiła robalami. Po stu latach ocenimy rezultaty i zdecydujemy, co dalej.

Ponieważ idiotów nie brakuje, już jacyś usłużni dziennikarze kochający Eine Totalopposition zaczęli forsować narrację, że pomysł Rafcia jest świetny, bo dwa miliardy ludzi na świecie już je robaki i jest szczęśliwych. Hm, pomyśleliśmy nad tymi proporcjami. Tak! Pasuje! To mniej więcej 25 proc.

populacji! Czyli tyle, ile wynosi poparcie dla PeŁo w Polsce. No to niech będzie po światowemu: 25 proc. wyborców (ci od PeŁo) będzie jadło robaki, a reszta – normalnie: steki i dewolaje.

Zjedzenia robaków wynika przynajmniej jedna dobra rzecz, chcieliśmy zauważyć. Żeby nikt nam nie zarzucił, że jesteśmy uprzedzeni. Otóż na tej diecie niezależnie od tego, kiedy pijesz, zawsze zalewasz robaka. A to już coś!

Nie wiemy, czy zauważyliście, ale plan zagłodzenia Polski jest już wprowadzany w życie. W Trójmieście. Niejaki Lech Bolek Wałęsa poskarżył się, że dostaje „znacznie mniejsze porcje do zjedzenia na śniadania, obiady i kolacje”. Niby przez żonę i drożyznę, ale wiemy, jak jest naprawdę. Chodzi o powolne przyzwyczajanie do spożywania czegoś naprawdę małego. Jak robaczek lub larwusia.

Wracając do wizyty Wujka Joe, musimy wrócić do Rafcia. Fascynuje nas jego wpis, w którym obwieścił, że przybycie Wujka to „przypomnienie o tym, jaką wartość ma demokracja”. Jesteśmy nieco tępi, więc prosimy o wyjaśnienie. Co dokładnie oznacza to zdanie? W tym kontekście? Że Polska jest demokracją? Ukraina? USA? Że tylko demokracje pomagają? (Jeśli tak, to Polska jest lepszą demokracją od Niemiec). Że warto bronić demokracji? No to czemu Radek i Donald robili reset z Rosją? Otóż, szanowni państwo, słowa Rafcia nie oznaczają dokładnie nic. Tak jak zakłęcia z ery komunizmu o „wartościach humanistycznych”.

Przejdziemy teraz do spraw wymiernych. Wiemy, jaką cenę ma wolność. Chodzi o wolność Piera Antonia Panzeriego, który ubił w styczniu deal z prokuraturą w aferze korupcyjnej. Otóż szczegóły są takie: w zamian za rok w obrączkach elektronicznych, cztery lata w zawiasach oraz milion euro grzywny Panzeri dostarczy nazwiska 10 skorumpowanych eurodeputowanych. Co więcej, nie może skłamać, bo jakby skłamał, to cały deal idzie do kosza. Wiewiórki z Brukseli mówią, że Panzeri śpiewa jak w operze. ©©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Taki mamy klimat

Szeroko nagłośniony raport C40 Cities, poza wszystkim innym, pokazuje, że, jak każdy szwindel, także „ratowanie klimatu” cechuje niezwykła wybiórczość. Innymi słowy, że z dwutlenkiem węgla jak z cholesterolem – jest taki zły i taki dobry.

Zły to ten, który emitowany jest przez rolnictwo, budownictwo, tańsze samochody spalinowe (ale luksusowe marki to co innego) czy podróże. Natomiast np. dwutlenek węgla wytwarzany przy ładowaniu baterii elektrycznych samochodów, produkcji fotowoltaiki albo wytwarzaniu z węgla lub gazu wodoru (choć powstaje go wtedy więcej niż z tegoż samego węgla czy gazu spalania) – to dwutlenek dobry, niemal tak dobry, jak ten rozpylany

przez prywatne odrzutowce Billa Gatesa i innych walczących o klimat cyfrowych magnatów.

Eksperci C40 i innych gremiów wyliczają, o ile trzeba ludziom zmniejszyć spożycie mięsa, zużycie ubrań i swobodę poruszania się, ale próżno szukać śladu chęci ograniczania dostępu do usług oferowanych przez owych magnatów. Jedno wyszukanie hasła w Google to emisja równa zagotowaniu czajnika wody, a takich wyszukiwań notuje się 4 mln na minutę. Samo tylko oglądanie w Internecie pornoli generuje rocznie tyle samo CO₂, co cała Belgia – i to licząc same komputery, bez uwzględnienia wzrostu emisji, ujmijmy to, biologicznych. Czy zamiast zakazywania jedzenia mięsa nie lepiej byłoby zacząć walkę

o klimat od likwidacji branży porno? Jakoś nikt tego nie postuluje. Tym bardziej nikt nie dybie na swobodę innych streamingów, serfowania, scrollowania i spamowania.

Emisja CO₂ przez przemysł i usługi cyfrowe ukrywana jest w ogólną pozycję „energetyka”, ale jeśli policzyć osobno, to Internet już dziś wytwarza prawie półtora raza więcej „gazów cieplarnianych” niż transport lotniczy, a wszak do roku 2025 ma ponoć odpowiadać za 20 proc. całego światowego zużycia energii. Jest na czym oszczędzać. To dlaczego pan Trzaskowski i jemu podobni nawet nie próbują?

Jak mawiał był Kisiel: „No zgadnij, kotku”. ©©

Więcej o raporcie C40 Cities na stronie 88.

OD POCZĄTKU

Fundamentalna rewizja trwa



MAREK JUREK

ZRzymu przysły kolejne restrykcje wobec Mszy tradycyjnej. Młodzi księża muszą do Rzymu zwracać się o „zezwolenie” na jej odprawianie i w tym samym trybie mają być kontrolowane decyzje biskupów o celebrowaniu liturgii tradycyjnej w kościołach parafialnych, nawet sporadycznie.

Tomasz Rowiński, w swej właśnie wydanej książce „Turbopapiestwo. O dynamice pewnego kryzysu”, łączy te szyskany z faktem, że katolicy tradycji łacińskiej stali się najbardziej konsekwentną grupą sprzeciwu wobec „fundamentalnej rewizji” nauczania Kościoła. Umieszczone w cudzysłowie określenie nie jest moją

inwencją. To deklaracja intencji kardynała Jeana-Claude’a Hollericha SJ, przewodniczącego COMECE (Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej), męża zaufania Franciszka, mianowanego przezeń relatorem Synodu.

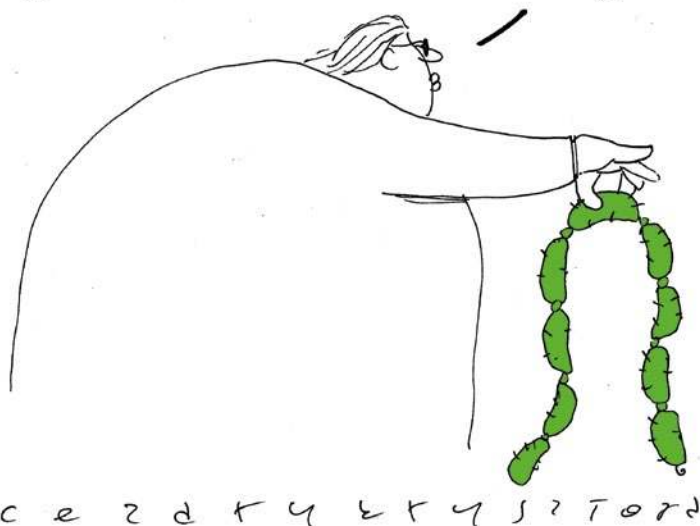
Obserwacja zawarta w „Turbopapiestwie” jest bardzo trafna. Ojciec Święty, owszem, chętnie słucha krytyk, ale rzeczy, które sam krytykuje. Istnieje jednak jeszcze prostsza przyczyna niechęci do tradycjonalistów, wynikająca nie tylko z tego, co robią czy mówią, ale po prostu z tego, kim są. Przeprowadzane w Stanach Zjednoczonych badania socjologiczne wykazały, że podstawowe zasady katolickiej teologii moralnej

(rzeczywiście szeroko dziś kontestowane wśród katolików, z Joem Bidenem i Nancy Pelosi na czele) we wspólnotach tradycyjnych są powszechnie i z przekonaniem wyznawane. W ten sposób wspólnoty wiernych Tradycji samym swym istnieniem, zwyczajnym życiem po prostu, zadają kłam fantomowi Człowieka Współczesnego, którego oczekiwania mają usprawiedliwiać „fundamentalną rewizję” katolicyzmu.

To tyle na temat okoliczności społecznych, które ostatecznie, mimo realnej wagi, są drugorzędne. Prześladowania Mszy tradycyjnej są bowiem w istocie prześladowaniem Kościoła i to jest w tej sprawie najważniejsze. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Mamy kielbasę wybotczą, ale
tylko taką ze święszczy...



c e z a r y k r y s z t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O młodzieży **chowaniu**

Nie wiem, jak w innych krajach, ale w Italii do aktywnego udziału w życiu politycznym i społecznym ambitni nauczyciele wychowują uczniów od dziecka, naturalnie na swój obraz i podobieństwo. W wymyślonych przez boską Grekę piątkowych strajkach szkolnych i wiecach udział brali całymi klasami uczniowie podstawówek pod światłym przewodnictwem pedagogów. Co więcej, zdarza się, że młodzież w tym wieku za sprawą zaangażowanych nauczycieli bierze udział w politycznych spędach, które trudno nazwać inaczej niż egzorcyzmami wypędzania demona faszyzmu.

W szkołach średnich, w ramach przygotowania do życia obywatelskiego, kolektywy uczniowskie biorą sprawy w swoje ręce i jeśli

im się coś nie podoba, to proklamują strajk szkolny z okupacją szkoły włącznie. Nie tak dawno temu w jednym z prestiżowych rzymskich liceów podczas strajku okupacyjnego uczniowie zdemonstrowali łazienki, raczyli się używkami i prowadzili dość aktywne życie seksualne, zamieszczając potem pikantne sceny sfilmowane telefonem w sieci. Hasłem strajku było: „Jesteśmy antyfaszystami”.

Naturalnie wielu włoskich licealistów prowadzi bardzo zaangażowaną działalność polityczną. Istnieją uczniowskie stowarzyszenia prawicowe i lewicowe, związane z partiami politycznymi. Odbywają się dyskusje, demonstracje i agitki. We Florencji prawicowa „Akcja Studencka” (we Włoszech studentami nazywani są również uczniowie

szkolni) sześciu aktywistów, w tym trzech nieletnich, przeprowadziła rano akcję ulotkową pod jednym z liceów, co nie spodobało się uczniom lewicowcom, ale zamiast do wymiany poglądów doszło do wymiany ciosów. Zaatakowali aktywistów, doszło do zbiorowego mordobicia i kopania w twarz powalonych na ziemię. Filmiki z bójki natychmiast trafiły do sieci, a następnie do telewizji RAI, zdominowanej przez lewicę. Z twórczo przemontowanego filmu wynikało, że pięciu młodych faszystów pobiło postępową młodzież. I oczywiście jak zawsze wyszło na to, że za zajścia odpowiada Giorgia Meloni.

Jak się bić, włoska młodzież uczy się w szkole, a jak kłamać – z telewizji. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

TO TEN NIEFART

Są tacy ludzie, którzy mają w życiu po prostu wielki niefart. Jakby się starali, to zawsze pójdzie coś nie tak. Niby już ich sytuacja wychodzi na prostą, a tu znowu kolejny kłops. I weź się człowieku tłumacz po raz kolejny, i weź znikaj z mediów, aby wyciszyć sprawę. Takim typem jest bezsprzecznie aktor Antoni Królikowski. Gwiazdor ma na koncie liczne konflikty z prawem. Niedawno „Królik” świętował swoje 34. urodziny, co ogłosił światu po dłuższej nieobecności na



FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

Instagramie, spowodowanej z kolei burzą w jego życiu prywatnym (zostawił żonę z malutkim dzieckiem i wdał się w romans z pewną prawniczką). Szybko jednak świętowanie skończyło się źle, ponieważ Antka zatrzymała policja. „Kierowca został przebadany pod kątem alkoholu. Był trzeźwy. Natomiast narkotest wykazał, że znajduje się pod wpływem środków odurzających” – poinformował w sobotę PAP Bartłomiej Śniadała z Komendy Stołecznej Policji. I tu zaczynają się schody – media twierdzą, że do zatrzymania doszło przed klubem na warszawskiej Woli, gdzie miała odbyć się jego impreza urodzinowa. Z oświadczenia Królikowskiego wynika, że

był w drodze do mieszkania Joanny Opozdy, czyli matki jego dziecka. – Do zatrzymania doszło ok. 16 przy ul. Karolkowej 16, zaraz po tym, jak wyjechałem z mojego mieszkania do Asi, aby spotkać się z synkiem. Funkcjonariusze z uwagi na otrzymane zgłoszenie, że o tej godzinie i w tym miejscu pojawię się rzekomo pod wpływem nielegalnych substancji, czekali na mnie w okolicy miejsca zamieszkania – wskazał aktor w oświadczeniu, sugerując, że cała akcja była „nagrana”. – Zostałem zatrzymany do kontroli, alko-test wykazał, że jestem trzeźwy, jednak narkotest wykrył THC, którym wspomagam swoje leczenie i którego używałem poprzedniego wieczoru. Wykonano badanie krwi, oczekujemy na wyniki. W przypadku regularnego stosowania medycznej marihuany, nawet w małych ilościach, stężenie może się utrzymywać, mimo że w dniu zatrzymania nie używałem konopi – wyjaśnia gwiazdor. My też czekamy na wyniki. Jeśli wyjdzie, że było to nie tylko THC, to wszystko można zwalić na niefart. Nie ma za co.

OBROŃCY
„KRÓLIKA”

„Królik” i jego sprzymierzeńcy będą się trzymać narracji, że to wciąż-nie-była-żona-i-matka-dziecka Joanna Opozda nasłała na 34-latkę policję. Na Instagramie Izabeli, czyli nowej wybranki serca Antoniego, pojawiła się seria niezwykle wymownych relacji InstaStories. Prawniczka opublikowała m.in. zdjęcie z kubkiem kawy w ręce i podpisem: „Smacznej kawusi, j...ac kapusi”; zdjęcie psa w samochodzie z podpisem: „A Marysia nie ma uprawnień” oraz mema: „Sprawdzone źródło? Moja intuicja. Jak dotąd niezawodna”. Do chóru obrońców Antoniego dołączyła Maryla Rodowicz. – Marihuana powinna być zalegalizowana i nie byłoby problemu – stwierdziła wokalistka w jednym z wywiadów. Jednak gdy usłyszała, że dopiero badanie krwi wykluzy obecność innych narkotyków, Maryla ucięła rozmowę.

MARYLA DO SEJMU!

To samo powinna zrobić podczas słynnego już wywiadu, w którym „kąsała dłoń, która ją karmi”, a dokładniej TVP. Słowa Rodowicz

na temat „reżimowej TVP” musiały mieć jakieś konsekwencje. Menedżer Maryli został wezwany „na dywanik”. – Wiem, że mój menedżer był czołgany i wzywany na dywanik. Pytali go: „Kto jej to kazał powiedzieć i kto jej to podpowiedział?” – wyznała gwiazda dziennikarom. Co ciekawe, w trakcie wywiadu do Rodowicz dołączył wspomniany menedżer, który szybko naprostował słowa Maryli. – Prowadziliśmy sympatyczne, konkretne i miłe rozmowy. I to jest najważniejsze, że wszystko się dobrze skończyło – powiedział Bogdan Zep, dając do zrozumienia, że Rodowicz nie musi obawiać się o swoją posadę w programie „The Voice Senior”. Warto odnotować, że sama piosenkarka próbowała wcześniej gasić wywołany przez siebie pożar i przekonywać, że ta TVP wcale nie jest taka zła. – Nie chciałabym stracić tej pracy, telewizja to jest moje ulubione medium. Nie ma dla mnie znaczenia, czy to jest TVP, czy Polsat, po prostu bardzo lubię telewizję. Może dlatego, że jestem wychowana w czasach, gdy była tylko telewizja od lat 70. – wyjaśniała. Świetny postulat. Jeśli ktoś coś bardzo lubi, to należy mu to zapewnić. Maryla do polityki!

ZARAŻA NASZYCH
CZASÓW

Na koniec nieco poważniej, bo temat jest poważny. Nie pomagają apele i napomnienia – celebryci wciąż nagrywają się w czasie prowadzenia auta. Niekiedy mając na pokładzie całą rodzinę. Na Instagramie można znaleźć setki przykładów. Bywa, że kończy się naprawdę źle. Polska streamerka, funkcjonująca jako Sidneuke, podczas jazdy samochodem, zamiast patrzeć na drogę, spoglądała w ekran. Potrąciła psa w czasie prowadzenia transmisji na Twitchu. Cóż za ironia losu – chwilę wcześniej zauważyła, że po ulicy biega dużo psów. – Jezus, ile tu psów, pewnie jakaś ma cięzkę – marudziła. Patrzyła na trzymany w ręku smartfon, gdy nagle rozległa się stuk i piski. – Kur... przejechałam psa! – krzyczy streamerka. Dumnie w czasie jazdy mizdrzyła się też niedawno do ekranu Grażyna Szapołowska. Policja, po zgłoszeniu internautki zapowiedziała, że podejmie czynności wyjaśniające. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, udało Wam się przeżyć Popielcową Osobowość i pierwsze dni Wielkiego Postu? My, of kors, jak dobrze wiecie, jesteśmy kolektywem świeckim i postępowym, ale niestety nasz supervisor Nowy z Tarnowa postanowił nam zrobić sojusz tronu (tzn. swojego krzesła z popularnej szwedzkiej sieciówki) i ołtarza (a tak właściwie księdza proboszcza z pobliskiej parafii).

Polega to na tym, iż nie dość, że w Popielec proboszcz z Nowym posypywali nam głowy popiołem i krzyczeli, iż w proch się obrócimy (WTF?!), to jeszcze skonfiskowali nam drugie śniadanie, przypominając, iż w tym kraju tego dnia tylko dwa posiłki lekkie i jeden do syta.

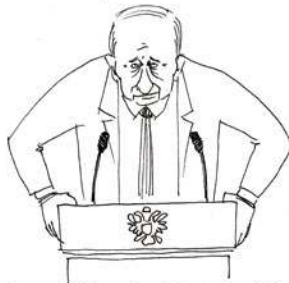
Jednak ich miny na widok naszych wegańskich kanapek z seitanem i sałatek z tofu wynagrodziły nam parę godzin głodu. Myśleli, że złapią nas na próbie zjadania kielbasy w dzień postny – a za to pewnie groziłyby nam karne rekolekcje lub przynajmniej jakaś droga krzyżowa.

Kiedy myśleliśmy, iż na tym się skończy, Nowy zadeklarował, iż będzie wprowadzał u nas grywalizację – kto zbierze od proboszcza najwięcej pieczętek za udział w wielkopostnych nabożeństwach, ten dostanie dodatkowy dzień wolny na Spring Holidays.

Z jednej strony – nie powiemy, kusi. Z drugiej – to jednak indoktrynacja

i kwestia taka, czy się damy sprzedać za dzień urlopu. Of kors nie mamy niczego przeciwko sprzedawaniu się, iż każdy może swobodnie dysponować, ale zastanawiamy się, co by nam dorzucił, jakbyśmy faktycznie pochodzili na jakieś rekolekcje.

Jest dobrze... wręcz rewelacyjnie...



ce 2 d r y k r y z t o n z

Brytyjskie firmy testowały cztero-dniowy tydzień pracy i okazało się, co za zaskoczenie, że to działa. Jesteśmy gorącymi zwolennikami skracania wymiaru pracy w tygodniu, ale of kors z zachowaniem prawa do pełnego wynagrodzenia. Dzięki temu możemy mieć więcej czasu na rozwijanie siebie, a więc oglądanie coachingu czy astrologii na jutubie, Netflixa, chillery na mieście z przyjaciółmi itd.

Zastanawiamy się natomiast nad tym, co by było, gdybyśmy poszli o krok dalej – tzn. skrócili tydzień roboczy do

trzech dni. Gdyby się okazało, że w sumie to wszystko spoko, świat się nie zaczął kręcić w drugą stronę, a pracę straciło jedynie kilku menedżerów średniego szczebla (pozdro, Nowy xD), to może warto byłoby pójść o jeszcze kolejny krok dalej – i skrócić tydzień do dwóch dni?

I znów: wyobraźmy sobie, iż nic się nie dzieje. Pracujemy wydajnie i skrupulatnie, bo pięciodniowy weekend jednak jest realną korzyścią, a nie obietnicą premii za przychody. I pracujemy tak wydajnie, że jednodniowy tydzień pracy byłby w sumie naturalnym kolejnym etapem.

A wtedy ten jeden dzień roboczy, to wiadomo – przychodzi się po sześciodniowym weekendzie do pracy, trzeba zrobić kawę, pogadać z resztą kolektywu, sprawdzić pocztę, zrobić kawę, wyjść na e-papierosa, napisać maila, nie zdążyć go wysłać, bo już 16 i znów weekend.

To powiedzcie sami, czy praca na aż takiej intensywności ma sens? Czy już nie lepiej dać sobie spokój i po prostu odpuścić to całe pracowanie? Of kors dotyczy to tylko zawodów korporacyjnych, umysłowych. Ktoś nam przecież musi produkować dobra, które będziemy w rozległym czasie wolnym konsumować, nie? @@



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Kawa dla prezydenta

Rafał, jak to w końcu było, jak się z Bidenem spotkałeś?

Oj, Borys, no jak było? Dobrze było. Biden zszedł ze sceny, na schodach go złapałem. Mówię mu:

„Dzień dobry, panie prezydencie, ja też jestem prezydentem”.

Po polsku mówisz?

Jasne, że nie. Po angielsku. A ten na mnie tak patrzy nieprzytomnie i mówi: „Endrju?”. No to mu mówię, że nie Endrju, tylko Rafał.

No wiesz, ty wcale do Adriana podobny nie jesteś.

Ale słuchaj dalej. On patrzy na mnie i mówi: „To już Waszyngton?”

Przynieś mi kawę do Gabinetu Owального”.

Po polsku mówi?

Nie, po chińsku.

Po chińsku?!

Na litość. Po angielsku przecież.

I co?

Co miałem robić? Przyniosłem mu tę kawę. @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

[...] nie chciał się spotkać z naszym autokratą”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze, o tym, że prezydent USA nie spotkał się oddzielnie z prezesem PiS

Fakty i mity o Lasach Państwowych

TRWA MASOWA WYCINKA POLSKICH LASÓW

NIEPRAWDA

W rzeczywistości:

- pozyskiwanie drewna w ostatnich latach znacząco się zmniejszyło. Oto dane Głównego Urzędu Statystycznego (pozyskanie drewna):
2018 r. – 45,59 mln m sześć.,
2019 r. – 42,36 mln m sześć.,
2020 r. – 39,67 mln m sześć.
(to 13 proc. mniej niż w 2018 r.);
- nadleśnictwa pozyskują drewno

zgodnie z planem zatwierdzanym raz na 10 lat przez Ministerstwo Środowiska. Nie mogą go zmienić, niezależnie od cen i popytu na drewno;

- leśnicy pozyskują tylko trzy czwarte tego, co w ciągu roku urośnie, reszta rok w rok zwiększa zasoby leśne. Oto dane Głównego Urzędu Statystycznego (powierzchnia lasów):
1990 r. – 8,69 mln ha,
2021 r. – 9,46 mln ha;

- zasoby drewna w Polsce są ponad dwukrotnie większe niż pół wieku temu. Wynoszą 2,5 mld m sześć., co daje nam piąte miejsce w całej Europie.

LEŚNICY SPRZEDAJĄ POLSKIE DREWNO DO CHIN

NIEPRAWDA

W rzeczywistości:

- Lasy Państwowe nie eksportują drewna;



- sprzedają 70 proc. drewna stałym od lat kontrahentom. 30 proc. na aukcjach;
- leśnicy nie mają wpływu na to, co się potem dzieje ze sprzedanym drewnem. Jest wolność gospodarcza i każda firma może sprzedać takie drewno za granicę;
- Polska jest krajem tranzytowym dla zagranicznego drewna. Takie drewno przejeżdża tirami lub pociągami przez nasz kraj, m.in. do portów nad

Bałtykiem, skąd jest wysyłane np. do Chin. To nie są polskie drzewa.

LEŚNICY SPECJALNIE PODNOŚĄ CENY DREWNA I ZARABIAJĄ KROCIE

NIEPRAWDA

W rzeczywistości:

- system sprzedaży drewna w Polsce jest taki sam od 13 lat. Polega na sprzedaży głównie stałym kontrahentom, po niezmiennych cenach, regulowanych raz na rok;



Lasy Państwowe

- leśnicy nie mają wpływu ani nie ponoszą odpowiedzialności za działania prywatnych firm, które windują ceny drewna i produktów drewnianych w sklepach;
- przykład: cena drewna, z którego robi się płyty OSB, wzrosła w 2022 r. tylko 3 proc., tymczasem cena płyty OSB w sklepie wzrosła już o 1000 proc.

LASY PAŃSTWOWE WPROWADZAJĄ OPŁATY ZA WSTĘP DO LASU

NIEPRAWDA

W rzeczywistości:

- nieodpłatny i powszechny wstęp do lasów gwarantują ustawy, leśnicy nie mogą ich naruszać;
- w związku z organizacją dużych, masowych imprez komercyjnych nadleśnictwa ponoszą dodatkowe koszty i incydentalnie muszą rekompensować je niewielką opłatą od organizatorów;
- opłaty za wstęp pobierają jedynie parki narodowe.

POLSKIE LASY POMAGAJĄ W WALCE Z OCIEPLENIEM KLIMATU

PRAWDA

- drzewa to naturalne „pochłaniacze” dwutlenku węgla, który jest odpowiedzialny za wzrost średniej temperatury;
- hektar lasu pochłania od kilku do kilkunastu ton CO₂ rocznie;
- drzewa pochłaniają dwutlenek węgla w fazie rozwoju, najwięcej magazynują drzewostany w średnim wieku. Drzewa stare, obumierające lub rosnące zbyt gęsto przestają magazynować CO₂, a zaczynają go emitować do atmosfery. Na przykład Puszcza Białowieska emituje więcej CO₂, niż go pochłania;
- aby jak najlepiej wykorzystać polskie lasy do walki z ociepleniem klimatu, Lasy Państwowe powołały Leśne Gospodarstwa Węglowe, które pod kierunkiem naukowców wprowadzają w lasach projekty zwiększające pochłanianie CO₂ i zmniejszające uwalnianie gazów cieplarnianych do atmosfery.



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki zmienia się intensywnie od 60 lat – i w najbliższym czasie będzie się zmieniać nadal, w coraz większym stopniu. Przeobrażenia wymusza wroga chrześcijaństwu rzeczywistość. Jednak zamiast umacniania katolickiej tożsamości obserwujemy coraz bardziej bezrefleksyjne otwarcie na współczesne ideologie. Motorem wprowadzania tych zmian jest bezprecedensowy proces synodalny

To oczywistość: świat, który narodził się po drugiej wojnie światowej, jest zupełnie inny niż ten, w którym Kościół funkcjonował przez ostatnie wieki. Zniknęła potęga polityczna katolicyzmu; Kościół nie ma też możliwości formowania masowej kultury. Myślenie w kategoriach pozachrześcijańskich stało się dominujące w większości społeczeństw. Wypracowane przez stulecia struktury kruszą się z wielką gwałtownością; dowodów na to nie brakuje także w Polsce. Kościół katolicki w oczach świata przestaje być świadkiem zmartwychwstałego Chrystusa; jawi się raczej jako jedna z wielu tzw. faith-based organizations – międzynarodowych organizacji opartych na wierze. W takiej roli widzą go wielcy globalni gracze, a Stolica Apostolska chętnie tę rolę przyjmuje.

Od kilku tygodni w Polsce trwa debata nad unijną promocją jedzenia owadów. Tylko czekać, kiedy do apeli o spożywanie mąki ze świerszczy przyłączy się sam papież Franciszek: już w lipcu ubiegłego roku suweren Watykanu wzywał młodzież europejską do „redukowania nie tylko zużycia paliw kopalnych, lecz także do mniejszej konsumpcji mięsa”, co miałoby ratować środowisko.

W 2020 r. Ojciec Święty przesłał niezwykle serdeczny list gratulacyjny do prezesa Światowego Forum Ekonomicz-

Watykan i



globaliści



nego, Klausa Schwaba; z okazji 50-lecia istnienia tej organizacji dziękował za „poszukiwanie innowacyjnych dróg budowania lepszego świata”. Niedawno papież ogłosił się, że zjawiskowa rezydencja letnia papieża, XVII-wieczny pałac położony nad jeziorem Albano w Castel Gandolfo, zostanie zamieniona na centrum edukacji ekologicznej. Pod nową nazwą „Borgo Laudato Si” – nazwa nawiązuje do słynnej ekologicznej encykliki Franciszka – funkcjonować będzie cały kompleks, zarówno sam pałac, jak i przynależące do rezydencji pola uprawne. Kto wie, może 60. rocznica Światowego Forum Ekonomicznego będzie celebrowana właśnie w „Borgo”, a uczestnikom zaszerwowane zostaną ekologiczne potrawy z szarańczy, postrzeganej teraz już bynajmniej nie jako biblijna plaga?

Watykan w ostatnich latach niezwykle chętnie włącza się w takie wielkie globalistyczne wydarzenia. Gdy świat prześladowała pandemia COVID-19, stał się przecież scenariusz licznych konferencji poświęconych wizji świata „po pandemii”; Stolicę Apostolską odwiedzali zarówno czołowi światowi promotorzy szczepionek, jak i szef Pfizera Albert Bourla, a także przedstawiciele rodziny Rothschildów, którzy razem z papieżem opracowywali plan zaprowadzania „inkluzywnego kapitalizmu”. Obecnie w ramach Papieskiej Akademii Życia nad tworzeniem „włączającej gospodarki” trudzi się choćby ekonomistka Mariana Mazzucato, której „inkluzywność” nie obejmuje jednak dzieci nienarodzonych – Mazzucato popiera aborcję, ale dla nowego globalistycznego kursu Watykanu jej optyka nie stanowi większego problemu.

Budowanie nowego, lepszego świata przez Stolicę Apostolską nie ogranicza się tylko do płaszczyzny ekologii, ekonomii, migracji czy sanitarystyki. Dotyczy również przestrzeni ściśle religijnej. Już 1 marca 2023 r. w stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Abu Zabi, otwarty zostanie przełomowy projekt Watykanu. To Dom Rodziny Abrahamowej, wspólny kompleks religijny trzech religii – katolicyzmu, judaizmu oraz islamu. Obok siebie stanęły kościół, synagoga i meczet połączone ogrodem i budynkami muzeum.

Ideę tego synkretystycznego w swojej wymowie projektu wymyślił sam papież w 2019 r., podpisując niesławny „Dokument o ludzkim braterstwie”

FOT. ANTONIO INFELLO/CETTY IMAGES

■ z egipskim imamem Ahmedem Al-Tayyebem; w tekście zapisane zostało zdanie zawierające herezję pluralizmu religijnego – Bóg miałby chcieć istnienia wielu religii... Papież pośrednio przeprosił później za wynikłe z tego zamieszanie, ale nie odwołał ani treści dokumentu, ani wyrosłych na jej gruncie inicjatyw. Dom Rodziny Abrahamowej powstał, a jego budowę nadzorował prezydent Emiratu, szejk Muhammad ibn Zajid Al Nahajjan, członek wpływowej rodziny miliarderów mającej globalne interesy.

Cóż, świat po trwających od z górą 200 lat rewolucjach gwałtownie się zmienia, a Franciszek koniecznie chce dotrzymać mu kroku. Jako głowa Kościoła nie idzie drogą Jana Pawła II, wykorzystując swoją popularność w mediach do rozciągania nadziei masowego zrywu katolików. Nie podziela też skłonności Benedykta XVI do swoistego inercyjnego pesymizmu. Odpowiedź, którą daje w zamian Kościołowi, budzi jednak rosnące zdziwienie katolików. W związku z postępującą degradacją rozumienia prawd wiary i nasileniem wrogości świata polityki spodziewalibyśmy się, że Franciszek sięgnie do dziedzictwa dawniejszych papieży – Kościół jako całość znajduje się dziś przecież poniekąd w sytuacji Watykanu z czasów końca pontyfikatu Piusa IX, kiedy Rzym został zajęty przez antykościelne rewolucyjne siły. Franciszek kieruje jednak wzrok ku początkom pontyfikatu Pawła VI, ku – wydawałoby się – całkowicie skompromitowanemu przekonaniu, że spotkanie „religii Boga z religią człowieka” (jak wyraził się papież Montini) może być owocne i twórcze.

Co go do tego skłania, starałem się opisać w innych miejscach, choćby w artykule „Globalna konkurencja dla Chrystusa” opublikowanym w tygodniku „Do Rzeczy” we wrześniu 2022 r. (nr 37/2022). W tym miejscu chciałbym przyjrzeć się bliżej głównemu narzędziu, którego używa obecnie Jorge Mario Bergoglio do przeprowadzenia spotkania dwóch nieprzystających do siebie „religii”. Chodzi o globalny proces synodalny, czyli o odbywający się w latach 2021–2024 Synod o synodalności.

„SPOSÓB BYCIA KOŚCIOŁEM”

Proces ten, ogłoszony nieoczekiwanie przez Franciszka dwa lata temu, rozpoczęła bezprecedensowa w historii Kościoła

Projekt synodalny ma wielki rozmach. Kilka miesięcy temu przyjaciel Franciszka, kard. Walter Kasper, mówił, że stoimy u progu głębokich przemian w Kościele, które potrwać dekady, wprowadzane przez co najmniej kilku papieży. Nie wolno bagatelizować tych słów

faza „oddolnych” konsultacji. W jej ramach na całym świecie biskupi i księża spotykali się z wiernymi, by pytać ich o zdanie na temat stanu i przyszłości Kościoła. Wyniki tego ankietowania przesłano do Rzymu. W październiku 2022 r. watykański Sekretariat Synodu opublikował obszerny dokument – tzw. Dokument Kontynentalny. Podsumowano w nim efekt dyskusji i zwrócono uwagę na kilka „krytycznych punktów”. To przede wszystkim otwarcie duszpasterskie na różne „grupy wykluczonych”, takie jak homoseksualiści, rozwodnicy – a w dalszej mierze również świeccy i kobiety. Chodziłoby o stworzenie dla nich nowych przestrzeni zaangażowania w Kościele. Jakich, nie trzeba długo pisać: dla każdego jest to oczywiste co najmniej od lat 70., kiedy w Holandii i Niemczech na fali posoborowego „entuzjazmu” sformułowano konkretną agendę tzw. odnowy. Relatywizacja moralności seksualnej, diakonat lub kapłaństwo kobiet, głoszenie kazań przez świeckich, ograniczanie władzy księży i biskupów. Cała ta doskonale znana lista dziś powraca, tyle że już bez odwołań do Vaticanum II, które zostało zastąpione „dynamiką synodalności”.

Dokument Watykanu wzbudził w środowiskach wiernych Tradycji Kościoła ostrą krytykę. Jednoznacznie negatywnie ocenił go m.in. zmarły niedawno kard. George Pell. Przeciwno synodalności w rewolucyjnym ujęciu wystąpił również kard. Gerhard Ludwig Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Jednak to nie oni trzymają w rękach stery procesu synodalnego. Sekretarzem całej operacji jest kard. Mario Grech z Malty, człowiek bezwzględnie posłuszny linii duszpasterskiej Franciszka. Z kolei kluczową rolę relatora generalnego odgrywa kard. Jean-Claude Hollerich, który nie ukrywa, że szans na odnowę Kościoła upatruje w błogosławieniu par gejowskich, wyświęcaniu na księży żonatych mężczyzn czy dopuszczeniu kobiet do kapłaństwa.

Grech i Hollerich zapewniają, że Synod o synodalności nie ma na celu wprowadzania żadnych konkretnych zmian w Kościele – chodziłoby tylko o... nauczenie się „metody synodalnej”, czyli nowego sposobu bycia w Kościele, a zwłaszcza wypracowania takiego modelu podejmowania decyzji, który uwzględniałby opinie wszystkich. Wszystkich, czyli niekoniecznie tylko katolików; jednym z głównych elementów synodalności jest ekumenizm, dialog międzyreligijny, a nawet dialog z ateistami. Co ciekawe, sam Hollerich jeszcze kilka miesięcy temu deklarował, że proces synodalny, owszem, może dotyczyć np. zmian w Katechizmie, które pozwolą na błogosławienie par jedнопłciowych i tym podobne rzeczy. Teraz kardynał zmienił narrację. Dlaczego? Czy zwyciężyli ci, którzy – jak Pell czy Müller – widzą w procesie synodalnym machinę błyskawicznej i bezwzględnej protestantyzacji Kościoła? Jeżeli tak, to po co jeszcze ten synod? Czym miałyby być nowa metoda, jeżeli nie idą za tym jakieś konkrety? Jest oczywiste, że wielki i rozpisany na lata projekt, zmieniając „sposób bycia Kościołem”, musi w jakiś sposób się skonkretyzować, wpływając w olbrzymim stopniu na realia doktrynalne i duszpasterskie. „Duszpasterski” Sobór Watykański II również nie ograniczył się do narzucenia katolikom nowego języka wiary. Zmiany były niezmiernie szerokie.

A projekt synodalny ma wielki rozmach. Potrwa tak długo, jak Vaticanum II. Kilka miesięcy temu przyjaciel Franciszka, kard. Walter Kasper, mówił, że stoimy u progu głębokich przemian w Kościele, które potrwać dekady, wprowadzane przez co najmniej kilku papieży. Nie wolno bagatelizować tych słów. Kierownicy Synodu o synodalności przekonują, że powinniśmy być otwarci na „niespodzianki Ducha Świętego”. Dlatego, twierdzą, nikt nie może przewidzieć, czym skończą się dwa zebrania biskupów w Rzymie, mające odbyć się jesienią w latach 2023–2024;

pewne jest tylko to, że skończy się czymś wielkim – wyznaczeniem zarysów nowej epoki w historii Kościoła.

„JEDNOŚĆ W RÓŻNORODNOŚCI”

Tak naprawdę jednak cel, ku któremu zmierza Kościół synodalny, jest doskonale widoczny już dzisiaj. Ukazuje go nie tylko wzmiankowany wyżej Dokument Kontynentalny z 2022 r., lecz także przebieg pierwszego w historii Kościoła zgromadzenia synodalnego Europy, które odbywało się w dniach 5–12 lutego w Pradze. Zebrało się na nim formalnie 600 osób – delegaci 39 europejskich episkopatów, duchowni i świeccy. Na miejscu pracowało jednak tylko 200, reszta uczestniczyła on-line, co – jak wynika z ich relacji – było źle zorganizowane i w praktyce nie dało większej możliwości wpływu na przebieg obrad. Wśród zebranych w Pradze 200 delegatów byli zarówno biskupi, jak i osoby świeckie.

W ciągu pierwszych czterech dni organizowano debaty w grupach językowych oraz wystąpienia na sali plenarnej. Zakończyły się stworzeniem dokumentu podsumowującego, który został wprowadzony w życie, ale nie opublikowany: nad jego konkretnym kształtem ma jeszcze pracować specjalna komisja. To charakterystyczne dla „metody synodalnej”: w teorii wszystko odbywa się transparentnie, ale na końcu i tak rzecz opracowuje jakaś arbitralnie ustanowiona komisja według sobie tylko znanych procedur i wytycznych. Drugim elementem praskiego spotkania były obrady samych biskupów. Zakończyły się wydaniem przez nich krótkiego komunikatu, rodzaju komentarza do poprzedniego dokumentu powstałego z udziałem świeckich.

Co ustalono w Pradze? W odczytanym na sali podstawowym dokumencie znalazły swój wyraz zarówno nadzieje na radykalną „reformę” Kościoła, jak i obawy przed destrukcją doktryny. Z jednej strony często upominano się o wyżej wzmiankowane „grupy wykluczonych”, wskazując na perspektywę „inkluzywności”, z drugiej wyrażano troskę o zachowanie niezmiennych nauki Kościoła. Na pozór są to dwie odmiennie perspektywy, tak różne, jak różny jest Kościół w Niemczech i w Polsce. Prasy synodaliści znaleźli jednak modus operandi, który pozwala na wyjście z tej, wydawałoby się, patowej sytuacji. Zamyka się on

w hasło „Jedność w różnorodności”. Kościół w Europie ma w przyszłości dbać o zachowanie wspólnoty, wzajemnych relacji i odniesień, troszczyć się o to, aby doktryna pozostała taka, jak dotąd, ale... przy jednoczesnym poszanowaniu „odmiennych dróg”, którymi kroczą poszczególne kraje czy diecezje. W końcowej nocie biskupi zobowiązali się do „rozszerzenia przestrzeni naszych namiotów, aby nasze wspólnoty kościelne były miejscami, w których każdy czuje się przyjęty”. Enigmatyczne słowa o namiotach odwołują się do hasła aktualnej fazy synodalnej, cytatu z Księgi Izajasza. Ich właściwą treść stanowi jednak plan uczynienia Kościoła bardziej inkluzywnym, czyli takim, który „nikogo nie wyklucza”.

Podsumowując spotkanie w Pradze, kard. Hollerich wyraził zadowolenie, bo zobaczył, że katolicy w Europie „pomimo różnic” pozostają „braćmi i siostrami”. Podobnie rzecz ocenił abp Gintaras Grušas z Litwy, który z woli Franciszka kierował przebiegiem europejskich prac. „Powinny być różnorodne drogi

W Pradze pokazano, że synodalność polegać ma na akceptowaniu takich „odmiennych dróg”. Jest to doskonale zgodne z pryncypium, które przedstawił papież w swojej programowej adhortacji „Evangelii gaudium” z 2013 r.: to decentralizacja, również na płaszczyźnie doktrynalnej. Z jednolitej nauki wynikać miałyby różne konsekwencje, zależnie od kraju czy diecezji. W najbliższych miesiącach będzie toczyć się batalia o to, aby milcząca zgoda kościelna mogła objąć kolejne płaszczyzny: diakonat kobiet, wyświęcanie żonatych, nowe formy sprawowania władzy w Kościele, dalsze otwarcie na LGBT. Taka tematyka nie jest zresztą specyfiką Europy. Podobne dyskusje na temat nowej wizji „różnorodności” w Kościele toczą się także w innych kontynentach, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej, gdzie „progresywny” konsensus jest nawet szerszy niż u nas.

Lekarstwo, które Kościołowi pogrążonemu w głębokim kryzysie oferuje papież Franciszek, jest tym samym, które aplikuje się od kilku dziesięcioleci, a które stan

Zmierzamy konsekwentnie w kierunku uznania, że Kościół katolicki ma wprowadzić niezmienną doktrynę, tyle że na papierze – a w praktyce duszpasterskiej każdy może robić, co mu się podoba, oczywiście o ile działa w zgodzie z aktualnym progresywnym paradygmatem

bycia Kościołem, o tym mówimy. Ten dialog pomoże nam nawzajem lepiej się zrozumieć i szukać dróg, jak może istnieć jedność w różnorodności” – stwierdził.

ZMIANY I MILCZĄCA ZGODA

Co to oznacza w praktyce? Zmierzamy konsekwentnie w kierunku uznania, że Kościół katolicki ma wprowadzić niezmienną doktrynę, tyle że na papierze – a w praktyce duszpasterskiej każdy może robić, co mu się podoba, oczywiście o ile działa w zgodzie z aktualnym progresywnym paradygmatem. We wrześniu 2022 r. biskupi z Belgii wprowadzili u siebie liturgiczny ceremoniał błogosławienia par gejowskich. Papież milcząco to zaakceptował. Niemcy nie wydali nigdy takiego dokumentu, ale robią to samo, podobnie jak np. wbrew prawu dopuszczają do głoszenia kazań świeckich.

chorego zdaje się tylko pogarszać. Więcej świeckich ideologii, więcej dyskusowania, więcej współpracy na rzecz ekologii, walki z biedą, wykluczeniem, dyskryminacją. Jeszcze niedawno katolicy z pewnym politowaniem spoglądali na wspólnoty europejskich protestantów, zaangażowane głównie w różnorodne projekty społeczne, jako że nie są w stanie porozumieć się w sprawie rozumienia Ewangelii. Wydawało się, że wyższość Kościoła katolickiego polega na tym, że wolny jest od takich patologii: skupiony przy papieżu zna swoją unikalną drogę. A jednak w inkluzywnym Kościele synodalnym nie będziemy już mieć powodu do odczuwania takiej wyższości. Sytuacja właściwa liberalnemu protestantyzmowi, rozrywaniu przez głębokie wewnętrzne napięcia, staje się również nasza.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Piotr Semka

Europejskie Spotkanie Synodalne Kościoła katolickiego w dniach 5–12 lutego w stolicy Czech nie odbiło się zbyt szerokim echem w polskich mediach. Pisma kościelne opublikowały jedynie bardzo ogólnikowy komunikat naszpikowany wezwaniami do „szerokiej debaty” i „wsluchiwania się w Ducha Świętego”

Przez ostatnie dwa tygodnie starałem się dotrzeć do jak największej liczby uczestników tego spotkania, które objęło zarówno delegacje episkopatów poszczególnych krajów europejskich, jak i świeckich zaangażowanych w lokalne „procesy synodalne”. Z tych rozmów wyłania się obraz, który może zapowiadać bardzo daleko idącą zmianę w Kościele europejskim. W najbliższym czasie odbędą się też kontynentalne spotkania synodalne w Kościołach Azji, Afryki i obu Ameryk. Jednak już to, co wydarzyło się w Pradze, tworzy wrażenie sterowanej odgórnie, ale i uległej wobec presji modernistycznych kręgów laikatu zmiany, która nie dociera jeszcze do większości polskich wiernych.

Wśród nielicznych polskich relacji ze spotkania w Pradze wyraźnie uspokajający charakter zdawał się mieć głos Aleksandra Bańki, członka rady do spraw świeckich Episkopatu Polski, obecnego w Pradze.

Dziennikarz „Gościa Niedzielnego” pytał: „Ludzie boją się, że synod to globalna wersja niemieckiej »drogi synodalnej«? Myślą się?”. Aleksander Bańka odpowiadał: „Myślę, że tak chciałoby zinterpretować ten synod delegacja niemiecka i środowiska z nią związane. Natomiast nie ma na to zgody. Zresztą nie jest to nawet możliwe, bo zgromadzenie kontynentalne synodu spotkało się i dyskutowało w innym stylu. Tam nie było żadnej przestrzeni na głosowanie. Nie było żadnych dyskusji na forum ani par-

Na praskim spotkaniu istotną rolę kard. Jeana-Claude’a Hollericha, arcybiskupa Luksemburga (z lewej). Obok na zdjęciu: abp László Németh, metropolita Belgradu w Serbii, wiceprzewodniczący Rady Konferencji Biskupich Europy FOT. PRAGUE.SYNOD2023.ORG



lamentarnego przekonywania się, kto ma rację. Po prostu stworzono przestrzeń dla wypowiedzenia swoich przekonań, odczuć, poruszeń. To wszystko zostanie zebrane, opisane i przedstawione biskupom. I to biskupi będą rozeznawać, które wątki należy podjąć i pogłębić oraz w jakim kierunku to ma się dalej rozwinąć. A ostatecznie to papież będzie decydował. Nie ma tu więc głosowania, jakichś form kuluarowych nacisków czy lobbingu dla uzyskania efektu, który potem biskupi będą musieli przyjąć i zaakceptować. W tę stronę synod nie idzie i tu możemy być spokojni”.

Czy naprawdę katolicy wyczuleni na zachowanie doktryny Kościoła i jego wierność wobec Ewangelii mogą być spokojni?

Trudno podzielać ten uspokajający ton, gdy bliżej zanalizuje się tryb praskiego spotkania i wypowiedzi jego uczestników.

HOTELOWE ZGROMADZENIE

Pierwszą rzeczą, która uderzyła bardziej konserwatywnych uczestników tego spotkania był fakt przeprowadzenia go w hotelu. To zdziwienie przewija się w wielu relacjach. Być może niektórzy domyślali się, że żadne ze zgromadzeń zakonnych w Czechach nie dysponowało pomieszczeniami do ugoszczenia ponad 200-osobowej grupy delegatów z całej Europy. Zarazem jednak nadało to całemu spotkaniu charakter czysto świeckiego forum dyskusyjnego. Nie zdecydowano się nawet na rozpoczęcie i zakończenie spotkania synodalnego jakąś

uroczystą mszą w którymś z efektownych zabytkowych świątyń Pragi, choćby w katedrze św. Wita na Hradczanach.

Odprawianie mszy na stołach przykrytych obrusem tworzyło wrażenie jakiejś tymczasowości czy ograniczenia się w symbolice do niezbędnego minimum w odprawieniu Ofiary. Istotna była na praskim spotkaniu rola kard. Jeana-Claude'a Hollericha, arcybiskupa Luksemburga, który został mianowany przez papieża relatorem generalnym synodu, który odbędzie się w październiku obecnego roku w Watykanie.

Oficjalnie spotkanie miało być okazją do otwartej wymiany zdań między przedstawicielami Kościoła z różnych części naszego kontynentu i wymianą doświadczeń w dziedzinie przeprowadzania „drogi synodalnej”. W praktyce zamieniło się to w dziwną mieszkankę. Z jednej strony odmieniano przez wszystkie przypadki trzy nowe pojęcia: „synodalność”, „inkluzywność” i „przygarnianie”. Co rusz powtarzało się robiące w europejskim Kościele karierę nowe określenie „poszerzania namiotu”. W praktyce oznaczało to powtarzanie postulatów otwierania wspólnot katolickich na osoby LGBT.

Bardzo silna i wyrazista była na sali delegacja niemiecka. Obecne w składzie delegacji osoby świeckie, w dużej części kobiety, w wielu wypadkach nadawały spotkaniu charakter quasi-wieczny. Wywowiedzi konserwatywnych uczestników spotkania były kwitowane rozdrażnionym buczeniem, a wypowiedzi lansujące zmiany, szczególnie w kwestiach obyczajowych wspierane były frenetycznymi oklaskami.

Ta oczywista nierównowaga w reakcjach na wypowiedzi postępowe i „reakcyjne” nie skłaniała prowadzących obrady do wezwań o uciszenie emocji. Bardzo częstym tematem były zgłaszane, na razie ogólnikowo, postulaty refleksji nad poszerzeniem roli kobiet w Kościele z żądaniami wprowadzenia kapłaństwa kobiet. Dopiero w Pradze można było zaobserwować, pod jak silnym naciskiem laikatu żądającego zmian są krajowe episkopaty.

Podobnie podnoszono kwestie osób homoseksualnych z postulatami legalizacji błogosławienia par osób tej samej płci w kościołach, dopuszczania homoseksu-

alistów do funkcji w kościele i zagwarantowanie prawa osób homoseksualnych do wstępowania do seminariów duchownych. Bardzo często opakowywano to w ogólne hasło „przygarniania”, łączone bardzo często z innym ogólnikowym hasłem „wsłuchiwanie się w mądrość Ducha Świętego”. Według opinii jednego z uczestników spotkania praskiego socjologia kobiet na kapłanów katolickich.

Abstrahowano od tego, co znajduje się w nauczaniu Jezusa Chrystusa, a jednocześnie podkreślano, że Kościół nie może stać na uboczu zmian obyczajowych, które dokonują się w społeczeństwie. Postulowano porzucenie potępienia praktykowanego homoseksualizmu jako grzechu, ale sugerowano, że powinno to być uznane za normę. Episkopat portugalski wprost miał się opowiedzieć za rozważeniem święcenia kobiet na kapłanów katolickich.

W praktyce tylko przedstawiciele episkopatu Polski i Litwy wskazywali, że proces synodalny nie może prowadzić do zmiany doktryny Kościoła katolickiego. Bardzo mocno brzmiał tu głos przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski – abp. Stanisława Gądeckiego.

W wypadku innych delegacji zauważyć można było różne stopnie kapitulacji wobec bardzo wyraziście prezentowanego stanowiska delegacji niemieckiej. Jeden ze świadków obrad z Czech, pytany przeze mnie o szczegóły spotkania, gorzko zażartował: „Skoro w Unii Europejskiej dominują faktycznie Niemcy, to niby czemu miałyby być inaczej przy spotkaniu episkopatów europejskich?”

Uczestnik spotkania w Pradze ze Słowenii wskazał na jeszcze inny aspekt sytuacji: „W latach 1990–2020 bogaty Kościół niemiecki włożył bardzo dużo pieniędzy i proponował młodym katolikom i seminarzystom bardzo wiele programów stypendialnych w niemieckich seminariach i uczelniach katolickich. To spowodowało, że wielu księży z Czech, ze Słowacji, z Węgier, Chorwacji, Rumunii czy np. z republik bałtyckich znalazło się pod silnym wpływem niemieckiej „drogi synodalnej”. Dopiero w czasie takich spotkań jak to w Pradze widoczna stała się skala tej dominacji wpływów”.

Tak więc spotkanie w Pradze było swoistym sukcesem niemieckiej „drogi synodalnej”. Kościół niemiecki nie był obiektem perswazji i zarzutów, że może

doprowadzić do rozłamu w Kościele europejskim. Według wielu opinii raczej okazał swoją skuteczność jako trendsetter. Została faktycznie przevorsowana opinia, że wewnątrz Kościołów europejskich zalegalizowane mogą być różne podejścia do doktryny.

REFLEKSJA ZWYCIĘZCÓW

„Pomimo różnic pozostaliśmy braćmi i siostrami”. Tymi słowami podsumował kontynentalne zgromadzenie synodalne w Prace kard. Jean-Claude Hollerich. Przyznał, że w Europie istnieją dwie kultury religijne, na wschodzie i na zachodzie. W opinii kard. Hollericha powodowało to, że mogło dojść w zgromadzeniu do ostrych napięć. „Tymczasem tak się nie stało. Pozostaliśmy braćmi i siostrami i chcemy podążać razem”.

Jak wyjaśnił relator generalny synodu biskupów na temat synodalności: „Odmienność opinii nie przeszkadza w najgłębszej przynależności do Chrystusa”. Zaznaczył, że w wielu poruszanych kwestiach, takich jak kapłaństwo kobiet czy święcenie żonatych mężczyzn, potrzebne są modlitwa i wspólna refleksja. „Trzeba pozwolić działać Duchowi Świętemu”. Za rzecz wystarczającą jasną dla wszystkich uznał to, że Kościół ma być otwarty na wszystkich i ma być bardziej synodalny, a nie być „klubem, którego dyrektorem jest ksiądz”. Hollerich wezwał do „zapomnienia o wielkiej przeszłości”. Zapowiedział, że Kościół będzie miał inne, nowe miejsce w społeczeństwie w postaci „małych, ale żywych wspólnot, które będą Kościołem mówiącym językiem, który ludzie rozumieją”. Jeszcze bardziej znacząca była wypowiedź kard. Hollericha, że biskupi poszczególnych episkopatów nie mogą zmieniać tego, co wypracowało europejskie zgromadzenie synodalne. „Jestem pewny, że opinia publiczna nie będzie tego tolerować”.

Spróbujmy rozłożyć na czynniki pierwsze z cytowanych tu wypowiedzi relatora generalnego synodu biskupów. Jego zadowolenie, że nie doszło do ostrych napięć między przedstawicielami wrażliwości Kościołów zachodu i wschodu, można zinterpretować jako faktycznie uznanie, że „tych ze wschodu” udało się całkowicie zdominować. Używane już na zasadzie sloganu określenie: „Trzeba pozwolić działać Duchowi Świętemu” zaczyna

■ się jawić jako parawan dla sprawności socjotechnicznej kościelnych zwolenników daleko idących zmian doktrynalnych. Można przypuszczać, że kolejne oswajanie z hasłem kapłaństwa kobiet i pełnej akceptacji praktyki homoseksualnej w Kościele i wśród wiernych odbywać się będzie właśnie pod hasłem odgadywania Ducha Świętego.

Hollerich wskazał jednak jeszcze kolejne nowe trendy. Teza, że proces synodalny ma nie być „klubem, którego dyrektorem jest ksiądz”, oznacza wsparcie dla oddolnej rewolty modernistycznego laikatu, który będzie przedstawiany jako opinia publiczna. Brutalnie mówiąc, oznacza to Kościół, który dostosowuje swoją doktrynę do oczekiwań wiernych. A ci wierni znajdują się z kolei pod wpływem mediów liberalnych, laickich, lewicowych przekonujących ich, że zmiany doktryny są nie do zatrzymania.

Jednocześnie Hollerich mówi wyraźnie, że w zasięgu wzroku są środki do dyscyplinowania episkopatów lokalnych. Powtórzmy zdanie z wypowiedzi arcybiskupa Luksemburga: „Biskupi nie mogą zmieniać tego, co wypracowało europejskie zgromadzenie synodalne”. I nagle okazuje się, że te ogólnikowe hasła z inkluzywności, przegarniania i poszerzania namiotu już niedługo mogą zamienić się w bardzo rygorystycznie nadzorowany program zmian doktrynalnych, w którego ramach poszczególne episkopaty mogą być rozliczane za pomocą mechanizmu podległości wobec Watykanu. Oznacza to, że zmiany modernizacyjne – na razie przedstawiane jako luźna dyskusja synodalna – mogą być za jakiś czas wzmacniane bardzo brutalnymi decyzjami administracyjnymi.

Pewną próbką tej dwoistości jest sprawa ograniczeń wobec środowiska mszy tradycyjnej. Oficjalnie głosi się „drogę synodalną” jako sposób na Kościół zdecentralizowany, różnorodny, otwarty na innych, a jednocześnie decyzje papieskie w sprawie starego rytu zaprzeczają wszelkim deklaracjom papieża Franciszka o otwartości na różnorodność. „Słuchanie a wsłuchiwanie się w mądrość Ducha Świętego” w praktyce może być drogą jednokierunkową. Oznaczać jedynie zwrot w kierunku rozluźnienia doktryny. Albo inną możliwość. Anglikanizację Kościoła, czyli sytuację, gdy

w obrębie jednej konfesji różne lokalne Kościoły będą w bardzo różny sposób podchodzić do doktryny wiary. Kościół katolicki dotąd różnił się od wspólnot protestanckich bardzo silnym ujednoliceniem zasad wiary. Teraz to może się zmienić na naszych oczach.

PIERWSZE ZACHWYTY

Obóz Kościoła otwartego już wyraźnie reaguje na nowe prądy. Już w 2020 r. na portalu „Więzi” Zbigniew Nosowski zapowiedział że „nowym imieniem katolicykości jest dziś wielorakość”. Było to nawiązanie od idei socjologa religii Jose Casanovy, który zapowiadał nieuchronną akceptację „pluralizmu moralnego” w Kościele katolickim.

Z kolei Tomasz Terlikowski, wypowiadając się na portalu jezuickim Deon.pl, uspokaja: „Synod o synodalności nie jest rewolucją. To jest tylko jeden z elementów, który uświadamia, że Kościół znajduje się w procesie głębokiej zmiany. Określanie zaś tego procesu protestantyzacją nie tylko nie jest prawdziwe, lecz także nie pozwala zrozumieć, co w istocie się dokonuje”.

Spotkanie praskie trudno uznać za coś innego jak zdecydowaną wygraną niemieckich reformatorów

Terlikowski przyjmuje często stosowaną przez siebie taktikę, którą można opisać słowami: „Przecież nic nowego się nie dzieje”. Jak pisze: „Kościół katolicki [...] przynajmniej od lat 60. XX w. jest głęboko podzielony. Już wtedy jego część odrzuciła nauczanie o antykoncepcji, a całe konferencje episkopatów przypominały, że na ich terenach nauczanie Pawła VI w tej sprawie nie obowiązuje. I choć kolejni papieże próbowali przywrócić tej sprawie jednomyślność, to nie udało się to; ani Jan Paweł II, ani Benedykt XVI nie chcieli stosować metod, które mogły doprowadzić do schizmy i trwałego rozłamu”.

Terlikowski puentuje: „Co nam zatem zostaje? Z jednej strony próba ustalenia nowego modelu współistnienia, opuszczenia części władzy na dół, tak by tam właśnie decydowała się znacząca część

kwestii duszpasterskich i przynajmniej część doktrynalnych. Z drugiej zaś debata, która ma pozwolić wszystkim stronom sporu na dostrzeżenie w sobie nie tyle przeciwników, ilu ludzi, którzy odmienią, ale z równą troską postrzegają rzeczywistość Kościoła. [...] Synod o synodalności jest dla nas [...] szkołą funkcjonowania w Kościele nie tylko różnorodnym, lecz także głęboko podzielonym. W dającej się przewidzieć przyszłości on nie będzie inny, a podziały będą raczej się pogłębiać niż zmniejszać”.

Tyle Terlikowski. Czy rzeczywiście sytuacja, w której poszczególne episkopaty będą miały różne doktryny, nie jest niczym specjalnie niepokojącym? Czy nie grozi to rozpadem Kościoła? Można wyobrazić sobie sytuację, w której stanie się coś jeszcze innego. Na razie dla przełamania szoku z powodu zmiany doktryny uprawomocnia się swoiste hasło „stu kwiatów”, ale potem z pomocą coraz bardziej rygorystycznego laikatu lansującego zmiany rozpocznie się medialne polowanie na kościelnych reakcjonistów. Wykorzystując pojawiające się w hierarchii i klerze tendencje do konformizmu, powoli przeciwnicy zmian doktrynalnych spychani będą na margines.

Wielu prostodusznych katolików w Polsce chwycyło się w dyskusji wobec synodalności argumentu, że sam papież Franciszek potępił niemieckie ekscesy synodalne. Ale mianowanie przez obecnego pontifexa kard. Jeana-Cloude’a Hollericha na swego rodzaju nadzorcę debaty synodalnej w Europie pokazuje na coś zupełnie innego. Papież nie zrobił nic, aby zatrzymać na spotkaniu w Pradze wpływ niemieckiej „drogi synodalnej” na Kościoły europejskie. A zwykli katolicy będą bezradni w razie sytuacji, gdy elementem zmiany stanie się sama głowa Kościoła.

To nie przypadek, że w polskich mediach katolickich z paroma tylko wyjątkami mało kto chciał nazwać po imieniu to, co zdarzyło się na spotkaniu w stolicy Czech. A spotkanie praskie trudno uznać za coś innego jak zdecydowaną wygraną niemieckich reformatorów. W 1517 r. zwolennicy Marcina Lutra przejęli część Kościoła katolickiego, ale sama instytucja przetrwała. Teraz trend reformacyjny pojawił się w samym Kościele katolickim. Ilu katolików w Polsce dostrzega ten proces?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski, Piotr Lisiewicz i Tomasz Sakiewicz**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 9a77d2b09f

BIDEN W POLSCE





Wykorzystać szansę dla Polski



Rafał A. Ziemkiewicz

Wizyta Bidena w Polsce była wprawdzie karą dla Niemiec i Francji, jednak przede wszystkim była sygnałem wysłanym do Chin. Czy Polacy zawalczą o dobre miejsce w nowym układzie sił na świecie?

Długo oczekiwane przemówienie Joe Bidena w Warszawie nie zawierało ani konkretów, ani niczego, czego nie zapowiedziano wcześniej. Nie

rozumiem tych, których to rozczarowało: sensem wizyty prezydenta USA zawsze jest ona sama w sobie. Cóż niby konkretnego i przełomowego było w do dziś sławnej deklaracji Johna F. Kennedy'ego: „Jestem berlińczykiem”? Tylko to, że wygłosił ją właśnie w Berlinie, a nie w Waszyngtonie.

UPOKORZENI NIEMCY I FRANCUZI

W naszym wypadku ważniejsze jest nawet nie to, że Biden przyjechał do Warszawy, i to już po raz drugi w ciągu roku, ale to, że nie przyleciał do Berlina lub Paryża. Nie pojawił się też w Monachium, gdzie obecność prezydenta USA jeszcze rok temu uważana by była za oczywistą (tam zastąpiła go Kamala Harris, która jakie ma znaczenie w amerykańskiej polityce, każdy widzi).

Dodatkowo podróż do Polski połączona została z utrzymaną do ostatniej chwili w tajemnicy wizytą w Kijowie. Nikt chyba nie będzie sugerować, że Biden miał tam do omówienia z Zełenskim coś, czego obaj nie mogli omówić niewiele wcześniej podczas wizyty ukraińskiego przywódcy w USA. Pokazanie się w mieście nieustannie nękanym przez rosyjskie ostrzały stanowiło spektakularne upokorzenie Putina, który nigdy nie odważył się pojawić w Donbasie czy Ługańsku ani zbliżyć na bodaj 100 km do linii frontu. Jestem w Kijowie, powiedział Biden agresorowi (a ściślej: za parę godzin będę w Kijowie) – i co mi się odważyysz zrobić? Rozpaczliwa reakcja rosyjskiej propagandy na to upokorzenie, wyprodukowana naprędce narracja: „Biden nie mógłby przyjechać,

gdybyśmy mu nie pozwolili”, warta jest dokładnie tyle samo, co wszystkie propagandowe zapewnienia o „planowym odwróceniu na z góry upatrzone pozycje”, i wstyd, doprawdy, że nawet w Polsce znaleźli Rosjanie „pożytecznych idiotów” do jej agregowania.

Jeśli chodzi o Warszawę, to tu adresat wysłanego sygnału był inny. Z punktu widzenia Moskwy podkreślanie, że Polska jest w całej amerykańskiej strategii zaopatrywania Ukrainy i przebudowywania geopolityki regionu punktem kluczowym, nie ma znaczenia: Rosja doskonale to wie, nigdy nie ukrywała, że uważa Polskę za fortecę wroga, która musi zostać zniszczona, a polityczne aspekty wykorzystywania tej fortecy mniej ją interesują. To, że „po drodze do Warszawy prezydent USA tylko przeleciał nad Paryżem i Berlinem” – jak ujęła to jedna z głównych niemieckich gazet – było symbolicznym ukaraniem tych stolic za ich dwuznaczną postawę i pokazaniem, że europejska doktryna: „Prędzej czy później trzeba będzie przecież wrócić do przyjaznych stosunków z Rosją, taką, jaka ona jest”, nie jest do pogodzenia z amerykańską.

Charakterystycznym sygnałem jest w tym kontekście medialna kampania, podjęta przez polityków i media lewicowo-liberalnej opozycji krótko przed wizytą, kampania zresztą sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem, jakoby fakt, że Biden będzie rozmawiał tylko z polskimi przywódcami, obniżał nasze międzynarodowe znaczenie (tak!), że trzeba było starać się, aby spotkał się w Warszawie z Macronem i Scholzem. Było w tym coś więcej niż tylko kolejny przejaw niewyczerpanej gotowości krytykowania w lewicowo-liberalnym światku PiS za wszystko i w każdym wypadku; był to także wyraźny znak, nie pierwszy i niejedyń, bezkrytycznego podchwytywania tam każdej narracji płynącej z opiniotwórczych środowisk „starej Unii”.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na to, że w przededniu wizyty prezydenta USA była także w Warszawie obecna premier Włoch, która nawet wzięła udział w „zalegendowaniu” niespodziewanej wizyty Bidena na Ukrainie (w dniu, kiedy przybyła do Warszawy, miała wedle pierwotnych zapowiedzi być w Kijowie, gdzie w istocie pojawił się tego dnia prezydent USA – pozwoliło to

przygotowania do tej wizyty zamaskować jako środki bezpieczeństwa podejmowane z myślą o włoskiej premier). W geopolitycznej grze, która toczy się wokół wojny na Ukrainie, Włochy nie mają strategicznych interesów zbieżnych z nami, ich problemem jest południe i nasyłane stamtąd „taksówki Sorosa”, ale ich drugim, coraz bardziej istotnym problemem są Niemcy. Zwłaszcza zapowiadane przez Niemcy dofinansowanie własnej gospodarki kwotą 300 mld euro, co równoznaczne jest z zapowiedzią masowych „wrogich przejęć” przez Niemców firm z mniejszych krajów unijnych. Wątek konieczności solidarnego sprzeciwu przeciwko tak bezczelnemu złamaniu traktatowych podstaw Unii został zresztą we wspólnych wypowiedziach Georgii Meloni i Mateusza Morawieckiego bardzo wyraźnie podkreślony i szkoda, że wypowiedzi te zostały „przykryte” wizytą Bidena.

CO BIDEN MÓWI XI

Głównym adresatem sygnału, którym były pojawienie się prezydenta USA w Kijowie i apoteoza, urządzona mu w Warszawie, nie były jednak ani Moskwa, ani Berlin z Paryżem, lecz Pekin. Na wojnę na Wschodzie, także na naszą niej udział, patrzeć bowiem musimy ze świadomością, że jest to „proxy war”, wojna zastępcza, w której rękami Rosjan i Ukraińców ścierają się potęgi rywalizujące o pozycję światowego mocarstwa numer jeden. Co zresztą, nawiasem mówiąc, sprawia, że zasmucająco liczne „analizy” przywołujące jako źródło nauk na dziś sytuację z roku 1939 można hurtem wrzucić do kosza, nie zaprzątając sobie nimi uwagi.

W języku sfer społecznych, z których się wywodzę, można by przesłanie Bidena do Xi Jinpinga streścić następująco: „Jeśli dalej będziesz pozwalać swojemu psu leżeć mi w szkodę, to mam wystarczająco dużo drąg, żeby go obić do krwi, a wtedy stracisz twarz”. Nie jest przypadkiem, że cała podróż zbiegła się w czasie z publicznym oskarżeniem Chin przez sekretarza stanu USA Antony’ego Blinkena o zamiar dostarczenia Rosji uzbrojenia dla wsparcia jej agresji na Ukrainę. Chiny, przypominę, odpowiedziały w tonie oburzenia, że żadnych tego rodzaju planów nie mają i oskarżenia amerykańskie są prowokacją

opartą na pogłoskach rozsiewanych przez wrogów. Odczytuję tę wymianę zdań (choć nie dysponując wiedzą większą niż to, co ogłoszono w mediach, nie zakładałbym się o własne odczytanie na pieniądze) jako jednoznaczną pogrozkę wobec Chin – „nawet nie myślcie o dozbieraniu Putina” – wzmacniającą wymowę europejskiej podróży prezydenta.

Wszystko to wpisuję się w grę, której sens i na tych łamach, i w innych miejscach tłumaczyłem wielokrotnie, więc tylko w największym skrócie. Wobec odrzucenia przez Rosję licznych zabiegów amerykańskich o pozyskanie jej do roli sprzymierzonego z USA mocarstwa regionalnego Waszyngton postanowił zredukować ją do roli małego państwa i zepchnąć w głąb Azji. Wymaga to zbudowania nowej architektury politycznej dawnego obszaru jagiellońskiego, czemu przeciwne są Niemcy, wciąż wierzące w możliwość zachowania owoców polityki Merkel i w ład „neobismarckowski”, czyli dominację Niemiec nad zachodem kontynentu dzięki oparciu na Rosji i Chinach. Ameryka ustami Bidena powiada im: musicie zmienić swoją politykę i dostosować do naszej albo przeniesiemy punkt ciężkości w regionie do Warszawy i podniesiemy Polskę do roli naszego głównego europejskiego partnera.

Czy to zamiar, który zostanie zrealizowany, czy tylko polityczny lewar, mający zmienić politykę niemiecką – to się dopiero okaże i zależeć będzie od wielu czynników, w tym także do tego, jak postępować będą sami Polacy. Mogą starać się tę niepowtarzalną okazję wywrzania się z odwiecznego rosyjsko-niemieckiego uścisku wykorzystać, mogą też ją zmarnować. Jak zrobili, zależy od tego, czy znajdą wolę zaważać o swoje (wiedząc, że może to, choć nie musi, kosztować więcej niż „dwa grosze i dwie krople krwi”) czy pozostaną w tak im od lat miłej gnuśności, racjonalizowanej „realizmem” w typie: „My jesteśmy przecież słabi i nic się nam nie udaje, znowu nas Amerykanie podpuszczają i sobie pójdą, a my zostaniemy z ruskimi na karku”.

Cała reszta spraw związanych z tą wizytą to wielki show i sporo ujawnionych przy jego okazji polskich wad i kompleksów. To jednak inny, osobny temat i nie jestem pewien, czy wart pisania.

Prezydent USA nic nie powiedział



Łukasz Warzecha

Wystąpienie Bidena, które z typowym dla naszych mediów i polityków zadęciem było zapowiadane jako „historyczne”, okazało się złożone niemal wyłącznie z frazesów i banałów

Wystąpienie Joe Bidena w Arkadach Kubickiego było dla mnie prawdziwą próbą nerwów. Amerykański prezydent, występujący w nieco odpustowej scenerii (wśród zagranych przed jego przemówieniem melodii był, co zabawne, motyw znany z „Latającego cyrku Monty Pythona”), częstował nas kolejnymi banałami, gotowcami wziętymi z książki „Szablony wystąpień dla prezydenta USA, wydanie dziesiąte”, a ja czekałem cały czas na bombę. Oczywiście niedostojnie, nie jesteśmy jeszcze szczęśliwie na tym etapie i obyśmy nigdy nie byli. Czekałem na ogłoszenie czegoś, co będzie fundamentem i uzasadnieniem tego wystąpienia. Im dłużej ono trwało, tym bardziej nerwowe było oczekiwanie. A tu nagle pan prezydent Biden powiedział: „Niech Bóg błogosławi naszych żołnierzy, niech błogosławi USA i Polskę” – i to już był koniec. Bomby nie było.

W sieci krąży krótkie nagranie wychodzącego z ogrodów zamkowych Jarosława Kaczyńskiego, który zwracając się najprawdopodobniej do Jana Krzysztofa Bieleckiego, powiada: „Nic nie powiedział”. Nie ma oczywiście pewności, czy był to komentarz prezesa PiS właśnie do wystą-

pienia Joe Bidena, ale pasowałyby idealnie. Wystąpienie, które z typowym dla naszych mediów i polityków zadęciem było zapowiadane jako „historyczne”, okazało się złożone niemal wyłącznie z frazesów i banałów.

Niemal – bo aby być rzetelnym, trzeba wymienić te trzy punkty, w których może nie padło nic nowego czy niespodziewanego, ale które jednak miały jakieś znaczenie.

NIE BEZ ZNACZENIA

Po pierwsze – była to zapowiedź, że walka „o wolność” będzie długa. Należy to odczytywać jako deklarację determinacji tej administracji, aby nie zadowolić się żadnym rozwiązaniem, które nie będzie przynajmniej wyglądało jak porażka Rosji (nawet jeśli nią faktycznie nie będzie). A ponieważ na razie nic takiego w perspektywie nie ma, prezydent Biden powiedział, co powiedział. Oznacza to być może długą wojnę, która dla Polski niesie ryzyko eskalacji i dalszego wyczerpywania naszych zasobów.

Z tą zapowiedzią jest jednak taki problem, że przeciwko kontynuowaniu amerykańskiego wsparcia dla Ukrainy na dotychczasowym poziomie jest jeden czynnik obiektywny i jeden polityczny. Czynnik obiektywny to zasoby uzbrojenia. Jak wskazało w swoim styczniowym raporcie Empty Bins in a Wartime Environment: The Challenge to the U.S. Defense Industrial Base („Puste półki w wojennym otoczeniu: wyzwanie dla amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego”) Center For International And Security Studies – kontrakty Departamentu Obrony wypełniają dotąd jedynie niewielką część luki pozostawionej przez sprzęt przekazany Ukrainie. A mówimy o najpotężniejszej sile militarnej świata. Znacznie

mniejsze możliwości mają pozostałe państwa sojuszu północnoatlantyckiego. O stanie brytyjskich zapasów i uzbrojenia, przetrzeźbionego dramatycznie na rzecz Kijowa, mówią tamtejsi eksperci. Wiadomo, jaki jest stan Bundeswehry. To nawet nie jest kwestia braku woli Berlina, tylko po prostu braku zapasów. Polska oddała już właściwie wszystko, co miało jakąkolwiek wartość i co można było oddać bez naprawdę radykalnego już obniżenia naszych zdolności obronnych.

Zapasy broni nie są, jak zdają się uważać niektórzy, nieskończone. Produkcja sprzętu potrwa dłużej niż tempo jego przekazywania Ukrainie. O ile Rosja jest w stanie przestawić się na gospodarkę wojenną – co już uczyniła – jednym dekretem prezydenta, o tyle państwa Zachodu nie są w stanie tego zrobić, także ze względu na reguły demokracji. Społeczeństwa nie są gotowe na takie poświęcenie i nie widzą powodu do nich. Wbrew temu, co mówił prezydent Biden, Zachód pozostaje formalnie zjednoczony, ale jest to zjednoczenie bardzo kruche i będzie w miarę upływu czasu coraz trudniejsze do utrzymania.

Czynnik polityczny to coraz bardziej niechętnie pomocy w dotychczasowej skali nastroje w elektoracie republikanów. Ci zaś mają większość w Izbie Reprezentantów. Wobec nadchodzących kolejnych wyborów do Kongresu, tym razem w połączeniu z wyborami prezydenckimi, republikanie będą musieli coraz uważniej wsłuchiwać się w głos wyborców. Może się okazać, że zgody na kolejne pakiety pomocy dla Ukrainy nie da się już tak łatwo w Izbie Reprezentantów uzyskać.

Drugi względnie istotny wątek wystąpienia Joe Bidena to zapewnienie, że atak na jednego członka NATO będzie

atakami na wszystkich. Nie było w tym nic nowego – należy to odczytywać jako próbę upewnienia polskiej opinii publicznej, że nasz kraj jest chroniony. W jakimś stopniu były to również słowa skierowane do Władimira Putina. Prawda jednak jest taka, że mitologizowany artykuł 5 traktatu północnoatlantyckiego nie przewiduje żadnego automatyzmu działań, zatem za każdym razem musi zostać wypełniony konkretną treścią. Na jego podstawie może nastąpić błyskawiczne wysłanie sojusznicznych wojsk na pomoc napadniętemu państwu NATO, a także mogą nastąpić obrady, konsultacje i zapowiedź przesłania pomocy za kilka tygodni. Albo i wcale.

Wreszcie trzeci w miarę interesujący wątek wystąpienia 46. prezydenta USA to zapewnienie, że Zachód nie prowadzi wojny z Rosjanami, którzy chcą żyć w pokoju. Wątpliwe, żeby to stwierdzenie miało jakiegokolwiek znaczenie dla nastrojów w Rosji, natomiast jest ono w pewnym kontraście ze skrajnie emocjonalną rusofobią, która ogarnęła znaczną część Polaków.

No i nie zapominajmy, że wśród innych, już niewojennych tematów, którymi cywilizowany świat musi się jego zdaniem zajmować, Joe Biden wymienił również ratowanie planety. Wojna wojną, a klimatem sam się nie robi.

JEST JAK ZAWSZE

Przed wystąpieniem amerykańskiego prezydenta – przyznaję – czułem niepokój. Nie było bowiem do końca jasne, w którą stronę ono pójdzie. Wśród możliwych wariantów był i ten, że zostanie ogłoszony jakiś plan nowej formy zaangażowania w konflikt, który jeszcze bardziej narazi na szwank polskie bezpieczeństwo. Nic takiego szczęśliwie nie nastąpiło. Sprawdził się natomiast całkowicie, a nawet w 110 proc., wariant drugi: że skończy się na werbalnym klepaniu po plecach, co wprawi polskie elity w ekstazę.

Nikt natomiast nie przewidywał sporu o to, kto, przez ile minut i gdzie rozmawiał z gościem z USA. Ten spór jest zresztą idealną egzemplifikacją polskiego bałwochwalczego i pełnego kompleksów stosunku do Stanów Zjednoczonych. Przypomina kłótnie wśród dzikusów o to, kto dłużej trzymał skrawek szaty Wielkiego Białego Mbawa.

Niektórzy twierdzą, że wizytę Bidena w Polsce należy czytać łącznie z wizytą w Kijowie. Zgoda – z punktu widzenia strategii USA tak właśnie jest i tak to też jest odczytywane globalnie: Warszawa jest przedpokojem Kijowa w amerykańskiej koncepcji. Właśnie: przedpokojem. Nas powinno natomiast obchodzić przede wszystkim, co dostajemy ze względu na nasze absolutnie bezprecedensowe zaangażowanie. Otóż nie dostajemy nic. Joe Biden nie miał dla nas oferty zwiększenia amerykańskiej obecności wojskowej w Polsce, co mimo wszystko oznaczałoby podwyższenie poziomu bezpieczeństwa w niepewnej sytuacji. Nie dostaliśmy możliwości znaczącego zrabatowania kupowanego od Amerykanów sprzętu wojskowego. Los obiecanego już dawno mitycznego miliarda dolarów na uchodźców w Polsce jest nieznany.

Za to przy okazji wizyty amerykańskiego prezydenta podpisano umowę z firmą Westinghouse na budowę pierwszej polskiej elektrowni jądrowej. Elektrowni, to prawda, bardzo potrzebnej. Tylko że tutaj również nie dostaliśmy żadnych preferencji finansowych, a całość została załatwiona w takim trybie, że za moment możemy mieć problemy z Komisją Europejską z powodu wybrania wykonawcy w trybie bezprzetargowym.

Jednym słowem – jest jak zawsze. Tak samo, jak było przy okazji Afganistanu i Iraku. W zamian za ofiarne, szczerze i głębokie zaangażowanie po stronie USA Polska dostaje możliwość zapłacenia Stanom Zjednoczonym ciężkiej forsy za amerykańskie uzbrojenie i technologie.

Na temat jednosektorowości polityki zagranicznej, zwłaszcza tego rządu, napisano już dużo, podobnie jak bardzo wiele napisano na temat skrajnie emocjonalnego stosunku Polaków do Wielkiego Brata zza oceanu. Korzenie tej autentycznej, całkowicie platonicznej miłości, występującej nie tylko u zwykłych ludzi, lecz także niestety u polityków, mają swoje źródło w historii: Kościuszko, Pułaski, ziemia obiecana dla obywateli w XIX w., punkty Wilsona po pierwszej wojnie światowej, Eskadra Kościuszkowska w czasie wojny polsko-bolszewickiej, przywództwo wolnego świata w czasie, gdy Polska była pod sowieckim butem, a zarazem brak jakiegokolwiek właściwie sporów – wszystko to ma znaczenie. Ale żaden z tych punktów

nie uzasadnia poświęcenia interesów swojego kraju na rzecz innego – i z tego polska klasa polityczna, nie tylko ludzie obecnej władzy, powinna być rozliczana.

Dzisiaj ma to wyjątkowe znaczenie, ponieważ okoliczności są wyjątkowe. Spośród krajów proukraińskiej koalicji Polska naraża się najbardziej i poświęca zdecydowanie najwięcej. Jeśli spojrzeć łącznie na nasze działania – przyjęcie uchodźców i obdarowanie ich korzyściami socjalnymi, przekazany sprzęt i pomoc materialna oraz finansowa dla Kijowa, udostępnienie podrzeszowskiego lotniska jako głównego punktu transferu sprzętu na Ukrainę, koszt w postaci narażenia naszego własnego bezpieczeństwa – to Polska jest na absolutnym pierwszym miejscu w relacji do własnych możliwości. Nawet jeżeli w liczbach bezwzględnych wyprzedzają nas Stany Zjednoczone i Niemcy. Fakt, że nagrodą za to wszystko jest – jak to powiedział John Kirby, szef Rady Bezpieczeństwa USA – podziw i szacunek Joe Bidena, czyli naprawdę bardzo, ale to bardzo tania waluta, jest kompromitujący. I to nie dla Waszyngtonu – Amerykanie musieliby być nieprawdopodobnymi frajerami, żeby nie wykorzystać polskiego kompleksu – ale dla naszej elity nieumiejącej wynegocjować dosłownie niczego. Sprawdza się tutaj odwieczna zasada stosunków międzynarodowych: partner, który oddaje wszystko za dobre słowo i poklepanie po plecach, będzie traktowany jak wasal, o którego względy nie ma sensu zabiegać. One są i tak gwarantowane.

Wszystko to powinno być otrzeźwieniem dla tych publicystów, którym marzy się jakieś polsko-amerykańskie kondominium w naszej części Europy (oczywiście już po „rzuceniu Rosji na kolana”, ale to przecież bułka z masłem). Polska na własne życzenie zredukowała się do roli zaplecza i podwykonawcy Waszyngtonu, którego głównym zadaniem – poza wypełnianiem życzeń suwerena – jest zasilanie jego budżetu. Nie jest prawdą, że jesteśmy w sytuacji przymusowej. Jeśli kiedyś Ameryka potrzebowała Polski szczególnie, choćby ze względów geopolitycznych czy nawet tylko geograficznych (jak inaczej bezpiecznie Joe Biden dotarłby do Kijowa najkrótszą drogą?), to teraz. Wizyta amerykańskiego prezydenta pokazała, że kompletnie nie umiemy tego wykorzystywać.

Gdy „wolne media” odwróciły wzrok



Jan Fiedorczuk

Jeszcze niedawno podczas prób znowelizowania ustawy medialnej oraz wprowadzenia podatku od reklam największe polskie gazety i telewizje widowiskowo rozrywały szaty, krzycząc o wolności słowa. Teraz, gdy portal dwutygodnika „Najwyższy Czas!” został z dnia na dzień zablokowany, mainstreamowe media zamilkły. Wolność słowa okazuje się być dostępna tylko dla wybrańców postępowych salonów. Gdy cenzurze podlega ktoś spoza lewicowo-liberalnej bańki, jest cicho jak makiem zasiał

Blokada serwisu Nczas.com została zignorowana przez przeważającą większość mediów. Nagłe zniknięcie popularnego portalu odnotowały takie serwisy jak Salon24, PCh24 czy Tysol, trudno jednak je uznać za medialną pierwszą ligę pod względem liczby odbiorców. Jeżeli ktoś po dawkę codziennych informacji sięga do TVN24, TVP czy Polsat News, to po prostu nie miał możliwości usłyszeć o sprawie. Podobnie jeżeli zamiast telewizji preferuje słowo pisane w postaci któregoś z największych polskich dzienników (jak „Rzeczpospolita” czy „Gazeta Wyborcza”) albo portali internetowych (Onet, Interia).

Portal DoRzeczy.pl był jednym z nielicznych serwisów, który od razu zainteresował się sprawą i przeprowadził wywiad z redaktorem naczelnym czasopisma Tomaszem Sommerem. Dziennikarz nie miał wątpliwości, że za blokadą serwisu stoją służby. – Niemal ze stuprocentową pewnością mogę stwierdzić, że mamy do czynienia z blokadą ABW – stwierdził.

Służby są zdolne do nałożenia blokady w oparciu o art. 180 z prawa telekomunikacyjnego, który teoretycznie daje takie możliwości, gdy zagrożone są bezpieczeństwo państwa albo porządek publiczny. Z drugiej strony ustawa zasadnicza zabrania cenzury prewencyjnej, co jest jedynie kolejnym przykładem tego, jak dziurawe i niespójne jest polskie prawo. Ponadto w obecnej sytuacji musi pojawić się pytanie, w jaki sposób portal mógł zagrażać bezpieczeństwu narodowemu. Część serwisów sugerowała, że chodziło o treści „prorosyjskie”, jednak problem polega na tym, że ani my, ani nawet naczelnny „Najwyższego Czasu!” nie mamy żadnej informacji, za co została nałożona blokada. Po prostu jednego dnia serwis prosperował, a następnego został ocenzurowany.

Sommer dodaje, że w przypadku podobnych blokad w przeszłości w końcu przychodziła odpowiedź, że działania cenzorskie były podjęte na polecenie ABW. – Zaznaczam, że nigdy wcześniej nie doszło do blokady tak dużego portalu jak nasz, który skupia blisko kilkaset

tysięcy użytkowników – podkreśla dziennikarz.

Straty bezpośrednie są oczywiste – radykalne ograniczenie liczby czytelników (na portal teoretycznie można wejść z zagranicy), co de facto przekłada się na zniszczenie wieloletniego biznesu. O tej sprawie w zeszłotygodniowym „Do Rzeczy” pisał obszernie Tomasz Rowiński i gorąco zachęcam do lektury jego tekstu „Wyłączanie wolności słowa”.

Warto jednakże pochylić się choć na chwilę nad nieco szerszym obrazem, który wyłania się z obecnej sytuacji. Jesteśmy świadkami incydentu bezprecedensowego, a potencjalnie – niezwykle niebezpiecznego, gdyż sprawa nie dotyczy wyłącznie problemów portalu Sommera.

Oto serwis jednego z najstarszych polskich czasopism politycznych o ewidentnie antyrządowym ostrzu został z dnia na dzień zdjęty. Właściciel portalu nie dostał żadnego komunikatu ani ostrzeżenia, a cała sytuacja ma niemal kałowski posmak. Sam Sommer nie wie, dlaczego ocenzurowano jego portal ani który arty-



FOT. ADRIAN STOK

kuł był powodem tej decyzji. De facto nie wie nawet, kto za blokadę odpowiada, gdyż jego zarzuty wobec ABW są raczej oparte na poszlakach niż bezpośrednich dowodach.

Okazuje się zatem, że ktoś może wkroczyć w polską przestrzeń medialną i autonomicznie zdecydować, kto ma prawo do udziału w publicznej debacie, a kto tego przywileju powinien zostać pozbawiony. I to poza porządkiem prawnym (vide: art. 54 konstytucji), poza demokratyczną kontrolą. Na dodatek cały incydent został zupełnie zignorowany zarówno przez polityków (nie licząc Konfederacji, która zrobiła konferencję w Sejmie na ten temat), jak i media (nie licząc tygodnika „Do Rzeczy” oraz pojedynczych serwisów internetowych). I to właśnie o światku dziennikarskim, jak o żadnym innym środowisku, ta afera mówi najwięcej.

MEDIA BEZ WYBORU?

Dla uchwycenia odpowiedniego kontekstu cofnijmy się o dwa lata. Jest początek 2021 r., a PiS wystąpił z pro-

jektem ustawy o składce reklamowej. Mówiąc wprost, chodziło po prostu o nałożenie kolejnego podatku na media od reklam. Nawet jeżeli stawka nowej daniny była wysoka (progi były różne, najwyższy w przypadku telewizji sięgał 15 proc. od wpływów powyżej 50 mln zł w przypadku towarów kwalifikowanych – napojów słodzonych, suplementów diety etc.), to cały czas mowa jest nie o cenzurze, nie o blokadzie, tylko o nałożeniu podatku. Być może niesprawiedliwego, zbyt wysokiego i pośrednio uderzającego w dziennikarzy – ale jednak tylko podatku. Gdy o wiele bardziej restrykcyjne przepisy próbowano wdrożyć, by wyciąć całą branżę futerkową, to liberalne media nawet nie pisnęły; wprost przeciwnie, zaczęły zachęcać PiS do zdecydowanych działań, a fiskalny nacisk na przedsiębiorców nikomu nie przeszkadzał.

Histeria, która wybuchła po ogłoszeniu pomysłu opodatkowania mediów, była czymś niespotykanym w III RP. Już pominiemy pompacyjne wypowiedzi medialnych autorytetów i celebrytów prze-

konujących o zamachu na wolność słowa (takich cytatów były setki, wystarczy pięć minut poświęcić na prześledzenie Internetu), ale dla uchwycenia panujących nastrojów warto przypomnieć choćby ogólnokrajową akcję protestacyjną pod hasłem „Media bez wyboru”, gdy znaczna część ogólnopolskich mediów ograniczyła bądź wręcz wstrzymała pracę – telewizje (TVN i Polsat) po raz pierwszy w swojej historii wstrzymały nadawanie programów, portale (Onet, Interia czy choćby Wirtualna Polska) zostały „zgaszone”, gazety („Rzeczpospolita”, „Fakt”, „Gazeta Wyborcza”) ukazały się z wielkim czarnym tłem na „jedyne”. Przypomnijmy – to wszystko nie w ramach protestu przeciw zablokowaniu którejś redakcji, tylko w związku z pomysłem nowego podatku.

Do tego oczywiście dobudowano odpowiednią, pompacyjną otoczkę – niezależne, niepokorne media, zawsze patrzące władzy na ręce, są zmuszone do desperackiego strajku w obronie wolności słowa. I gdy kilka miesięcy później pojawiła się sprawa „lex TVN”, to narracja była podobna – wolność słowa zagrożona, autorytarne zapędy władzy, wolne media atakowane itd. Wówczas chodziło z kolei o zapis, zgodnie z którym koncesja dla spółki z kapitałem zagranicznym mogłaby być udzielona, jeśli ów udział (pośredni lub bezpośredni) w ogólnej liczbie akcji tej spółki nie przekracza 49 proc. W obu przypadkach były masowe, historyczne protesty, w obu przypadkach interweniowały Bruksela i Waszyngton, w obu przypadkach PiS musiał odpuścić.

I teraz wróćmy do sprawy „Najwyższego Czasu!”. Warto sobie zadać pytanie, gdzie 9 lutego 2023 r. byli ci wszyscy obrońcy wolności słowa? Gdzie była cała niepokorna drużyna TVN i TVN24 na czele z Moniką Olejnik, która rozpoczynając program, zwykła mówić do kamer z pełną powagą: „Witamy w wolnych mediach”? A dziennikarze Onetu? „Rzeczpospolitej”? Wirtualnej Polski? „Gazety Wyborczej”? Dlaczego świat milczy o tej sprawie? Gdzie polska opozycja, dla której obecna sytuacja powinna przecież być politycznym samograjem doskonale wpisującym się w narrację o zamordystycznych zapędach PiS? Gdzie masowe protesty zatroskanych obrońców praworządności?

■ To pytania retoryczne. Oni wszyscy są w tym samym miejscu, co zawsze, gdy łamane są prawa osób spoza ich bańki. „Najwyższy Czas!” to dwutygodnik o proweniencji „konserwatywno-liberalnej” (czy też może precyzyjniej byłoby napisać – „korwinistycznej”), który jest wydawany od 1990 r. i który zawsze był związany z kolejnymi politycznymi projektami Janusza Korwin-Mikkego, a zatem obecnie „trzyma się” Konfederacji, czyli środowiska, za którym lewicowo-liberalny salon nieszczególnie przepada.

Rzecz w tym, że obie sprawy są nieporównywalne. To znaczy historyczny protest przeciw podatkowi w 2021 r. nie jest sprawą tego samego ciężaru gatunkowego, co blokada „Najwyższego Czasu!”. W przypadku podatku od reklam oraz tzw. lex TVN PiS proponował konkretne zmiany – powstały projekty, z którymi każdy mógł się zapoznać, odbyło się normalne procedowanie prawa w Sejmie, a wszystko miało jawny i transparentny przebieg. Nawet jeżeli zmiany oceniano negatywnie (a jak wspominałem, kwestia podatku od reklam faktycznie mogła niepokoić), to ciężko tu mówić o jakichkolwiek zakulisowych działaniach władzy. W przypadku „Najwyższego Czasu!” mamy natomiast odgórne ocenzurowanie portalu, bez podania jakiegokolwiek powodu, bez nawet komunikatu. Na dobrą sprawę nie wiadomo nawet, kto stoi za tymi działaniami.

Warto przeprowadzić sobie eksperyment myślowy i zastanowić się, jak wyglądałaby sytuacja, gdyby któregoś dnia zablokowany został nie portal Sommera, ale np. TVN24? Czy wówczas mainstreamowe media – od „Rzeczpospolitej”, przez Onet, do „Gazety Wyborczej” – również podeszłyby z takim spokojem do sprawy, jak ma to miejsce obecnie?

CENZURA PRAWICY

„Nie zgadzam się z twoimi poglądami, ale po kres moich dni będę bronił twojego prawa do ich głoszenia” – słynne słowa Evelyn Beatrice Hall (przypisywane niesłusznie Wolterowi, którego Hall napisała biografię) są jednym z najbardziej wyświechtanych, a zarazem pustych frazesów krążących w debacie publicznej. Sprawa zablokowania portalu Nczas.com potwierdza jedynie, że najgłośniejszym gardzącym o wolności słowa zaskakująco

Nie przypominam sobie, by w ostatnich latach doszło do jakiegoś przejawu cenzurowania lewicowych i liberalnych treści

łatwo przychodzi przymknięcie oczu, gdy ta wolność jest deptana poza ich własną bańką towarzyską.

A przecież to niejedyny przykład, gdy prawicowe treści są cenzurowane w polskiej przestrzeni medialnej przy całkowitej znieczulicy zarówno lewicowo-liberalnego mainstreamu, jak i (i nominalnie prawicowej) partii rządzącej.

Na początku lutego administratorzy serwisu YouTube zablokowali kanał Mediów Narodowych. Działający od niemal sześciu lat profil miał 250 tys. subskrypcji i ponad 118 mln wyświetleń. Kanał został zablokowany bez podania przyczyny. Internet już teraz jest medium nie mniej istotnym dla debaty publicznej niż prasa czy telewizja, dlatego sprawy nie można bagatelizować, jakbyśmy dalej mieli pierwszą dekadę XXI w., gdy kanały na YouTube były raczej ciekawostką niż poważnie traktowanym dziennikarstwem.

Blokadę Mediów Narodowych skomentował zresztą minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Zdaniem polityka YouTube cenzuruje te kanały, które „nie podobają się fanatykom lewackiej poprawności”. Jednocześnie oświadczył, że konieczne jest wdrożenie ustawy o wolności słowa w Internecie. Jak jednak dodał, odpowiedni projekt miał „ugrząźć” na poziomie rządowym.

Kilka miesięcy przed Mediami Narodowymi blokady doświadczyły z kolei strony wRealu24.pl oraz wrealu24.tv. Tutaj jednak za cenzurą już nie stała wielka korporacja, tylko nasza rodzima ABW. Przykłady cenzurowania prawicowych mediów można mnożyć: w październiku zeszłego roku YouTube zablokował kanał telewizji katolickiej EWTN Polska, w grudniu Facebook zablokował – bez podania przyczyny – konto należące do katolickiej rozgłośni Radia Maryja, we wrześniu YouTube tymczasowo zablokował kanał katolickiego portalu PCh24 (za film o Billu Gatesie) itd.

Czy którykolwiek z tych aktów cenzury przedarł się do świadomości społeczeństwa, które codzienne informacje czerpie z TVN24, Onetu albo TVP? Niestety, ponownie jest to pytanie retoryczne.

Fakt, że demoliberalne i lewicowe środowiska świadomie ignorują cenzurę tych mediów, które nie pasują do ich towarzyskiej bańki, nie budzi szczególnie zaskoczenia. Wolność w rozumieniu środowisk progresywnych to wielka i wspaniała idea, do której dostęp mają jednak jedynie „swoi”. Nie ma wolności dla wrogów wolności, a owym „wrogiem” może być każdy, kto podpadnie oświeconym elitom. Gdy sprawa dotyczy nałożenia podatku od reklam, to mamy zamach na wolność słowa, gdy jednak dochodzi do blokady niepopularnego portalu Nczas.com, to nagle „opresyjne państwo PiS” nikomu nie przeszkadza.

Warto jednak zwrócić uwagę, że tym, co łączy tak różne portale jak PCh24, wRealu24, „Najwyższy Czas!” czy Radio Maryja jest to, że pod względem prezentowanych wartości wszystkie one wpisują się w szeroko rozumiany termin „prawica”. Nie przypominam sobie, by w ostatnich latach doszło do jakiegoś przejawu cenzurowania lewicowych i liberalnych treści, by blokadą objęto Oko.press, „Gazetę Wyborczą” czy Onet. Oczywiście nie licząc tego „zamordystycznego” projektu, który zakładał wdrożenie nowego podatku.

Drugi niepokojący aspekt sprawy, który musi tu wybrzmieć, to to, że kolejne akty cenzurowania konserwatystów nie tylko odbywają się za rządów Prawa i Sprawiedliwości, lecz także – przynajmniej niektóre – są przez organy państwa wręcz inicjowane. Jest to podejście, które ciężko zrozumieć, gdyż to mniej więcej tak, jakby ktoś oczekiwał, że Platforma po dojściu do władzy pozostanie łaskawa dla prawicowych mediów, ale takiej „Wyborczej” albo Onetowi to już się dobierze do skóry.

Doprawdy ciężko zrozumieć działanie PiS w tej materii. Jeżeli prawicowy rząd tak sobie poczyną z konserwatywnymi mediami, to strach pomyśleć, co czeka polską debatę, gdy do władzy dojdą liberałowie do spółki z lewicą.

Jedno jest pewne – idą ciężkie czasy dla wolności słowa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kuszenie Śląska

Dwa wydarzenia dotyczące Śląska, bliskie czasowo i pozornie odległe ideowo – wizyta wysoko postawionych przedstawicieli Komisji Europejskiej na czele z Fransem Timmermansem oraz wypowiedź prorosyjskiego przywódcy Czeczeńców Ramzana Kadyrowa. Łączy je jedno: troska o los Śląska i Ślązaków.

To oczywiście ironia. Ponadto wielu czytelników zarzuci takiemu stwierdzeniu daleko idące uproszczenie, bo Kadyrow, który pragnie pomagać Ślązakom, twierdząc, że zasługują na niezależność, reprezentuje wroga Polsce państwo. To przedstawiciele Unii Europejskiej pragną tak naprawdę pomóc Polsce, a raczej Śląskowi, w trudnym etapie odejścia od przemysłu ciężkiego, wydobywania węgla kamiennego i produkcji z niego „brudnej” i szkodliwej energii elektrycznej. Komisja Europejska chce wspomóc region potężnym zastrzykiem pieniędzy, który ma być przeznaczony m.in. na likwidację kopalń, „nowoczesne technologie” przemysłowe oraz produkcję energii odnawialnej. Co ciekawe, a dla niektórych oczywiste, pominięto polski rząd, od razu kierując się na Śląsk. Warszawa w tym procesie nie jest potrzebna. To przecież samorządowcy najlepiej wiedzą, co jest im niezbędne do rozwoju.

BEZ KONTROLI RZĄDU

Trudno nie dostrzec w tym działania mogącego stanowić załazek do decydowania



Andrzej Krzystyniak

Bruksela chce dać pieniądze samorządowcom ze Śląska, pomijając Warszawę. Oczywiście jeśli rząd spełni europejskie „warunki”. Dlaczego lokalni politycy mieliby być lojalni względem własnego rządu, skoro ten „przeszkadza im w rozwoju”?



Frans Timmermans, wiceszef KE, i marszałek województwa śląskiego Jakub Chelstowski, Chorzów, 5 grudnia 2022 r. FOT. MAREK ZIMNY/EAST NEWS

o losach regionów nie w Warszawie, ale w Brukseli czy też w Berlinie. Bo o ile Warszawa nie wie, co jest konieczne do rozwoju regionu, o tyle Bruksela czy Berlin, obiecując olbrzymie fundusze, doskonale trafia w potrzeby Śląska czy Wielkopolski.

Przedstawiciele Unii Europejskiej patrzą jednak znacznie szerzej niż na potrzeby regionu. W likwidacji gospodarki węglowej widzą ratunek dla Europy, która za kilkadziesiąt lat może znaleźć się pod wodą. Wicedyrektor generalny ds. Polityki Re-

gionalnej i Miejskiej Komisji Europejskiej, Normunds Poppens, oznajmił wprost, że „zielona transformacja” to dla całego Starego Kontynentu „jedyne właściwy kierunek”.

Samorządowcy z oburzeniem reagują na wszelkie „ingerencje” polskiego rządu w przydział funduszy, ale już europejska ingerencja im nie przeszkadza. – Na szczęście udało się to zablokować, by Warszawa decydowała, na co pójdą pieniądze – powiedział w jednej z regionalnych stacji radiowych marszałek województwa śląskiego Jakub

Chelstowski. Dodał, że przez nieodpowiedzialną politykę polskiego rządu region traci miliardy na rozwój. Jego zdaniem to, co Śląskowi przekazała Warszawa, jest dalece niewystarczające i stanowi jedynie „zwrot wydatków” poniesionych przez region na różnorakie projekty.

Sygnal jest jasny. Śląsk sam potrafi pozyskać dla siebie fundusze, jak również doskonale wie, na jakie cele je wydać. Województwo śląskie czeka na 5 mld euro, których przekazanie województwu obiecał Frans Timmermans podczas wizyty w Katowicach w grudniu ubiegłego roku. Jednak owe pieniądze dotrą do samorządu dopiero po spełnieniu warunków Brukseli dotyczących „praworządności”.

To wszystko stworzy groźny precedens pomijania rządu centralnego w finansowaniu regionów. Jeśli fundusze unijne przeznaczone na transformację regionu są o wiele większe niż dotacje na ten cel przekazywane przez polski rząd, to dlaczego samorządowcy mieliby być lojalni względem polskiego rządu, który tylko przeszkadza im w sięgnięciu po unijne dotacje?

Unia Europejska chce pomóc w transformacji przemysłowej i unowocześnieniu Śląska, stawiając warunek, za którym kryje się „uniezależnienie” od Warszawy, czyli polskiego rządu. Myślę, że cel ten zostanie osiągnięty i niebawem obudzimy się w regionie tylko pozornie należącym do Polski. ©©



Tomasz Rowiński

Wszystko wskazuje na to, że w środowiskach narodowych nastał długo oczekiwany sezon porachunków i przetasowań kadrowych. Rozpoczęła się bezpośrednia rywalizacja o kontrolę nad jednym z najważniejszych patriotycznych wydarzeń masowych w Polsce, czyli Marszem Niepodległości. Jednak nie tylko. W grze jest także przyszłość Mediów Narodowych, projektu, który rozwinął się obok corocznej manifestacji

Środowiskowe napięcie wokół organizującego Marsz stowarzyszenia rosło sukcesywnie właściwie przez cały ten czas, gdy władzę w nim sprawował Robert Bąkiewicz. Dziś wydaje się, że jego przeciwnicy, związani politycznie z sejmową Konfederacją, znaleźli pretekst, by się Bąkiewicza pozbyć. Stał się on zbyt od nich niezależny, za to okazał się za bardzo finansowo związany z obozem rządzącym. Pojawiły się też zarzuty o nieprawidłowe zarządzanie stowarzyszeniem. Pytanie brzmi, czy rzeczywiście politycy Ruchu Narodowego mają wystarczająco dużo politycznej determinacji i odpowiednio skuteczne narzędzia, by sprawnie przeprowadzić oczekiwaną zmianę.

„STAJNIA BĄKIEWICZA”

Wydarzenia związane z procesem usunięcia Bąkiewicza z funkcji prezesa stowarzyszenia były oczekiwane przynajmniej od ostatniej edycji Marszu Niepodległości. Robert Winnicki, poseł Konfederacji i szef Ruchu Narodowego, w niedzielę 19 lutego ogłosił, że Walny Zjazd Stowarzyszenia Marsz Niepodległości odwołał Bąkiewicza z prezesury, a zamiast niego powołał nowego prezesa, dotychczasowego członka zarządu – Bartosza Malewskiego. Informację o zmianach w stowarzyszeniu Winnicki podsumował kąśliwym komentarzem



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Wojna w obozie narodowym

skierowanym do byłego prezesa: „Przedstawione dziś kolejne informacje o przekrętach muszą według mnie znaleźć finał w prokuraturze. Przed zarządem teraz ogromne wyzwanie – uporządkowanie tej tajni Bąkiasza”.

Deklaracje te oczywiście nie pozostały bez odpowiedzi ze strony samego Bąkiewicza, który w mediach podważył legalność walnego zgromadzenia: „W odniesieniu do dzisiejszych wydarzeń i doniesień prasowych, dotyczących nielegalnego walnego zebrania członków Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, oświadczam, że informacje o moim odwołaniu są nieprawdziwe, a dzisiejsze zebranie odbyło się wbrew statutowi i regulaminowi stowarzyszenia”. Czy tak jest w rzeczywistości, rozstrzygnie zapewne sąd, a na razie trwa przepychanka w sprawie zapisów regulaminu. „W zgodzie ze statutem [Bąkiewicz – przyp. T.R.] nie może zabronić większości (6/10) zarządu, którego jest członkiem, zwoływania zebrań czy Zjazdu Walnego.

Nie ma też żadnych praw do podważania decyzji Zjazdu Walnego” – napisał Winnicki jeszcze w niedzielę.

W poniedziałek (20 lutego) rano doszło do drugiej odsłony słownej szermierki pomiędzy Robertem Winnickim i Robertem Bąkiewiczem. „W związku z wczorajszą bezprawną próbą przejęcia władzy w Stowarzyszeniu Marsz Niepodległości dziś, wraz z członkami zarządu, składamy zawiadomienie do Prokuratury o możliwości popełnienia przestępstwa. Stowarzyszenie Marsz Niepodległości nie może zostać partyjną przybudówką Winnickiego i Bosaka” – napisał Bąkiewicz w mediach społecznościowych. Odpowiedź ze strony Winnickiego przyszła w ciągu zaledwie kilkunastu minut. „Rozumiem, że wzywasz Ziobrę na pomoc, żeby przyblokować postępowanie w sądzie rejestrowym, ale poza być może lekkim opóźnieniem nic nie osiągniesz. Natomiast tak w ogóle, to do wizyt w prokuraturze się przyzwyczajaj,

będziesz tam częstym gościem przez najbliższe lata”.

ROZGRYWKI PRZED KAMPANIĄ

Zaczepekka Winnickiego z ministrem sprawiedliwości w tle odnosi się, rzecz jasna, do jednego z zarzutów od dawna kierowanych przez szefostwo Ruchu Narodowego wobec Bąkiewicz. Miał on uczynić ze stowarzyszenia Marsz Niepodległości „karuzelę grantową” i w rzeczywistości, poprzez pieniądze otrzymywane w różnych programach od rządu, uzależnić politycznie od PiS zarówno własne działania, jak i Marsz Niepodległości. Zresztą wątek ten nie jest nowy ani niszowy, był analizowany dość szczegółowo choćby przy okazji Marszu Niepodległości w roku 2020. Także na liberalno-lewicowych łamach.

„Kiedyś Marsz Niepodległości organizowały środowiska bliższe Ruchowi Narodowemu, a on nie osiągał w wyborach więcej niż w najlepszym razie 1,5 proc. Z perspektywy PiS-u mógł więc to sobie organizować trochę jako przerost formy nad treścią. Teraz sytuacja się zmieniła, bo główni aktorzy tamtego Ruchu Narodowego – Krzysztof Bosak czy Robert Winnicki – są filarami Konfederacji. Do niedawna [...] Konfederacja miała 8–9 proc. w sondażach [...], więc zaczęła być poważnym zagrożeniem. Jednocześnie w PiS-ie zaczęło trzeszczeć, odkąd ziobrać zibuntowali się przeciwko Jarosławowi Kaczyńskiemu. A nie jest tajemnicą, że jeśli ziobrać mogą porozumieć się z kimkolwiek poza PiS-em, to właśnie z Konfederacją. Dlatego od jakiegoś czasu, mniej więcej od pół roku, trwają starania PiS-u mające na celu zbudowanie nacjonalistycznej »nogi« wewnątrz partii” – mówił w wywiadzie dla gazeta.pl politolog Przemysław Witkowski.

Tegoroczne przyspieszenie działań w sprawie SMN ze strony liderów Ruchu Narodowego może być zresztą motywowane krążącymi od dawna plotkami, że PiS zamierza umożliwić Bąkiewiczowi start z własnym projektem politycznym. Nie miałby on samodzielnie żadnych szans, ale mógłby odbić część narodowego elektoratu głosującego dziś na Konfederację. W takiej sytuacji obecne zmagania o prezesurę SMN należałoby potraktować po prostu jako start do realnej walki o zasoby niezbędne w czasie kampanii wyborczej. Dotyczy to zarówno Marszu Niepodległości, jak i Mediów Narodowych. Wydaje się zresztą, że to

właśnie o sytuację prowadzonej przez stowarzyszenie telewizji internetowej – obecnie zablokowanej na YouTube – najbardziej obawiają się liderzy narodowców.

27 stycznia została bowiem zarejestrowana spółka o nazwie „Telewizja Media Narodowe”, w której zarządzie znajdują się sam Bąkiewicz, a także Piotr Barełkowski i Tomasz Grzegorz Kalinowski. To był niezależny od SMN. Robert Winnicki twierdzi, że wie, czemu służą takie posunięcia Bąkiewicza. „On zajmuje się wyprowadzaniem aktywów ze stowarzyszenia. Jednym z nich są Media Narodowe” – skomentował sprawę lider narodowców, który już od kilku miesięcy zapowiadał, że władza w stowarzyszeniu Marszu Niepodległości Robertowi Bąkiewiczowi będzie odebrana. Ten sam problem – wyprowadzania aktywów – ma dotyczyć innych serwisów internetowych prowadzonych przez stowarzyszenie i zbierających znaczną publiczność.

Pod koniec stycznia Winnicki poinformował media, że trwa audyt po tym, jak Bąkiewicz stracił kontrolę nad SMN na rzecz zarządu. Już wtedy Winnicki, który jest członkiem Zarządu SMN, sugerował, że prezes próbuje wyprowadzać ze stowarzyszenia aktywa. Pytany na antenie Radia Plus o to, czy zarząd odkrył sprawy, z którymi zamierza iść do prokuratury, nie odpowiedział jednak pozytywnie. Stwierdził tylko, że w stowarzyszeniu jest „bardzo, bardzo nieciekawa sytuacja od strony finansowo-prawnej”. „Czekam z niecierpliwością na moment, gdy Robert Winnicki utraci immunitet. Założę mu wtedy w sądzie sprawę. Za te wszystkie pomówienia i oszczerstwa pod moim adresem. Jeżeli są obawy, że mogło dochodzić do nieprawidłowości, to oczywiście sprawę trzeba zawsze wyjaśniać. Natomiast ja wiem, że w stowarzyszeniu nie dzieje się tak, jak sugerują to Winnicki czy Bosak” – odgryzł się niedawno Bąkiewicz w rozmowie z portalem Onet.pl. Jednak takie znane już sprawy, jak wątek nieprawdziwego sprawozdania finansowego, które Bąkiewicz złożył u jednego z grantodawców, czyli w Narodowym Instytucie Wolności, sprawiają, że jego deklaracje mają niską wiarygodność.

KONFEDERACJA TRZESZCZY W SZWACH

Mimo tego Robert Bąkiewicz nie zamierza na razie składać broni także

w sprawie swojej prezesury w stowarzyszeniu. Twierdzi, że podczas głosowania na Walnym Zgromadzeniu nie było kworum, a bez niego nie może dojść do zmiany władz. W sprawie kworum Bąkiewicz i Winnicki mają rozbieżne opinie. Według tego pierwszego liczba członków stowarzyszenia wynosi 72, a skoro głosowały tylko 32 osoby, to wymóg kworum nie był spełniony. Winnicki twierdzi jednak, że wielu ludzi ze stowarzyszenia odeszło w ostatnich czasach i dziś liczy ono ok. 60 osób. Oznaczałoby to, że ponad połowa z nich wzięła udział w głosowaniu i opowiedziała się za odwołaniem Bąkiewicza. Przeciwnie miało głosować aż 31 członków.

Realnie jednak Bąkiewicz kontrolę nad SMN utracił już w listopadzie. Pozostaje zatem pytanie, czemu służą jego działania, które wyglądają jedynie na przedłużanie własnej politycznej agonii. Być może rzeczywiście liczy na to, że uda mu się przytrzymać jeszcze przez chwilę władzę w stowarzyszeniu. Jednak wobec jasnego wotum nieufności aktywnych członków SMN trudno, by mógł na to liczyć. Być może po prostu nie zamierza łatwo oddawać pola swoim politycznym konkurentom, nawet w obliczu własnej porażki. A może potrzebuje czasu, by w jakiś sposób przenieść swoje projekty na inną platformę. Nie jest jednak wykluczone, że robi to, czego chce od niego PiS, czyli podtrzymuje stan zapalny w obozie Konfederacji, która w ostatnich miesiącach trzeszczy w szwach.

Zamęt w szeregach Konfederacji jest dziś w PiS czymś pożądanym. Z pewnością liderzy Zjednoczonej Prawicy życzyliby sobie zepchnąć konfederatów poniżej progu wyborczego, co znacznie pomogłoby w utrzymaniu władzy po jesiennych wyborach. Jednak do tego na razie daleko. Partia, której realnie dziś liderują Sławomir Mentzen i Robert Winnicki, utrzymuje swoje poparcie, które oscyluje w okolicach 7 proc. Pozostaje kwestia, co dalej z SMN. Nowy prezes, Bartosz Malewski, deklaruje, że chce trzymać stowarzyszenie z dala od polityki i zachować jego społeczny charakter. Tylko czy jest to możliwe, gdy organizuje się wydarzenie co roku skupiające polityczne zainteresowanie? Takim wydarzeniem bez wątpienia jest Marsz Niepodległości.



Nie będzie drugiego sezonu „Prince Charming” w TTV. Oglądalność była zbyt niska

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Homoklapy



Zuzanna Dąbrowska

Publiczność telewizyjna zaczęła odrzucać nachalną propagandę LGBT. Dzieje się tak nie tylko w Polsce, lecz także na rynku amerykańskim

Nie będzie drugiej edycji gejowskiego show randkowego „Prince Charming” – ogłosiła stacja TTV, wchodząca w skład Grupy TVN. To program, którego celem – jak głoszą – jest „misja w zakresie tolerancji” oraz pokazywanie codzienności osób LGBT. Miał to być przełom i przełamanie tabu, które doprowadzi do normalizacji tego typu treści już nie tylko na platformach streamingowych, lecz także

w „normalnej”, tradycyjnej telewizji. W pierwszej edycji reality show brało udział 13 kandydatów, którzy zabiegali o względy tytułowego „księcia z bajki”, którym był model Jacek Jelonek. „Księżę” poznawał potencjalnych partnerów. Odrzucał po kolei tych, którzy nie byli w jego typie, aby na końcu wybrać tego jedynego. Początkowo „Prince Charming” był dostępny tylko w serwisie VOD Player, ale z czasem rozpoczęła się emisja w telewizji. Do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji zaczęły wpływać skargi na reality show, jednak uznano, że program nie narusza przepisów ustawy o radiofonii i telewizji. Ostatecznie zrezygnowano z drugiej edycji programu, ale nie z powodu skarg, a ze względów finansowych – to się po prostu nie opłacało. Oglądalność wynosiła średnio zaledwie 188 tys. osób na odcinek, stanowiących zaledwie 2,26 proc. udziału stacji w rynku wśród wszystkich widzów. Nie pomogła nachalna reklama.

Polacy okazali się dużo mniej podatni na tęcząwą papkę massmediową niż zakładano. Producenci mieli uzasadnione prawo sądzić, że społeczeństwo, które w swoim wielkomiejskim mentalu tak bardzo chce „na Zachód”, z wypiekami na twarzy będzie śledzić perypetie par homo. Jakże duże musiało być ich zdziwienie, gdy okazało się, że widz wybiera co prawda nadal programy niezbyt ambitne, ale jednak pokazujące tradycyjny model związku.

JAK CHŁOPAK Z DZIEWCZYNĄ

Mowa m.in. o kolejnych edycjach innego randkowego show ze stajni TVN, czyli „Hotel Paradise”. Oczywiście nie jest to program zachwycający. Idea jest prosta, żeby nie napisać prostacka – grupa młodych, atrakcyjnych w myśl współczesnych kano-nów osób jest umieszczana w willi gdzieś w egzotycznym kraju. Aby przetrwać i wygrać 100 tys. zł, muszą stworzyć pary. A przy okazji knuć i kombinować, jak by tu wyrzucić konkurencję. W „HP” panuje dość

pierwotne podejście do relacji damsko-męskich oraz relacji w grupie. Kobiety im bardziej kobiece, tym cieszą się większym powodzeniem. Tak samo jest z mężczyznami. Dodatkowo, im bardziej facet pokazuje cechy przywódcze, tym zwiększają się jego szanse na pozostanie w tytułowym rajskim hotelu.

Podobnym formatem jest „Love Island”, show produkowany przez Polsat. Tam również grupa młodych kobiet i mężczyzn, aby wygrać, musi tworzyć silne pary. W międzyczasie, gdy uczestnicy nie wykonują wyznaczonych im przez reżysera zadań (w większości przypadków zadań do granic możliwości wyuzdanych), panowie budują muskulaturę na plenerowej siłowni, a panie się malują lub opalają. Bardziej stereotypowo i, de facto, nudno się nie da.

Chyba jeszcze lepszym przykładem tego, że polski widz pozostaje widzem konserwatywnym (w tym sensie, że odrzuca formaty negujące naturalny porządek rzeczy), jest hitowy program „Ślub od pierwszego wejrzenia”. Nie dość, że na próżno szukać tam par jedнопłciowych, to jeszcze marzeniem uczestników jest życie w małżeństwie. Młodzi ludzie deklarują na wizji, w prime time, że marzą o stabilnym, potwierdzonym „na papierze” związku; mają dość przelotnych romansów i wręcz lęką podjęcia się zobowiązań, które we współczesnej kulturze są przedstawiane jako więzy ograniczające samorozwój i uniemożliwiające realizację marzeń. Smaczku dodaje fakt, że uczestnicy są dobierani w pary trochę na wzór tego, jak dawniej działali swatowie – tyle tylko, że w rolę aranzjerów małżeństw wcielają się psycholog i seksuolog. Paradoksalnie jest jeszcze trudniej niż w przeszłości, bo małżonkowie nie znają nawet swojego imienia i po raz pierwszy widzą się na ślubie. Widzowie pokochali program od pierwszej edycji, którą wyemitowano w TVN w 2016 r. Jeszcze przed emisją jesienią ubiegłego roku ósmego sezonu zapowiedziano, że kręcony będzie kolejny.

BEZ SUKCESÓW

Co ciekawe, zjawisko odrzucenia achnalnej promocji LGBT powoli wykluwa się także nie tylko w odniesieniu do widzów w kraju. Mowa o disneyowskiej animacji „Dziwny świat”. Disney jeszcze pod poprzednim kierownictwem deklarował, że dąży do tego, aby 50 proc. postaci w ich

produkcjach było postaciami mniejszościowymi (odmienna orientacja seksualna, etniczność). Stworzono więc animację z nastolatkiem LGBT w roli głównej. Chłopiec Ethan odkrywa tajemniczą planetę Awalonii wraz z Diazo, w którym jest zakochany. W animacji jest fragment, w którym Ethan przedstawia swojego chłopaka tacie. Rzecz jasna do wszystkiego dorobiono równościową ideologię. „Ludzie wciąż używają słowa »normalizacja«, ale nie musimy normalizować normalności. Tak po prostu jest. Powinniście w filmie zobaczyć kochającą rodzinę, która niesamowicie wspiera tożsamość dziecka” – powiedziała w rozmowie z magazynem „Variety” aktorka Gabrielle Union, która w anglojęzycznej wersji językowej użyczyła głosu matce Ethana.

To miał być prawdziwy przełom, ponieważ po raz pierwszy bohater „nieheteronormatywny” jest bohaterem głównym. Jednak widzownia po prostu tego nie kupiła. – Film nie tylko nie zarabiał pieniędzy. Disney nie wydawał specjalnie pieniędzy na jego promocję – mówił w filmowym podsumowaniu ubiegłego roku na antenie Polskiego Radia 24 dziennikarz również naszego tygodnika Piotr Gociak. Okazuje się, że marka, którą jest Disney, nie gwarantuje podbicia box office’u. Widownia odrzuciła produkcję, którą promowano jako kolejny krok na drodze „tęczowej rewolucji”. Liczby pokazują to dobitnie – animacja kosztowała 180 mln dol.; zarobiono na niej 73,5 mln dol.

Podobną klępkę zaliczyła pierwsza gejowska komedia romantyczna. Widzowie komedii romantycznych to głównie kobiety. Teoretycznie to prosta prawda, do której powinni stosować się filmowcy, aby odnieść sukces. Jednak w coraz mocniej zideologizowanym Hollywood trudno oprzeć się pokusie kręcenia filmów na opak. I tak powstał „Bros”, czyli gejowskie love story, który szybko okazało się finansową porażką. W premierowy weekend film zarobił zaledwie 4,8 mln dol. Wcielający się w jednego z bohaterów współwórcą scenariusza, komik Billy Eichner, był wyraźnie sfrustrowany takim odbiorem filmu. Sięgnął więc po najbardziej poręczny w takiej sytuacji argument, czyli homofobię. „Každy, kto NIE JEST homofobicznym dziwakiem, powinien dziś wieczorem zobaczyć się z »BROS«! Będziesz się świetnie bawić! Oglądanie tej konkretnej historii na

dużym ekranie jest czymś wyjątkowym i wyjątkowo potężnym, szczególnie dla osób queerowych, które nie mają często takiej okazji. Tak bardzo kocham ten film. GO BROS!!!” – napisał Eichner na Twitterze. „Rolling Stone” umieścił już »BROS« na liście najlepszych komedii XXI wieku – kontynuował aktor. I oburzał się: „Prawda jest również to, że w pewnym momencie sieć kin o nazwie Universal zapowiedziała, że przestanie emitować zwiastun z powodu treści gejowskich”.

Film przyniósł straty – przy budżecie 22 mln dol. twórcy zarobili niecałe 19 mln. Widocznie nawet uznawany za kultowy „Rolling Stone” czasami się myli. Nie pomogły desperackie tweety Billy’ego Eichnera, który próbował w pasywno-agresywnym tonie dowodzić, że to naprawdę świetny film. „Widzowie ryczeli ze śmiechu od początku do końca, na koniec wybuchli aplauzem, a niektórzy, wychodząc, ocierali łzy. To było naprawdę magiczne” – przekonywał artysta. Chyba bardziej sam siebie niż sceptyczną międzynarodową publiczność, która zdanie na ten temat pokazała, po prostu bojkotując film. Zawiedzionemu twórcy na pomoc przyszły portale internetowe, które próbowały wyjaśniać, że co prawda „Bros” był filmem niezwykle udanym i wartościowym, ale ludzie „nie są gotowi”.

Co wybierają widzowie na Zachodzie? Kiczowate filmy z serii „356 dni”, kręcone na podstawie książek polskiej autorki Blanki Lipińskiej. Określane prześmiewczym mianem „porno dla mamusiek” produkcje nie próbują udawać lepszych niż są, ale też nie stawiają na piedestale relacji innych niż te damsko-męskie. Widzowie w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii mogli oglądać „dzieło” na Netflixie. Po zaledwie dwóch dniach od premiery na platformie film stał się numerem jeden w top 10 Netflix USA. Sequel, czyli „365 dni 2: Ten dzień” w reżyserii Barbary Białowus zadebiutował na Netflixie 27 kwietnia 2022 r. Znalazł się na pierwszym miejscu w globalnych wynikach oglądalności platformy w okresie od 25 kwietnia do 1 maja.

Kino i telewizja są przekazańnikami niezwykle demokratycznymi. Tak więc przynajmniej w tym kontekście wątek LGBT jest dziś bardziej widzom siłą narzucaną niż przez tych widzów pożądaną. Co pozwala na delikatny optymizm.



Łukasz Zboralski

Nieporozumienia między dziećmi czasem kończą się agresją. Dawniej kończyło się tylko na niesnaskach w klasie. Dziś to nękanie w sieci, które zostaje tam na zawsze. Problem z tym odczuwa już co trzeci uczeń szkoły podstawowej

Daj mi nóż, chcę się zabić – mówił z płaczem dziewięcioletni Qaden do swojej mamy. To nagranie z Australii dwa lata temu stało się głośnie na całym świecie. Wszystkich poruszyło to, że mały, chory na karłowatość chłopiec został zaszczytowany w szkole do tego stopnia, iż chciał już zakończyć życie. Gdy zrozpaczona matka pokazała problem, nadeszło wielkie wsparcie. Aktor Hugh Jackman nagrał przesłanie dla malca, a komik Brad Williams zorganizował internetową zbiórkę na wizytę w Disneylandzie.

W Polsce taka historia zakończyła się tragicznie. Pod koniec października ubiegłego roku w Obornikach Wielkopolskich zaginął 16-letni Filip. Dwa dni później znaleziono go martwego. Targnął się na własne życie. Młodzi ludzie w Internecie wskazywali, że chłopak był nękany przez grupę rówieśników. Z tego powodu miał już wcześniej próbować zakończyć swoje życie. „Na wywiadówce wychowawczyni opowiedziała nam, że jeden z chłopców próbował popełnić samobójstwo. Uratował go jednak jeden z jego kolegów. Poinformowała nas, że szkoła zawiadomi o wszystkim policję i zorganizuje pogadankę zarówno dla dzieci, jak i dla rodziców. Do takiego spotkania jednak nie doszło” – opowiadała „Głosowi Wielkopolskiemu” matka jednego z uczniów, który chodził z Filipem do szkoły. Śledztwo w tej sprawie prowadzi prokuratura.

Wiele dzieci doznaje krzywd od rówieśników i coraz trudniej to wyłapać – sceny przemocy rozgrywają się bowiem nie w klasach i na szkolnych korytarzach,

Sieć przemocy



ale w Internecie. Często na zamkniętych forach, w wąskich grupach na komunikatorach. Ofiarami tej przemocy padają już najmłodszy – w szkołach podstawowych. Skala jest olbrzymia. Dowodzi tego właśnie opublikowany raport Instytutu Przyszłości Polska im. Stanisława Lema i firmy Uniqia.

DŁUGOTRWAŁE RANY

Zarówno Instytut, jak i firma ubezpieczeniowa od dawna prowadzą programy wspierające dzieci dotknięte hejtem. Teraz postanowiły pokazać, jak częste jest to zjawisko w Polsce.

– Nikt się tym nie zajmuje, system edukacji tego nie porusza. Mamy jednego psychologa w szkole na pół

etatu, który musi obsłużyć 300–500 uczniów. A tego wsparcia z obszaru hejtu potrzebują nie tylko uczniowie, lecz także nauczyciele – mówił o powodach, dla których zdecydowano się na badanie, dr Maciej Kawecki, prezes Instytutu Lema. – Większość ludzi nie wie, co to jest cyberbullying, a to jest jedna z form hejtu, gdzie dzieci zamykają się w klasach wirtualnych, tworzą np. grupę na Facebooku, wrzucają tam zdjęcia ośmieszające kogoś i cała klasa taką osobę hejtuje. O tym nie wie nikt. Nie wiedzą nauczyciele, rodzice. Wiedzą tylko rówieśnicy, którzy swoją złą milczeniem zamykają tę grupę, tworząc taką bańkę. To jest na porządku dziennym – dodawał.



FOT. ADRIAN STICK

Dlaczego internetowy hejt tak boli? Bo o ile wśród mniejszych dzieci agresywne rozwiązywanie problemów jest po prostu związane z ich niedojrzałością i nie jest zaskakujące, o tyle dawniej miało wymiar realny. Przytyki w klasie czy nawet rękocyny na korytarzu szkolnym nie były oczywiście lepsze, tylko że po pierwsze – nauczyciel miał szansę je dostrzec i zareagować, a po drugie – kończyły się w tamtym miejscu i w tym momencie (oczywiście jeśli nie dochodziło do długotrwałego nękania). Hejt internetowy jest inny. Odbyna się w przestrzeni, z której nie znika. Obrażliwe słowa, poniżanie, przerobione zdjęcia ofiar, filmy ze wstydliwymi momentami dla dziecka – to wszystko zostaje w sieci prawie na zawsze. I trudno się od tego uwolnić, gdy hejterzy wciąż mogą te treści pokazywać, a nawet rozbudowywać.

Oczywiście rozlewająca się przemoc w sieci wynika również z tego, że dla obecnych dzieci i nastolatków jest to jedna z głównych przestrzeni, w której wciąż mają ze sobą kontakt. To ich świat. Tym bardziej bolesne bywa, że właśnie w tym świecie ktoś ciągle doznaje poniżenia przez innych.

Internet pełen jest nienawiści i z hejtem borykają się także dorośli. Czasem doprowadza ich to do takich problemów, że muszą korzystać z pomocy psychologów. Dzieci mają tu trudniej, są bardziej bezradne. Nawet nie wiedzą, że muszą szukać pomocy.

BOJĄ SIĘ I NIE MÓWIĄ RODZICOM

Z ankiet wynika, że z cyberprzemocą styka się bardzo wielu uczniów szkół podstawowych. Blisko 20 proc. przyznaje, że ma w swoim otoczeniu takie dzieci, które są ciągle wyśmiewane w Internecie. 76 proc. uczniów twierdzi, że w takiej sytuacji stara się pomagać nękanym. Jednak co piąty przyznaje: „Nie zrobiłem nic”. Ci, którzy nie reagują, bardzo często się boją, że sami zostaliby wzięci na celownik przez hejterów.

Co trzeci uczeń szkoły podstawowej przyznaje, że czuje się źle przez to, co dzieje się w Internecie. Często takie poczucie ma 13 proc. dzieci, a od czasu do czasu – 19 proc.

Co biorą na cel internetowi prześladowcy? Bardzo często wygląd dziecka, a także np. jego nietypowe zainteresowa-

nia lub krąg kulturowy. Zdarza się i tak, że ktoś hejtuje innych w sieci, bo sam doświadczył tego wcześniej.

Jednym z najbardziej zatrważających wniosków z opracowania jest to, że połowa dzieci, która doświadcza hejtu w Internecie, nikomu o tym nie mówi. 40 proc. uczniów szkół podstawowych przyznawało, że opowiedziało komuś o cyberprzemocy, której doznali. Jednak aż 31 proc. nie mówiło o tym nikomu.

„Ofiary hejtu nie noszą widocznych na pierwszy rzut oka śladów – nie mają siniaków i zadrapań. Hejt zostawia ślady, ale te niewidoczne, te psychiczne. Naszym trenerom wielokrotnie zdarza-

31 proc. dzieci, które doznały cyberprzemocy, nie powiedziało o tym problemie nikomu

ło się rozmawiać z uczniami, którzy po warsztatach pierwszy raz zdecydowali się podzielić swoimi internetowymi problemami” – czytamy w raporcie.

– Okazuje się, że ofiary hejtu są same, nie chcą o tym mówić, boją się zostać same w klasie, stracić to poczucie przynależności – tłumaczył zjawisko Filip Dębowski, trener w programie „Ogarnij hejt”.

Jak wspierać takie dzieci? Według raportu najwięcej mają tu do zrobienia sami rodzice. Aż 24 proc. uczniów przyznaje bowiem, że nigdy nie rozmawiało z mamą czy tatą na temat zachowań w Internecie. Kolejne 22 proc. twierdzi, że odbyło taką rozmowę tylko raz. Często ze swoimi dziećmi rozmawia o tym 40 proc. rodziców.

To pokazuje, jak wiele można jeszcze zrobić w rodzinach, by przede wszystkim wyjaśnić dzieciom, z czym mogą się zetknąć i jak powinny reagować (m.in. podzielić się swoim kłopotem z rodzicami czy nauczycielami). Z takich rozmów mogą też wypłynąć lekcje dla małych dzieci, które czasem chcą tylko zrobić komuś niewinnego psikusa, a używając Internetu, tworzą innemu dziecku poważny psychiczny problem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Instytut i firma ubezpieczeniowa w tym roku szkolnym wysłały trenerów do 30 szkół w Polsce, by przeprowadzili warsztaty dotyczące cyberprzemocy dla uczniów, rodziców i nauczycieli. Do projektu zgłosiło się jednak dużo więcej placówek – bo aż ponad tysiąc. Ci nauczyciele, do których trenerzy nie przyjechali, mogli brać udział w webinarze.

Dzięki tym spotkaniom powstał „Raport o cyberprzemocy w szkołach podstawowych”, oparty na wywiadach przeprowadzonych wśród ok. 4 tys. uczniów. Jego wnioski są przygnębiające, bo dotyczą najmłodszych dzieci – a te jasno mówią, że problem przemocy w sieci dotyka je szeroko i jest bolesny.



Ruskie gadulstwo



Krzysztof Masłoń

„Najwyraźniej już znaleźliśmy naszą rosyjską tożsamość: jeśli ktoś nam się nie podoba, to go bijemy” – do tej prawdy absolutnej dochodzi nie tyle bohater, ile narrator „Wracza”, niejaki Gusiew, nieprzeciętny gaduła, młodszy brat Szwajka i Pepina, przez lata reżyser teatralny, pracujący na prowincjonalnych scenach Rosji, a w końcu zamykacz moskiewskich ulic. Porównanie ze sławnymi postaciami literatury czeskiej, prozy Haszka i Hrabala, jest nieprzypadkowe. Autorem wydanego niedawno po polsku „Wracza” (KEW, Wrocław – Wojnowice) jest czeski autor, Martin Ryšavý

A wracając do narodowej tożsamości, to – nadmieniam w swoim słowotoku niedopuszczający rozmówcy do głosu ruski opowiadacz – „Jelcyń obiecywał nawet, że da nagrodę temu, kto mądrze sformułuje ideę, która mogłaby stać u podstaw rosyjskiej państwowości. Kiedyś to była idea jedności narodu, prawosławia i caratu, ale wypaliła się dawno temu. Komunizm też nie ma, no i teraz przyszedł Putin i powiedział: My, Rosja, mamy ustąpić przed jakąś zawzroną Czeczenią? Rosja bez zwycięstwa nie jest Rosją! Czyli wszystkim dookoła pokażemy, skopimy im tyłki i wszystkich zwyciężymy, poczujemy dumę z tego, z czego zawsze ją czuliśmy, czyli z naszego



woni też byli bohaterami. Że Wysocki, Sołżenicyn, różni artyści i dysydenci byli odważni, ale wywiad i funkcjonariusze KGB, którzy tych pierwszych ścigali po całym świecie, też byli odważni. Na koniec Pawła Korczagin i admirał Kołczak, obaj są godni takiego samego szacunku, bo jednemu i drugiemu tak czy owak chodziło o rosyjskie państwo, obaj oddali życie za ojczyznę i mogą być dla nas wzorem. Błogosławimy cara, a Stalina uznajemy za największą postać w historii Rosji, i to nazywam rozliczeniem z przeszłością! Żeby cały lud pracujący wiedział, że największym honorem jest kochać rosyjskie państwo i zdechnąć na ołtarzu ojczyzny, wszystko jedno w jakich barwach. I żeby nikt nie mógł nikomu niczego wyrzucić”.

TURYSTYKA I EMIGRACJA

Monologi Gusiewa to niedający się zatrzymać potok słów, coraz to nowe, nagle urywane historie, do których wraca po dłuższym czasie, pozornie bez związku z poprzednimi, to dziesiątki informacji, komentarzy i, nierzadko znakomitych, anegdot. Jak taka np.: „Przychodzi facet do nieba, wokół sami aniołowie i harfy. Szybko się snudził, więc poprosił, by pozwolono mu na chwilę zajrzeć do piekła. A tam wino, kobiety i śpiew. Kiedy wrócił do nieba, brakowało mu tego wszystkiego, więc spytał, czy nie mógłby trafić do piekła na zawsze. Puścili go, bo czemuż by nie. Tym razem czekały go ból, płacz i zgrzytanie zębów, i pełne goryczy pytania, dlaczego już nie jest tak, jak przedtem. A diabły w śmiech. Drogie panie, pomylił pan turystykę z emigracją. No więc na razie mamy w kurorcie Gelendżyk aksamitny sezon. Na razie!”.

Skąd się tu wziął Gelendżyk, ten sławny kurort w Kraju Krasnodarskim, na kaukaskim wybrzeżu Morza Czarnego? To tam znajduje się pokazana światu przez Aleksandra Nawalnego, zwana pałacem Putina, luksusowa rezydencja formalnie – Federalnej Służby Bezpieczeństwa, a w rzeczywistości – prezydenta Rosji.

Otóż, Martin Ryšavý (ur. 1967), reżyser filmów dokumentalnych, scenarzysta, prozaik (zarówno „Wracz”, jak i wcześniejsze „Podróże na Syberię” wyróżnione zostały najważniejszą czeską nagrodą literacką Magnesia Litera), a nawet wokalista zespołu Bouchaci Šrouby, uprawia w swojej twórczości dość daleko posunięty

zwycięstwa. Teraz jeszcze powtórzył to w Gruzji, żeby dotarło nawet do tych mocno nierozgarniętych, choć Gruzini sami się podłożyli. Tania sztuczka, która wcale tania nie będzie”.

Łatwo się zorientować, że swoje niekończące się monologi Gusiew wygłaszał w czasie, gdy wojna z Gruzją wisiała na włosku. „Widzisz – perorował – już znowu latają obce samoloty. Natowskie, oczywiście, wasze, wasze, towarzyszu obcokrajowcu. Trenujecie gruzińskich żołnierzy i dostarczacie im broń. Misza Saakaszwili się raduje, a Wowka Putin przez to nie śpi. Oczywiście zarówno Putin, jak i Saakaszwili są bandytami i spróbuj się połączyć, który gorszym. Ale wy teraz trzymacie

z Miszką przeciwko Wowce, więc dzieją się tu takie rzeczy. Będzie wojna, oczywiście”.

Nie pomylił się, a jeśli, to w szczegółach. Wojna wybuchła, tyle że nieco później. Z Ukrainą, ale to tak naprawdę nie ma większego znaczenia: „Kiedy weźmiesz ideologię Putina – czytamy – znowu zobaczysz stary rosyjski imperializm. Nacjonalizm i faszyzm też, co w naszych krajach jest historyczną nowością. Ale, jak wiadomo, kiedy jedna władza pożera drugą, wchłania też jej ideologię, to przydarzyło się zarówno nam, jak i Niemcom. Ich faszyzm zbankrutował, nasz dostał zastrzyk. A wszystko, co jest dobre dla państwa... Włącz telewizor i co usłyszysz? Że białogwardziści byli bohaterami i czer-

■ autobiografizm. Możemy więc przyjąć, że – z konieczności – milczącym interlokutorem (?) Gusiewa był on sam. I rzeczywiście, podczas jednej ze swych wypraw na Wschód znajoma przekonała go, by zamiast do Jakucji, jak zamierzał, udać się najpierw do zupełnie innej części kraju, a w podróży tej towarzyszyć mu będzie ich wspólny znajomy. Wsiedli razem do pociągu, Rosjanin otworzył usta i... poooszło!

Zgodnie z nazwą miejscowości, do której w końcu dotarli, pierwsza część książki nosi tytuł „Gelendżyk”, a w gadaninie narratora opowiadającego jednym tchem o niezwykłym artyście i człowieku, swoim koledze Bgaszewie, o rosyjskim teatrze i literaturze, polityce i duchowości niekiedy brakuje sensu, ale emocje aż tu się przelewają. W praktyce wygląda to tak. Opowiada Gusiew np. o tym, jak Jurka Bgaszew – jak to mu się nader często zdarzało, pijany do sinosti – udał się w marcu pić dalej nad rzekę Tom przepływającą przez Tomsk, gdzie akurat się znalazł. Tam wskoczył na krę, na której płynął sobie, „w międzyczasie się ściemniło i prąd powoli, ale zdecydowanie prowadził bohatera do ostatniego, najbardziej oddalonego od centrum mostu. Nie ma już następnego mostu na rzece Tom, bo kawałek dalej rzeka wpada do Obu i gdyby Bgaszew na swojej krze dopłynął aż tam, byłaby kaplica. Nie mam pojęcia, jak planował wrócić na brzeg, ale bez wątpienia Bóg w osobie anioła stróża dał podopiecznemu prezent także wtedy: Jurkowa kra roztrzaskała się o filar mostu i jej pasażerowi nie pozostało nic innego, jak płynąć do brzegu, odgarniając lody. Zarazem krzychał: Ku.wa! Ku.wa! Ku.wa! Znaleźliście sobie Aleksandra Wampilowa, dupki! Ale on nie zdechnie, nie cieszcie się! Miał oczywiście na myśli dramaturga Wampilowa, który niewiele wcześniej [w sierpniu 1972 r., dwa dni przed 35. urodzinami – przyp. K.M.] utonął w Bajkale i po śmierci stał się niezwykle modnym autorem, mimo że żadnym geniuszem nie był”.

WSTRĘTNA NIEŚMIERTELNOŚĆ LENINA

Ze zrozumiałych względów wiele się we „Wracu” mówi o teatrze. O dramatach Czechowa i o Bułhakowie, a także o może jeszcze ważniejszym dla rosyjskiej sceny ostatniego stulecia – Leninie. „Lenin jest bardziej żywy od żywych – tak pisywano.

Zauważyłeś jego miejscowy pomnik? Co nam mówi to spojrzenie? Otóż tyle, że dany osobnik uważa się za bożego wybrańca, jeśli nie za samego Boga. Co to znaczyło w czasach sowieckich dla aktora? W licznych dramatach Lenin występuje jako postać dramatyczna i aktorzy, którym z racji warunków groziło, że mogliby dostać tę rolę, prawdziwie się trwożyli, bo taki zaszczyt równał się końcowi dobrze zapowiadającej się kariery aktorskiej. Było bowiem z góry narzucone, że aktor, który raz zagrał Lenina, już zawsze będzie grał tylko Lenina, ewentualnie w skrajnym przypadku inną wyraźnie pozytywną postać. W Moskwie nawet raz na jakiś czas odbywał się zjazd tych aktorów. Wyobraź sobie: sala pełna Leninów, słuchają instruktażu, jak grać wielkiego wodza rewolucji socjalistycznej. To straszne, wziąć na siebie tę jego wstrętą nieśmiertelność”.

Rzeczywiście, grywanie komunistów, a już komunistycznych świętych szczególnie, niosło ze sobą niemałe niebezpieczeństwa. Przekonali się o tym i nasi aktorzy, choć w porównaniu z sowieckimi ich doświadczenia pod tym względem były znikome. Leninowskie kłopoty miał jedynie Ignacy Machowski, w pewnym czasie żyty z Włodzimierzem Iljiczem jakby nadto. Ale wodza rewolucji grywał i Jacek Woszczerowicz, a „krwawego Feliksa” Dzierżyńskiego – Gustaw Holoubek. Tak że wiele rozumiemy, na szczęście komunizm szczepiono nam w łagodniejszej postaci. I krócej.

z powodów, rzekłbym, pozascenicznych. „Rosjanie od zawsze torturują za darmo i zabijają jeden drugiego wszelkimi dostępnymi środkami. Setki lat żyją razem, dzień w dzień, nawzajem się tłuką i okaleczają, ale spróbuj ich rozwieść, nie dasz rady. Dlaczego w Rosji teatr absurdu nikogo nie szokował ani nie dziwił? Bo nikt w nim nic absurdalnego nie widział, to było i jest nasze zwyczajne, powszednie życie”.

Rzadko, bo rzadko, ale zdarzają się w tym życiu niespodzianki. Po śmierci Stalina, dajmy na to, istotnie „... odwilż naprawdę nastąpiła. Zdecydowano, że Beria był sukinsynem, a Chruszczow zaprezentował się jako odkrywca. Chyba rzeczywiście nie był skończonym potworem, bo wprawdzie wsadzał, ale żadnego z tych ludzi nie zabił. Powiedział im: żyjcie, ku.wy. W historii Rosji pierwszy raz się zdarzyło, że przywódca nie wykarczał ludzi, po których przejmował władzę”. Ale znowu tak bardzo nie ma się czym podniecać; ten sam Chruszczow oddał Krym Ukraincom, a poza tym w Rosji, jak sięgnąć pamięcią, siedziało więcej ludzi, niż można było wykarmić. I to dopiero jest prawdziwy problem rządzących.

KIRGIZI NIE KRADNĄ, BO NIE MA CZEGO

W drugiej części powieści, zatytułowanej „Wielka Nikicka”, poznajemy inną twarz opowiadacza tej historii, inne wcielenie tego ni to artysty, ni lumpa, erudyty i łgarza, no po prostu rosyjskiego inteligenta zanurzonego w czasem

Lenin nie nazywał się Lenin, Stalin nie nazywał się Stalin, Trocki nie był Trockim, a rewolucja październikowa wybuchła w listopadzie, i tak tu jest ze wszystkim...

Ale niepodobna odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego w dzisiejszej Rosji nikt już nie ma tu człowieka o temperamentie Wysockiego? Bo po Wysockim to zwyczajnie niemożliwe, nikt tego nie dokona, nie zagra ani genialnie, ani nawet normalnie, żeby sztuka mogła pojawić się w repertuarze. Nie ma takiej możliwości”.

Rosyjski teatr jest i pod innymi względami wyjątkowy, bo też musi być taki. I to

stanowiącej powód do dumy narodowej kulturze i we wstrętnej materii rosyjskiej współczesności.

A Wielka Nikicka to historyczna nazwa ulicy w Moskwie, niegdysiejszej drogi wylotowej do Nowogrodu, pochodząca od XVI-wiecznego monasteru, zlikwidowanego przez Stalina. Mieszczą się przy niej także XVI-wieczna Mała Cerkiew Wniebowstąpienia, o dwa stulecia młodsze Wielka Cerkiew Wniebowstąpienia,

w której Aleksander Puszkina wziął ślub z Natalią Gonczarową, wreszcie – co dla Gusiewa jest niesłychanie ważne – Teatr im. Włodzimierza Majakowskiego. Gusiew to przecież człowiek teatru, choć po zmianach, które zaszły w jego życiu, przedstawia się następująco: „Gadatliwy dziadek, czaruje kartami [tarota – przyp. K.M.] i mieszka w lokalu komunalnym z Kirgizami – taki mam teraz status społeczny”. I opowiada: „Znalazłem sobie pracę zmiataacza w okolicy Wielkiej Nikickiej, kawałek od GITIS-u [Rosyjskiej Akademii Sztuki Teatralnej, którą ukończył w 1986 r. – przyp. K.M.], dostawałem tyle pieniędzy, że prawie starczało na przeżycie, do tego mieszkanie komunalne przy Wozniesieńskiej, ze wspianiałym widokiem na podwórko i budynkiem moskiewskiego magistratu z tyłu”. I, oczywiście, z Kirgizami.

Na tych ostatnich nie da złego słowa powiedzieć, podkreślając ich zbawienną dla rosyjskiej stolicy działalność. I snuje refleksję podszytą swoistą historiozofią: „Żadne z byłych państw sowieckich nie uniknęło bandytów u władzy, może z wyjątkiem krajów bałtyckich. Wszędzie podczas podziału łupów strzelano, wszędzie lokalne mafie rozkradły, co się dało, i wprowadziły dyktaturę jeszcze gorszą niż ta sowiecka. Jedyna nadzieja była w Kirgistanie, przez chwilę się wydawało, że tamtejszy prezydent to rozsądny człowiek i u nich się nie kradną, bo nie ma czego. Tak biedny jest ten kraj. Teraz już wszyscy zdolni do pracy Kirgizi od dawna siedzą w Rosji, o czym łatwo się przekonaasz, wystarczy przejść się rano gdziekolwiek po centrum, wszędzie ich zobaczysz, w pomarańczowych kurtkach, z wózkami i szczotkami, moich kolegów... Teraz sprzątają też mój rejon. Tak na marginesie, zaulek Mały Kisłowski, przy którym stoi budynek GITIS-u, już nie należał do mojego rejonu, więc nigdy nie zmiatałem w bezpośredniej okolicy swojej dawnej szkoły”.

Trudno powiedzieć, czy zadowolony jest z tego czy nie. Jego prawdziwy powód do zmartwień jest inny: „...co będzie, kiedy nas wyrzucą z mieszkania. Kirgizi zawsze coś sobie znajdują. Nie upierają się przy mieszkaniu w centrum, nawet na Moskwie za bardzo im nie zależy; ważne, żeby mogli zarabiać. Zresztą nikt ich stąd nie wygoni, dla Moskwy ci so-

wieccy Azjaci są błogosławieństwem, bo chętnie zmiatają za parę groszy i dzięki nim miasto jest całkiem czyste. Powrót do rodzinnej wsi też im niestraszny, bo bieda, której tam zaznali, nie obrzydziła im ojczyzny. Ja mam, niestety, inaczej, wszystkie warianty – czy to przeprowadzka gdzieś na peryferie, czy powrót do Nowosybirskiej – w zasadzie oznaczają moją kolejną śmierć. Tak czy owak, pożegnaj resztki czegoś, co jeszcze daje mi w życiu jakąś radość, przywilej i luksus, czyli mieszkanie w centrum Moskwy”.

No tak, matuszka-białokamienuska, miasto rosyjskich marzeń i snów.

ROSJA WRACZEM NIE JEST

Dobrze. A kim jest tytułowy „Wracz”? Lekarzem, jak wskazują słowniki? I kto ma nim być? Ten rozgadany ponad miarę zdeklasowany inteligent?

Po rosyjsku lekarz to, wiadomo, wracz. Ale dawniej leczeniem, zwłaszcza w wioskach, zajmował się zwykle „miejscowy znachor, od słowa »znać«, zwany też zielarzem, korzeniarzem albo jeszcze inaczej. Jeśli chorymi zajmowała się kobieta, mówiono na nią wiedźma, od słowa »wiedzieć«. Różnicę między wiedźmą a znachorem z pewnością czujemy, znachor prezentuje raczej wymiar praktyczny, wiedźma zaś – ezoteryczny. Nie każda wieś miała znachora czy wiedźmę, a ktoś leczyć musiał. Robili to zatem nie ludzie związani z magią, ale praktycy, to oni pełnili funkcję lekarzy, znachorów i wiedźm, według zapotrzebowania i możliwości. Wymiar praktyczny zwykle przypadał rzeźnikowi – konowałowi lub kowalowi, taki gość potrafił przeprowadzić amputację, wyrwać bolący ząb, opatrzyć złamanie i zszyć otwartą ranę szpagatem. Równoległe do nich istniał ktoś, na kogo mówiono wracz. To słowo dziś w języku rosyjskim oznacza lekarza, lecz jego etymologia jest inna. Kiedyś wracz odgrywał rolę błazna i nazwa ta związana była z zawodem, jaki wykonywał; żniwiarz zbiera żniwa, palacz pali, żerca żereci, czyli składa ofiary, a wracz – oczywiście kłamie. »Wrata« w języku rosyjskim znaczy kłamać. I tyle”. A do teatru ludzie chodzą właśnie po to, by



MARTIN RYŠAVÝ
„WRACZ”
KOLEGIUM
EUROPY
WSCHODNIEJ
2022,
TLUM. ANNA
WANIK

ich tam okłamywano. Chciać być oszukiwani. I często nie pojmują, że ich ciężko chorej Rosji potrzebna jest terapia natychmiastowa, a i to jej wynik jest mocno niepewny, z absolutnym przekonaniem można zaś orzec, że na pewno ona sama żadnym wraczem nie jest.

Pamiętam, jak prawie 20 lat temu w rozmowie z Tatianą Tołstoj próbowaliśmy doszukać się analogii w miejscach zajmowanych w naszych literaturach, odpowiednio przez Czeczenów (u nich) i Tatarów (u nas). Aż w końcu wnuczka autora „Drogi

przez mękę” machnęła ręką i powiedziała: „Nas też Tatar długo straszył, ale potem się uspokoił i teraz my sami jesteśmy Tatarami”. Przyjąłem tę konstatację z uznaniem, dziś myślę, że uwłaszcza ona potomkom Czyngis-chana.

A Rosjanie, zgodnie ze swą tradycją, najczęściej uprawiają skaz [od ros. skazka – bajka], czyli – mówiąc wprost – bajdurzą, podpierając się, jak trzeba, to ludowością, innym znów razem choćby i doświadczeniami z wielkiej wojny ojczyźnianej.

Bezcenne okazują się, często różniące się od oficjalnych, przekazy rodzinne. I tak wujek Daniła, krewny narratora „Wracza”, wrócił z wojny jako wujek Mitia. Został ciężko ranny pod Kurskiem, w lazarecie przeleżał rok, aż odkrył, że na podstawie kawałka nadpalonego dokumentu znalezionej w zniszczonym czołgu, z którego cudem się wydostał, zarejestrowano go pod obcym nazwiskiem jako Dmitrija Iwanicza Lewaszowa: „Mówi do nich: Przecież ja jestem Danił! Oni na to: Co ty wygadujesz, niemądry chłopie? Chcesz się kłócić z ludźmi z ewidencji wojskowej? No, nikt tego nie chce... Wrócił z wojny, baby wołają: Daniłko! Daniłko! A on odpowiadał: W domu mówcie, jak chcecie, ale na zewnątrz jestem Mitia albo mnie zastrzelą. No i wyobraź sobie, noszę imię na cześć tego wujka. Znasz to, Lenin nie nazywał się Lenin, Stalin nie nazywał się Stalin, Trocki nie był Trockim, a rewolucja październikowa wybuchła w listopadzie, i tak tu jest ze wszystkim...”.

Czy trzeba być inostrąncem, by wszystkim to dostrzec?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Gociek

Nowi barbarzyńcy mają nowy cel: zniszczyć spuściznę literacką Roalda Dahla, mistrza literatury dziecięcej, którego książki sprzedały się w ponad 300 mln egzemplarzy w 63 językach

Roald Dahl nie był aniołem, ale ta cenzura jest absurdałna – napisał na Twitterze Salman Rushdie. Wie, co mówi, przez lata ukrywał się przed gniewem ajatollahów z Iranu, którzy obłożyli go klątwą z powodu książki „Szatańskie wersety”. Roalda Dahla, brytyjskiego klasyka literatury dla dzieci (i nie tylko), zasztyletować nie można, gdyż zmarł w roku 1990. Ale rytualny mord na jego spuściznie właśnie się dokonał. Puffin Books, czyli specjalizujące się w literaturze dziecięcej ramię Penguin Books, ogłosiło listę zmian i cięć w książkach Dahla, twórcy tak klasycznych i kultowych opowieści jak „Charlie i fabryka czekolady”, „Fantastyyczny Pan Lis”, „Wielkomilud”, „Wiedźmy” czy „Matylda”. Od niemal stulecia czytany, podziwiany, ekranizowany, dziś – pośmiertnie – zdradzony przez tych, którzy powinni strzec integralności jego dorobku, czyli Roald Dahl Story Company broniącą decyzji wydawcy jako „staranne przemyślanej”.

BRUDNE CZYNY, PIĘKNE SŁOWA

Jak zwykle bywa, brudne czyny zostały przykryte gładkimi słowami: nowe edycje sześciu książek Dahla wzbogacono zdaniem: „Ta książka została napisana wiele lat temu, dlatego regularnie weryfikujemy jej język, aby mieć pewność, że nadal możesz się nią cieszyć”. Troski o dzieci? Nie. Słusznie zauważa komentator „Daily Telegraph”, że nie chodzi tu o dzieci, tylko o dorosłych i ich politykę.

Żyjemy bowiem w czasach, kiedy trendy w kulturze i popkulturze próbują wyznaczać nowi barbarzyńcy, broniący jakoby naruszanych praw rzekomo krzywdzonych i obrażanych mniejszości. Ofiarą są słowa. Zdaniem nowych cenzorów

Jak zabić starszego pana



FOT. BEN MARTIN/GETTY IMAGES

niesłuszne, niepotrzebne i krzywdzące. Jakie? Ano takie jak „gruby”, „brzydka”, „dziwny” itd. Wycięto z nowych wydań słowa „szalony” czy „zwariowana”. Ze zwrotu „dziwny afrykański język” usunięto słowo „dziwny”. Ofiarą padły zadowolone w naszej mowie porównania – zamiast „biała jak prześcieradło” jest „nieruchoma jak posąg”. Plus dopisywanie – gdy Dahl informuje czytelnika, że czarownice z jego powieści noszą peruki, bo są łyse, natychmiast pojawia się zdanie, którego nie było w oryginale: „Jest mnóstwo innych powodów, dla których kobiety mogą nosić peruki i z pewnością nie ma w tym nic złego”.

CENZURA PREWENCYJNA

Tim Stanley w „The Daily Telegraph” celnie wytyka przy okazji afery z Dahlem hipokryzję brytyjskiego wydawnictwa (uwaga: należącego do koncernu Bertelsmanna). Skoro książki Dahla są takie straszne (a są – w tym sensie, że był to mistrz makabry; zabijanie, ćwiartowanie, pożeranie itp. jest normą w jego opowiadaniach), to dlaczego w ogóle je wydawać? Po cóż marnować czas na dopiski, przeróbki, cięcia, objaśnienia? Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze – wydawnictwo chciało by jednocześnie zjeść ciastko i mieć ciastko. Nadal zarabiać na niesłabnącej, ogromnej popularności książek Dahla, a jednocześnie zejść z celownika wpływowych grup nacisku, które mogą lub mogłyby wzniecić kampanię przeciw książkom lub autorowi (skoro mogą przeciw Churchillowi, to czemu nie Dahlowi?).

Wydawnictwo Puffin usuwa więc terminy uznawane za obraźliwe czy kontrowersyjne oraz zmienia płeć części bohaterów książek Dahla (Fantastyczny Pan Lis ma teraz córkę, a nie synów) albo czyni ich „neutralnymi płciowo”. Historia powtarza się jako farsa, tym razem jest to farsa bardzo ponura i niebezpieczna. Oto lewica, która ponoć broni wszelkich wolności i przez długie lata ekscytowała się rozmaitymi listami hańby religijnego ciemnogrodu, sama zajmując się tym, przeciw czemu protestowała.

Proszę wspomnieć, ile razy przypominano nam, jak wielkimi wrogami wolności są religijne grupy nacisku, które protestowały przeciw najrozmaitszym publikacjom; jak bardzo zaściankowi są obywatele, którzy poprzez protesty doprowadzali

do tego, że w lokalnych bibliotekach tego stanu czy innego hrabstwa nie było tych czy innych tytułów. Owe „księgi cenzury” pisane w tonie: „A to dziwactwo! Co za głupota! Religijna opresja!” opisują dzieje „Zabić drozda”, „Kubusia Puchatka”, „Lolity”, „Czarnoksiężnika z Oz” czy „Zwrotnika Raka”. Ich perypetie to koronne dowody na to, że ciemny lud nie wie, co to wolność słowa i artystyczna ekspresja. Dziś z równym entuzjazmem autorzy i czytelnicy tych skrupulatnych wyliczeń sami tworzą swoje listy cenzorskie, w obronie... no właśnie – czego?

Książek się nie pali, książek się nie cenzuruje, książek się nie zakazuje – rzeczy do niedawna oczywiste przestają nagle być oczywiste. Komunistyczna cenzura eliminowała ze świata demoludów całe nazwiska, literackie dorobki, życiorysy, dbając o to, by nic nie demaskowało zbrodniczego ustroju i mu nie szkodziło. Decyzja

Pilnujcie bibliotek, także tych z książeczkami dla dzieci, zanim usłyszycie, że hasło „Poczytaj mi, mamo” to ostatnie podrygi systemu patriarchalnego

wydawnictwa Puffin o ocenianiu oraz przerobieniu dorobku literackiego zmarłego pisarza (zatem niemogącego się bronić czy protestować) bliska jest właśnie działaniom władzy z dawnych krajów komunistycznych. Rodzicom, dzieciom – ogólnie czytelnikom – odbiera się prawo do oceny, czy książkę można przeczytać czy nie. Odbiera się prawo wyboru: czy chcą, by ich dzieci cieszyły się lekturą czy nie. Co dalej: Czy wycofać egzemplarze z niepoprawnymi, to znaczy niepoprawnymi tekstami? Zakazać ich przechowywania w domach albo uczenia się na pamięć w wersjach nieakceptowanych? Dahl nie jest pierwszą ofiarą; kilka lat temu przez Amerykę przetoczyła się wielka fala unieważniania książeczek dla dzieci Dr. Seussa. Ogłoszono je bowiem „rasistowskimi” (argumentacja była zadziwiająco podobna do znanych z Polski prób unieważnienia wiersza Tuwima o Murzynku Bambo).

Sprawa Dahla w Wielkiej Brytanii stała się tak głośna, że głos zabrał nawet obecny premier Rishi Sunak. Jego rzecznik poinformował, że zdaniem polityka „ważne jest, aby dzieła literackie, dzieła literatury pięknej, były zachowane, a nie wymazywane. Zawsze broniliśmy prawa do wolności słowa i ekspresji”. Jednocześnie pomiędzy tymi dwoma stanowiskami (przerabianie czy zachować w oryginalnej formie) pojawili się przyjaciele wolności słowa, których trudno nazwać inaczej niż fałszywymi. Oto krokodyle łzy nad Dahlem wylewa Philip Pullman (autor „Mrocznych materii”), który wzywa do tego, by zamiast przerabiać książki twórcy „Matyldy”, po prostu o nich zapomnieć, nie wznawiać i pozwolić, by ich miejsce zajęły dzieła nowych autorów. Dzieła tych ostatnich, nie wiedząc czemu, łaskawca Pullman uważa za lepsze. Przypuszczam, że wątpliwe: książki samego Pullmana, twórcy zaciekle antyreligijnego (rzekłbym: Richarda Dawkinsa wśród autorów dla dzieci i młodzieży), dokonaniom Roalda Dahla nie dorastają do pięt. Na chwilę wróciłbym też do cytowanego na początku tweeta Salmana Rushdiego: „Roald Dahl nie był aniołem”. Hm, a pan, panie Rushdie? Czy jest pan aniołem?

Wszystkim, którzy uważają, że mowa o rzeczach odległych i tych, które nas nie dotyczą – wspomnijcie zaciekle ataki nie tylko na Tuwima, lecz także na Henryka Sienkiewicza, który jest ponoć rasistowskim kolonialistą wedle narracji współczesnej lewicy od „Wyborczej” do „Krytyki Politycznej”. Powiem wprost: według kryteriów zastosowanych przez brytyjskich cenzorów książek Dahla zakazać należałoby wiersz Brzechwy „Tańcowała igła z nitką / Igła – pięknie, nitka – brzydko”, ponieważ zawiera wartościujące określenia „pięknie” i „brzydko”, na które wedle nowych barbarzyńców miejsca w nowym wspaniałym świecie już nie ma. „Kłamczucha” i „Leń” stygmatyzują, nie mówiąc już o określeniu „Kaczka Dziwaczka”. Przesadzam? Poczekaście jeszcze kilka lat, przekonamy się, kto ma rację. Na razie pilnujcie swoich bibliotek, także tych z książeczkami dla dzieci, zanim usłyszycie, że hasło „Poczytaj mi, mamo” to ostatnie podrygi patriarchalnego systemu odmawiającego kobietom drogi zawodowej samorealizacji. Wszyscy jesteśmy Roaldami Dahlami, choć jeszcze nie wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

sky SHOWTIME

Chłopak z ferajny



★★★★★
SEZON 1
„TULSA KING”
USA 2022

wyst. Sylvester
Stallone, Andrea
Savage, Jay Will

Dwight Manfredi wie, czym różni się Henry Miller od Arthura Millera, ceni dobre Barolo, lubi dobre garnitury i dotrzymuje danego słowa. A i najważniejsze – jest włoskim gangsterem z Brooklynu, który właśnie wyszedł z pudła po odsiedzeniu 25 lat. Ocalał tym samym swojego bossa (i jego syna) przed więzieniem za morderstwo; teraz chciałby otrzymać stosowną rekompensatę za wierność, cierpliwość i odmowę zeznań. Niestety, jedyne, co boss dla niego ma, to zsyłka do miasta Tulsa w Oklahomie.

Tulsa jest słoneczna, leniwa, piękna i pustawa, a nade wszystko zdaje się rajem w porównaniu z Nowym Jorkiem – choć ma zaledwie jeden dobry hotel. Manfrediemu pół godziny zajmuje pierwsze wymuszenie, zatrudnienie

szofera i położenie podwalin pod działający z sukcesem nowy oddział korporacji mafia. Jakby wpuścić rekina do akwarium z egzotycznymi rybkami. „To miało być moje” – informuje nas optymistycznie Manfredi w finale pierwszego odcinka.

Kibicujemy nowemu bandzirowi w mieście, gdyż jest nim nie kto inny, jak sam Sylvester Stallone. „Italian stallion” ma charyzmę, poczucie humoru i dystans do samego siebie, choć są w serialu chwile, kiedy bezwstydnie jest głaskane jego ego (ach, te młodsze o ponad cztery dekady damy zadurzające się w gangsterze, który właśnie skończył 75 lat). Oczywiście okaże się, że w Tulsie nie brak lokalnych twardzieli, którzy nie powitają nowego gracza z entuzjazmem. Również jego dawni mafijni

koledzy mają co do niego własne plany.

Ogląda się to świetnie, ale jest kłopot z przesłaniem serialu skrojonego przez Taylora Sheridana (tak, tego od „Yellowstone”). Manfredi to przecież bandzior rujnąjący zwykłym ludziom życie. Czy taka postać powinna wywoływać aplauz? Najciekawsze będzie więc, czy w kolejnych sezonach (na pewno będą) zgłębiona zostanie kwestia na razie ledwie zarysowana: odpowiedzialności za to, jaki chaos wprowadza wierny starym zasadom gangster w życie swoich bliskich i jakie zagrożenie sprowadza na tych, którzy u zaufali. Widzowie już to widzą, potencjalne ofiary też; to, czy „Tulsa King” zamieni się w coś więcej niż pustą rozrywkę, zależy od tego, czy dostrzeże to również Manfredi. ©©



NOWE SERIALE: „THREE PINES”

Inspektor Armand Gamache wkracza do akcji. W postać policjanta z Quebecu znanego z serii powieści Louise Penny (pierwsza to „Martwy punkt”) wcielił się Alfred Molina. Serial nakręcony na zamówienie Amazona trafił do polskiej odnogi serwisu HBO Max, co ucieszyć powinno miłośników klasycz-

nych opowieści detektywistycznych. Książki (i serial) zadłużone są u Agathy Christie czy Conana Doyle’a. Tytułowe Three Pines to wioska pod Montrealem, w której toczą się śledztwa Gamache’a. ©© **Piotr Gociek**

• sezon 1 „Three Pines”, Kanada/
Wielka Brytania 2022

HBO MAX

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 3 „The Mandalorian”; USA 2023

Disney+

• sezon 2 „Archiwista”; Polska 2023

TVP VOD

• miniseria „Paris Police 1905”; Francja 2022

CANAL+ SERIALE

Miłość w Niemczech

KINO

W 1943 r. Leopold Tyrmand udawał Francuza i pracował jako kelner w hotelowej restauracji we Frankfurcie. Razem z resztą cudzoziemskiego personelu uprawiał sabotaż, polegający na pluciu do kawy przeznaczonej dla niemieckiego bossa, podkradaniu z piwniczki markowych win i wykwinnych produktów ze spiżarni tudzież uwodzeniu seksualnie wyposzczonych obywateli III Rzeszy. Szesnaście lat później przeżył wspomnienia o tym epizodzie na papier. Film jest mocno podrasowaną wersją powieści. Tyrmand lubił koloryzować, więc pewnie doceniłby inwencję scenarzystów. Filip z książki to lekko- duch, któremu serce

złamała nadobna przedstawicielka „rasy panów”. Filip ekranowy jest agresywny. Upokarzając frankfurckie mieszczki, mści się na ich zbrodniczych ojcach, mężach oraz braciach, próbujących urzeczywistnić sen o germańskim imperium. Im bliżej końca, tym bardziej film odchodzi od literackiego oryginału, jakby Kwieciński przypomniał sobie, że reżyserował „Czas honoru”. Jako widowisko „Filip” się sprawdza, a intensywność, z jaką Eryk Kulm wciela się w straumatyzowanego młodziana, budzi szacunek. Ciekawe, jak na tę próbę pogodzenia dwóch przeciwstawnych tradycji opowiadania o wojnie zareagują widzowie. ©©

Wiesław Chełminiak



★★★★★
REŻ. MICHAŁ KWIECIŃSKI
„FILIP”
POLSKA 2022

wyst. Eryk Kulm
jr, Victor Meutelet,
Caroline Hartig



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CIEŃ GENERAŁA

arte

Intelektualiści w polityce się nie sprawdzają. André Malraux jest wyjątkiem od tej reguły. Przed wojną komunizował, potem jednak „polubił Francję”, a konkretnie de Gaulle’a. Sławił go piórem i oralnie, wygłaszając płomienne mowy. „Chroni mnie przed banałem” – mówił o pisarzu generał. Specjalnie dla swego pupila stworzył nowy resort – kultury. Jako minister Malraux zerwał z anglosaską zasadą nieingerencji. Zakładał domy kultury i nowe muzea, mnożył wydarzenia kulturalne, próbował zarazić rodaków pasją do sztuki. Rozumiejąc, jak wielkie znaczenie dla podtrzymania mocarstwowego statusu Francji ma jej dziedzictwo, przeformował ustawę o ochronie zabytków. Wstydił się jednak pochodzenia, braku dyplomu i tego, że nie walczył w ruchu oporu. Czarno widział przyszłość zachodniej cywilizacji. ©©



★★★★★
REŻ. XAVIER VILLETARD
„ANDRÉ MALRAUX – PISARZ, POLITYK,
POSZUKIWACZ PRZYGÓD” („ANDRÉ
MALRAUX. L'ÉPREUVE DU POUVOIR”)
FRANCJA 2019

GORĄCZKA ŻŁOTA

YouTube

Biedny Bogart! Myślał, że będzie gwiazdą „Skarbu Sierra Madre”. Dał z siebie wszystko, ukrył łysinę pod peruką, mężnie znosił meksykański upał i kaprysy Hustona juniora. Był inny niż w „Casablance”. Tymczasem film ukradł mu Huston senior, brylujący w roli wytrawnego poszukiwacza złota i znawcy ludzkiej natury. Producent Jack Warner prosił o happy end, skuszenie przeczuwając, że w przeciwnym wypadku publiczność nie dopisze. Reżyser stanął okoniem i też miał rację, bo sukces nie ograniczył się do trzech Oscarów (więcej dostał tylko „Hamlet” Laurence’a Oliviera). Siedemdziesiąt pięć lat po premierze arcydzielną pseudowestern wciąż zachwyca, nawet widzów, którzy klasykę mają w pogardzie. A ludzie kina nadal znajdują w nim inspirację. Indiana Jones to przecież wykany Fred C. Dobbs. Mało brakowało, by u boku Bogarta wystąpił młody Reagan. Może wtedy jego życie potoczyłoby się inaczej? ©©



★★★★★
REŻ. JOHN HUSTON
„SKARB SIERRA MADRE” („THE
TREASURE OF THE SIERRA MADRE”)
USA 1948

wyst. Humphrey Bogart, Walter Huston,
Tim Holt

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „SETTLERS: NEW ALLIES”

O tej premierze jest tak cicho, jakby twórcy wstydzili się swojego dziecka. Gra wyszła, bo ją zapowiedzieliśmy, przekładaliśmy premierę, musieliśmy wreszcie wypuścić, ale zmienimy temat, pogadajmy może o nadchodzącym „Assassinie”... Czy mają się

czego wstydzić? Przykro to pisać, bo liczyłem na udany powrót do marki, która przed laty dawała mi sporo frajdy, ale nie jest to najlepszy comeback. Settlersowego ducha – osadnictwa, ekonomii – tu dla mnie za mało, sporo za to irytujących rozwiązań. No dobra,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
może jednak pogadajmy o nadchodzącym „Assassinie”... ©©

Radosław Wojtas

- Gatunek: strategiczna, RTS
- Platforma: PC, zap. XONE, PS4, NS
- Producent; wydawca: Ubisoft

MOJA PÓŁKA

Polkowskiego poezja istotna



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

We wspomnieniowej książce „Ryzyko bycia Polakiem” o swoim miejscu urodzenia pisał: „Bierutów, niewielkie miasteczko na Dolnym Śląsku, w przeciwieństwie do Bierutowic, nie ma nic wspólnego z Bierutem. I dzięki Bogu, bo czułbym się kiepsko, gdybym musiał informować, że urodziłem się w mieście zhańbionym nazwiskiem zdrajcy z wąsikiem ni to Stalina, ni to Hitlera, który firmował najbardziej tragiczny okres sowieckiej okupacji po 1944 roku”. A Jan Polkowski, jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich poetów, tej okupacji, rzecz można, nie przyjmował do wiadomości, w każdym razie żył tak, jakby jej nie było. To dlatego bohater wydanej właśnie książki Józefa Marii Ruszara „Na ziemi i w niebie” do końca PRL nie ogłosił w oficjalnym obiegu żadnego wiersza, publikując wyłącznie w podziemiu.

Dzieciństwo i młodość spędził w Nowej Hucie, pisząc o niej znakomite utwory, wykazujące całą nędrę i zakłamanie osławionego „Poematu dla dorosłych” Adama Ważyka. Równie ważny jak Kraków, w którym osiadł, była zawsze dla niego ziemia przodków – Wileńszczyzna, której ontologiczny status – powiada Ruszar – podkreślał „przez niewyraźne, bo nigdzie niewypowiedziane wprost przyrównanie do Ziemi Świętej”.

Internowany w stanie wojennym, w wolnej Polsce poetycko zamilkł na blisko 20 lat, poświęcając się służbie publicznej (m.in. przez pewien czas był rzecznikiem prasowym rządu Jana Olszewskiego). Do literatury powrócił w 2009 r. świetnym tomem „Cantus”, trzy lata później wydając niezwykle „Głosy”, czcząc pamięć ofiar Grudnia 1970 r.

Ponad 40 lat temu opublikował, naturalnie w drugim obiegu, wiersz „Rosja”, którego bohaterem uczynił Josifa Brodskiego, noblistę, dysydenta z Leningradu, rosyjskiego Żyda w ZSRS skazanego na zesłanie i przymusowe roboty, a potem pozbawionego sowieckiego obywatelstwa i wyrzuconego z kraju. W utworze tym, nawiązującym do cytowanego „Końca pięknej epoki”, Polkowski pisał:

**Wiatr / wolny /, goni / wolny /, liście / nu, padniamajsa
płaskie twarze żołnierzy, więzienny
drelich, wiatr,
boski dar słowa: wiatr. / Wam,
obywatelu, Ojczyzna
zakazuje używać słowa:
wiatr.**

Zmarł Brodski w 1996 r. w wieku 56 lat, pochowano go w Wenecji. Był – mówiąc bez przesady – natchnieniem wolnego świata, w Polsce, gdzie trzy lata przed śmiercią uhonorowany został doktoratem Uniwersytetu Śląskiego, noszono go na rękach, jako ofiarę komunizmu, ale przede wszystkim poetę z Bożej łaski, autora sławnej „Wielkiej elegii dla Johna Donne’a” i takich wierszy, jak np. „Ze smutkiem i czułością” („Znów na kolację był makaron z wody, / I ty, Mickiewicz, nie tknąłeś go prawie...”) poznawanych za pośrednictwem podziemnego „Zapisu”, przyjaciela Polski i Polaków ze szczególnym uwzględnieniem Czesława Miłosza. I oto całkiem niedawno przypomniany został, wcześniej niepublikowany, zupełnie inny wiersz tego twórcy: „Na niepodległość Ukrainy”, z 1994 r. Haniebny:

**Mówmy, dźwięków materię pauzami
znaczyć surowo:
Krzyż wam na drogę, chachły, po
liżniku droga.
Idźcie strojni w żupany, by nie rzec
w mundury,**

**W rosyjskie trzy litery, w świata
cztery strony.**

**Niechaj teraz w lepiance chórem
z wami Hansy
Z Lachami zrobią porządek, pohań-
cy...**

Nic dziwnego, że – jak pisze Józef Maria Ruszar – „Brodski stracił zaufanie Polkowskiego, kiedy wyszło na jaw, że były zek sowieckich łagrów nie był w stanie pozbyć się wielkoruskiej buty i pogardy dla słabszych narodów i uznać ich prawa do niepodległości [...]. Jest to zresztą jeden z licznych przykładów na skazę rosyjskiej kultury, w której nawet najwybitniejsi, jak Aleksander Puszkyn czy Fiodor Dostojewski, czuli pogardę do innych Słowian – stąd nowa wersja »Do przyjaciół Moskali«, napisana w czasie inwazji Rosji na Ukrainę”.

Zainteresowanych odsyłam do „Nowych wierszy” (2022), gdzie znajdują i inny, niesłychanie ważny utwór Jana Polkowskiego, który kolejny raz w swojej twórczości dotyka tego, co najistotniejsze i najtrudniejsze. Jak przystało na poezję poważną i prawdziwą. Bo przykładem takiej jest „Życie z wojną”:

**Pojedналиśmy się z wojną nim spakowa-
wała dobytek
i wyjechała gdzieś w rodzinne strony
Patrzmy na jej ciało leżące daleko
w rowie w fiolecie storczyków
i tiarze czarnego dymu
Widać na ekranie jak dogasa bez
skargi
w płomykach ocalenia**

**Doprawdy potrafimy żyć z wojną
więc nie musimy się bronić
Inaczej niż przodkowie którzy by
uciec przed własną
Emigrowali ze świata
Teraz się uczą w podziemiu
jak żyć z przestrzeloną czaszką. © ©**



★★★★★
**JÓZEF MARIA
RUSZAR
„NA ZIEMI
I W NIEBIE.
SZKICE
O ZIEMSKIEJ
I NIEBIESKIEJ
OJCZYZNIE JANA
POLKOWSKIEGO”
INSTYTUT
LITERATURY,
KRAKÓW 2022**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Talent i naiwność

Bywają korzyści z oglądania Netflixa i dla czytelników: po odkryciu włoskiego serialu „Zakłamanie życia dorosłych” sięgnąłem po książkę, na której go oparto. I tak odkryłem Elenę Ferrante, pisarkę, która wcześniej umknęła memu radarowi (nie da się czytać wszystkiego). Jej cykl „Genialna przyjaciółka” (opus magnum strzegącej pilnie swej prywatności autorki) dostępny jest i w Polsce. Ciekawe pisanie, podobnie jak „Zakłamanie życia dorosłych”, choć już „Córka” (z ekranizowana przez Maggie Gyllenhaal) jednak mnie rozczarowała elegancką banalnością. Wszystkie te historie obracają się wokół podobnych tematów: dorastanie i dojrzewanie kobiety we współczesnych Włoszech lub/oraz kryzysy osobiste i zawodowe wieku średniego.

Ja jednak zawsze ciekawski byłem w kwestii pisarskich biografii – ktoś zacznie ta utalentowana kobieta, skoro pisze pod pseudonimem, a jej tożsamość stała się przedmiotem śledztwa zarówno wócibskich reporterów, jak i profesorów uniwersyteckich szukających klucza w analizie jej dzieł? Nie znam zbioru „La Frantumaglia” sprzed 20 lat, w którym Ferrante (nie wychodząc

poza pseudonim) pisze o swoich młodych latach i o tym, co ją ukształtowało. Ukazał się za to tom „Przygodne rozważania” – zestaw krótkich felietonów (na pewno nie esejów, jak wmawiają nam na okładce!) pisanych dla „Guardiana” i ilustrowanych przez Andree Uciniego (ilustracje trafiły i do książki).

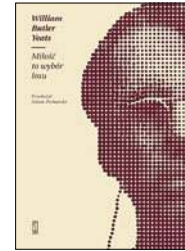
Najczęściej ładne to drobiazgi i szczere. „Z pierwszej miłości pamiętamy jedynie własne rozemocjonowanie” – wspomina młodość Ferrante. Oglądając „Solaris” Tarkowskiego, zastanawia się nad tym, jak reżyser wydobyl z książki Lema zupełnie inne tony niż można się było spodziewać. Spowiada się z własnych strachów. Zastanawia nad tym, co pisarza czyni pisarzem. Jednocześnie są to wyznania bardzo charakterystyczne dla współczesnej inteligencji Zachodu – gdy sprawy dotyczą polityki, przenikliwa autorka zamienia się w bezmyślną papugę powtarzającą najgłupsze klisze propagandowe: Orbán miesza się jej z Trumpem, Putin z Salvinim, wszystko to z Marine Le Pen, a za współczesną kulturę kłamstwa zawsze odpowiada tylko jedna strona sporu. Widać, każdy kraj ma taką Tokarczuk, na jaką sobie zasłużył. ©©



★★★★★
ELENA FERRANTE
„PRZYGDNE ROZWAŻANIA”
SONIA DRAGA
2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Irlandzki noblista w wyborze i przekładzie Adama Pomorskiego. „Powieściopisarz może opisywać przypadkowość, chaos, poecie nie wolno” – pisze Yeats we wstępie do wierszy z 1937 r.



WILLIAM BUTLER YEATS
„MIŁOŚĆ TO WYBÓR LOSU”
PIW

Reżyser, jego życie i dzieło w 10 rozdziałach – wywiad rzekę prowadzi Jacek Moskwa. „Z pewną dozą zdziwienia obserwuję zanik sprzeciwu wobec świata” – mówi Zanussi pod koniec. Dobra puenta na złe czasy.



KRZYSZTOF ZANUSSI
„SAMOTNOŚĆ FAUSTA”
ZNAK

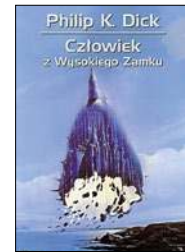
Mistrz czarnego humoru dla młodszego czytelnika („Seria niefortunnych zdarzeń”) w wersji ciepłej i dydaktycznej. Krótka opowieść o dziecięcych lękach z krępującym zakończeniem.



LEMONY SNICKET
„LASZLO BOI SIĘ CIEMNOŚCI”
WYDAWNICTWO FRAJDA

Wznowienie najslawniejszej historii alternatywnej. Nie tylko świat, w którym III Rzesza i Japonia wygrywają wojnę, ale przede wszystkim pytania o to, co ukryte: prawdziwy kształt rzeczywistości.

recenzuje Piotr Gociek



PHILIP K. DICK
„CZŁOWIEK Z WYSOKIEGO ZAMKU”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA:

„MROczne MIASTa. BRUSEL”
Tom piąty serii uznawanej za arcydzieło belgijskiego komiksu. Tym razem oniryczna, surrealistyczna historia rozgrywa się w scenarii fantastycznej, alternatywnej Brukseli. Główny bohater – podobnie jak inni mieszkańcy – pada ofiarą szaleńczych reformatorów: stare miasto jest wyburzane, by tworzyć miejsce dla uto-



BENOÎT PEETERS, FRANÇOIS SCHUITEN
„MROczne MIASTa. BRUSEL”
SCREAM COMICS
2022

pijnej metropolii przyszłości. Ale im bardziej postępuje dzieło przebudowy, tym mniej jest w nim miejsca dla zwykłych ludzi. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Malarstwo **krakowskie**

Wystawę „Jacob Mertens i malarstwo krakowskie około roku 1600” inauguruje Zamek Królewski na Wawelu rok 2023. Składa się na nią ponad 30 eksponatów. Nie tylko obrazów, lecz także innych dzieł (rysunek, rzeźby z kości słoniowej). Na ekspozycji znalazł się również ołtarz z warsztatu Jakuba Mertensa, którego najważniejszą częścią jest

„Zwiastowanie”, najsłynniejszy obraz pędzla tego artysty.

Dzieła „wybitne, chociaż mało znane, w większości nigdy niepokazywane w muzeach dzieła – piszą kuratorzy. – To obiekty utrzymane w manierze typowej dla sztuki niderlandzkiej, które wyszły spod pędzla artysty uznanego za mistrza detalu”. Mistrza, który przyszedł na świat i kształcił się w Antwerpii. Osiadł w Polsce, w Krakowie, zostając w październiku 1589 r. członkiem miejscowego cechu malarzy i skupiając wokół siebie malarzy pochodzenia flamandzkiego. W przestrzeni wystawy zaakcentowane jest zjawisko przenikania wpływów niderlandzkich do Polski w XVII w. ©

GDZIE? Zamek Królewski na Wawelu
KIEDY? do 16 kwietnia



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU



FOT. MUZEUM HISTORYCZNE W LUBLINIE

UKRAINA WALCZY

Wystawa „Ukraina 360” otwarta 23 lutego w Lublinie ma być „próbą zaprezentowania zniszczeń, bólu i okrucieństwa, jakie niesie za sobą wojna”. Wystawę podzielono na część „zewnątrzną” i „wewnętrzną”, przenoszącą zwiedzających m.in. do wnętrza mieszkania zniszczonego bombardowaniem osiedla mieszkaniowego. „Utworzenie tej wystawy jest symbolicznym gestem, którym chcemy uhonorować młode Państwo, które walczy o swoją niepodległość. Doceniając to, że walczy również w naszym imieniu” – piszą organizatorzy. ©

GDZIE? Park Leśny w Lublinie
KIEDY? do listopada

NA SŁUCH

Niski **poziom życia**



GRZEGORZ BRZozowicz

Po samobójczej śmierci Iana Curtisa, wokalisty Joy Division, pozostali członkowie grupy przyjęli nazwę New Order. Na trzecim albumie, „Low-Life” z 1985 r., ostatecznie dopracowali się nowego, oryginalnego brzmienia, stając się w Wielkiej Brytanii jednym z najbardziej cenionych zespołów lat 80.

New Order dzięki pionierskiemu połączeniu estetyki nowej fali i pulsacji podziemnej sceny tanecznej stworzyli przemawiającą wersję synthpopu, przemawiającego – jak to określono na Wyspach – do umysłu, ciała i duszy.

W połowie lat 80. w polskich sklepach nie było płyt gwiazd światowej muzyki. Mimo braku dewiz Marek Proniewicz, szef państwo-

wej wytwórni „Tonpress”, nawiązał współpracę z czołowymi brytyjskimi wydawcami muzyki niezależnej (Factory, Rough Trade, Mute, 4AD). Płacąc jedynie złotówkami (!), zakupił licencje na albumy tak nietuzinkowych wykonawców jak The Smith, Cocteau Twins, Depeche Mode czy Joy Division. Pierwszą płytą wydaną w Polsce z muzyką brytyjskich grup niezależnych była właśnie „Low-Life” New Order. Okładki były drukowane w Czechosłowacji, a płyty tłoczone w Związku Radzieckim. Album rozszedł się w nieosiągalnym dziś, 40-tysięcznym nakładzie.

Nowe wydanie „Low-Life” zawiera dodatkowy kompakt z nagraniami demo, dwa koncertowe DVD i książkę w twardej oprawie. ©



★★★★★
NEW ORDER
„LOW-LIFE”
WARNER



★★★★★
GORILLAZ
„CRACKER ISLAND”
PARLOPHONE
Wirtualna grupa prowadzona przez

Damona Albarna (Blur) i rysownika Jamie Hewletta wydała ósmy album. Jak zwykle jest wielu gości (m.in. Stevie Nicks, Beck i portorykański raper Bad Bunny). Tanecznie, balladowo, prześmiewczo i strasznie. Nic nowego, ale słucha się świetnie.



★★★★★
JOE HENRY
„ALL THE EYE CAN SEE”
EAR MUSIC

U nas jest mało znany, mimo że wydał już 18 albumów. Szkoda, bo jego osobiste opowieści wzbogata intrygująca muzyka czerpiąca inspirację z jazzu, soulu czy folku. Polecam miłośnikom Toma Waitsa i Nicka Cave’a, szczególnie że na płycie są m.in. Bill Frisell, Marc Ribot i Daniel Lanois. ©



Krzysztof Masłowski

Zmyliły mnie rozgrywane w słoweńskiej Planicy mistrzostwa świata w lataniu w powietrzu z przypiętymi nartami, w naiwności swojej myślałem bowiem, że to już finał sezonu i skończy się wreszcie przełączanie telewizora z TVN na TVP, w zależności od tego, czy Kubacki z Żyłą skaczą w Zakopanem czy w Wiśle lub w jakimś Lahti albo innym Vikersundzie. A propos, wiedzą państwo, jakie są najpopularniejsze wśród Polaków i najlepiej znane miejscowości w Niemczech, Austrii i Szwajcarii? Odpowiednio: Titisee-Neustadt, Bad Mitterndorf i Engelberg. Się ogląda, się wie.

A sezon skoków skończy się dopiero na początku kwietnia, zresztą znów w Planicy, gdzie sympatycznie jest nadzwyczaj, jako że publiczność (słoweńsko-polska) pod wpływem środków rozveselających i, oczywiście, rozgrzewających, wykazuje niemal ten sam stopień rozochocenia, co widownia konkursów o Puchar Świata pod Tatrami czy uczestnicy Sylwestra Marzeń w tym samym miejscu.

Trzeba przyznać, że organizatorzy zawodów w skakaniu na nartach wychodzą z siebie, by urozmaicić te imprezy jakoś coraz bardziej podobne do siebie, tak że nawet się specjalnie nie dziwię, że – przynajmniej jak dotąd – trzeci potentat na naszym rynku telewizyjnym, czyli Polsat, darował sobie rywalizację o to, kto będzie to skakanie pokazywał spragnionej emocji sportowych (?) i rozrywki (?) telewizorni. I tak, żeby zwiększyć liczbę państw rzekomo rozwijających skakanie z góry na dół z obowiązko-

wym telemarkiem, wprowadzono w tym roku rywalizację duetów narciarskich i stąd w takim np. siedmiogrodzkiem Râșnovie zaprezentowało się aż 14 reprezentacji narodowych, z Chinami włącznie. Tylko tak dale, a gdy w szranki wstąpią Botswana i Bangladesz, staną się skoki prawdziwą potęgą wśród sportów olimpijskich, a i nasza pozycja jako sportowego potentata ulegnie wzmocnieniu. Niepokoi jedynie, że prezes Polskiego Związku Narciarskiego, sam Adam Małysz, nie może namówić naszych dziewcząt, by poszły w jego ślady i nauczyły się oddawać „dwa dobre skoki”. Niestety, jak już nawet jakieś dziewczę się na to zdecyduje, to okazuje się klinicznie niezdolne. Pech.

Ale skoki skokami, a nie należy zapominać i o innych

dyscyplinach sportowych, bo w każdej można zdobyć medale, puchary, pieniądze, a i po osiągnięciu sukcesu doczekać się zaproszenia na śniadanie z panem prezydentem albo premierem. Postawmy np. na darta. Podobno wziął się on z rywalizacji wojowników znudzonych obcinaniem sobie głów i właśnie rzucaniem łotkami do celu urozmaicających sobie życie. Teraz istnieją profesjonalne organizacje organizujące turnieje darta, z transmitowanymi przez telewizję (w styczniu pokazywała je TVP) mistrzostwami świata włącznie. Polacy na razie nie odnoszą w tej dyscyplinie oszałamiających sukcesów, ale krok po kroku, a staną się i one naszym udziałem. Już dziś zresztą entuzjaści tej dyscypliny sportu nasuwającej mi, Bóg raczy

Od przybytku głowa boli

wiedzieć dlaczego, skojarzenia z zapamiętanymi z lat dziecięcych grami w zośkę i cymbergają, podkreślają wyczyny Krzysztofa Ratajskiego zwanego Polish Eagle. A za plecami tego orła aż kłębi się od innych darterów, czyli pomniejszych orzełków. Jasne, że w koronie.

Z innych sportów nie dość jeszcze spopularyzowanych nad Wisłą, Odrą i Bugiem na czoło zdecydowanie wysuwa się snooker. Grających w niego nie należy nazywać bilarzystami, biliarz bowiem ma bodaj kilkadziesiąt odmian, z ruską piramidką włącznie, i o nieporozumienia łatwo, jak z grą w krykieta i gorodki. Te ostatnie, którymi zabawiali się i Tołstoj, i Stalin, to zresztą raczej ruskie kręgle, a z kręglami – ostrzegam – postępować trzeba ostrożnie, o czym dobitnie przekonał się Brajan Cebula z tasiemca „Klan”, ulegając bolesnej kontuzji podczas wizyty w kręgielni, gdzie swego kolegę i suchego szwagra w dodatku usiłował wydobyć z depresji za pomocą rzucania kulą do celu. Ciężka.

Rozwijają się nam też nieźle i inne sporty, do niedawna jeszcze uważane za egzotyczne i przynależne do mniej lub bardziej odległych nam kultur (?) i cywilizacji, trudno jednak sądzić, by futbol w swojej odmianie amerykańskiej wyparł w Polsce piłkę zwaną (s)kopaną, a golf dajmy na to jeżdżenie w kółko na pojazdach jednośladowych bez hamulców, czyli żużel. Mamy swoje przyzwyczajenia, nawyki i nałogi, i z dnia na dzień ich nie odmienimy. Jeszcze długo spożycie gorzały będzie u nas zdecydowanie wyższe niż whisky, choć praktycy utrzymują, że jedna i druga wali po łbie z tym samym skutkiem.

Ale co tam, grunt, że sport to zdrowie! ☺☺

FOT. ROBERT CIECHOWSKI / FEM / PAP



Z Ryszardem Czarneckim,
eurodeputowanym Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Polskie przedmurze



RYSZARD GROMADZKI: Jak wytłumaczyć zasadniczą zmianę podejścia Niemiec w sprawie pomocy dla Ukrainy? Rok temu władze w Berlinie wysłały Ukraińcom partię hełmów, teraz kanclerz Scholz dał zielone światło na przekazanie Ukrainie czołgów Leopard. Niemcy ostatecznie odwróciły się plecami od Rosji? Czy to tylko pozory, a gra prowadzona przez Berlin wobec wojny na Ukrainie jest znacznie bardziej zniuansowana?

RYSZARD CZARNECKI: Zmiana stanowiska Niemiec jest wbrew pozorom mniej

głęboka, niż się wydaje. Co więcej, to zapewne zmiana czasowa. W swej długoterminowej strategii Berlin zakłada, że np. po śmierci lub odejściu Putina czy po zawarciu jakiegoś pokoju wymuszonego przez Amerykanów – a także przez Niemcy i Francję – Rosja nie zniknie. Będzie słabsza, ale nadal będzie stanowiła duży, liczący ok. 140 mln mieszkańców rynek zbytu i inwestycji. Dlatego z punktu widzenia rządu w Berlinie

Niemcy nie powinny przedwcześnie rezygnować z bycia pomostem pomiędzy Rosją a Europą i odwrotnie: pomiędzy Europą i Rosją.

Jednocześnie Niemcy zauważyły w końcu coś, co od wielu miesięcy widoczne jest nawet dla średnio rozgarniętych studentów politologii – jak bardzo Berlin stracił na znaczeniu w rezultacie błędnego rozpoznania sytuacji po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Berlin przecież



FOT. ZBIGNIEW WESSNER/PAP

prezydentury Bidena – rolę „partnera numer jeden” USA w Unii Europejskiej.

Kraje bałtyckie, które wcześniej ciążyły ku Niemcom – że przypomnę tylko wiernopoddańcze wobec Berlina przemówienie pani Kallas, premier Estonii, na początku 2022 r., inaugurujące estońską prezydenturę w Unii – teraz zaczęły się orientować na nasz kraj. Podobnie zresztą jak w dużej mierze państwa skandynawskie starające się o wejście do NATO. W tej sytuacji Niemcy skalkulowały, że nawet taktycznie, czasowo należy zmieść front i oficjalnie wesprzeć Kijów.

Podkreślę jeszcze raz: to nie jest zmiana strategiczna, tylko taktyczna. Sądzę też, że jest ona bardziej werbalna niż rzeczywista. W tym miejscu zwrócę uwagę na oświadczenie prezesa koncernu zbrojeniowego Rheinmetall, producenta leopardów. Powiedział on, że dostawa tych czołgów na Ukrainę nastęrcza dużo problemów technicznych, wymagają one napraw itp. Tym samym osłabił przesłanie Olafa Scholza. Myślę, że to wystąpienie było uzgodnione z kanclerzem. Prezes Rheinmetall poprzez ten wywiad chciał uspokoić sporą część opinii publicznej w Niemczech zaniepokojoną dostawami broni na Ukrainę. Dodatkowo słyszymy, że na Ukrainę mają z RFN trafić przestarzałe wersje leopardów czy armatohaubice, które rozpadały się już po paru dniach.

Wygląda na to, że pod szczytnym hasłem wsparcia ciężkim uzbrojeniem walczącej Ukrainy Niemcy chcą upchnąć tam szmelc zalegający w magazynach Bundeswehry.

Pewnie trafią tam też nowoczesne czołgi. Ale czy wraz z nimi Ukraińcy nie dostaną czasem też złomu, który będzie im przydatny przez kilkadziesiąt godzin, jeśli w ogóle? Podsumowując niemiecką strategię wobec Ukrainy, można zauważyć, że Berlin gra na kilku fortepianach. Na jednym stara się grać w tej samej tonacji co Stany Zjednoczone czy Polska. Na drugim, który ma cały czas w odwodzie, słysząc raczej rosyjskie melodie. Jest to już zupełnie inna gra geopolityczna, obliczona na to, co będzie po zakończeniu wojny, gdy Rosja, choć osłabiona gospodarczo, militarnie, demograficznie i wizerunkowo, zostanie istotnym punktem odniesienia nie tylko dla Niemiec.

założył, że Rosja „pozamiata” Ukrainę w ciągu kilku dni, a najdalej kilku tygodni, ostatecznie paru miesięcy.

W to opróżnione przez Niemcy miejsce lidera Europy, a także lidera pewnych wartości, takich jak obrona demokracji, prawa człowieka czy integralność terytorialna, weszła Polska. W kolejnych tygodniach i miesiącach tej wojny rola Polski rosła. Warszawa, kosztem Berlina, odzyskała po roku „smuty” – od rozpoczęcia

Powiedział pan, że międzynarodowa rola Polski od początku wojny na Ukrainie bardzo wzrosła. Staliśmy się kluczowym partnerem USA w Unii Europejskiej. Jednak realizm podpowiada, że renta geopolityczna, z której korzystamy w związku z agresją Rosji na Ukrainę, skończy się, kiedy na Ukrainie umilkną strzały. Czy dobrze wykorzystujemy moment, która dała nam historia?

Chciałbym, żeby ten czas – pewnie nie taki krótki, bo jestem przekonany, że wojna potrwa jeszcze długo, ale przecież to nie znaczy, że wiecznie – nasze państwo wykorzystało jak najlepiej. Na pewno o niektórych rzeczach nie wiemy. To, co mnie martwi w debacie publicznej, to skupienie się naszej klasy politycznej na myśleniu: „Kto wygra wojnę?”, a nie równoległe na myśleniu już teraz: „Kto wygra pokój?”. Tymczasem już dzisiaj

Niemcy skalkulowały, że nawet czasowo należy zmienić front i oficjalnie wesprzeć Kijów. To nie jest zmiana strategiczna, tylko taktyczna

trzeba myśleć o odbudowie Ukrainy przy udziale Polski, polskiego biznesu, polskich firm. Trzeba też reagować na decyzje Kijowa, jak ta o mianowaniu na stanowisko wiceministra spraw zagranicznych byłego ambasadora Ukrainy w Niemczech, który negował ludobójstwo Polaków i Żydów przez OUN-UPA w czasie drugiej wojny światowej. Czy też reagować na wypowiedzi takie jak ta doradcy prezydenta Zełenskigo – na szczęście już byłego – który mówił, że Ukraina będzie rywalizować z Polską o przywództwo w tej części Europy i że tę rywalizację wygra. Trzeba także zauważać to, co oficjalnie padło ze strony władz w Kijowie na konferencji w Szwajcarii dotyczącej odbudowy Ukrainy – mianowicie, że Polsce ma przypaść do odbudowania Donieck. Czemu nie zaoferowano tego Niemcom? Działo się to tuż po tym, gdy oddaliśmy Ukrainie nasze uzbrojenie w krytycznym momencie rosyjskiej inwazji.

■ Szacuje się, że oddaliśmy Ukrainie nawet 30–40 proc. ciężkiego uzbrojenia polskiego wojska. Czy to nie jest polityka zębna w skutkach? Czy nie jest tak, że Ukraina umiejętnie wykorzystuje państwo polskie w czasie tej wojny, bardzo pozytywne nastawienie Polaków, które z taką siłą dało o sobie znać natychmiast po rosyjskiej agresji?

Wolę mówić o tym, żeby Polska wykorzystała koniunkturę, co do której jesteśmy zgodni, że jest wyjątkowa. Jesteśmy teraz na historycznej fali, jak surfer, którego ta fala niesie, tyle że kiedyś ta fala się skończy. Trzeba wiedzieć, gdzie będzie nasze miejsce. A ono zależy od tego, jak wykorzystamy czas, który ofiarowała nam historia.

Mam wrażenie, że my w Polsce mamy do czynienia z romantycznym podejściem do wojny Rosji z Ukrainą, opisujemy ją – i słusznie – jako walkę jasnej i ciemnej strony mocy. Musimy bezwzględnie tę jasną stronę mocy wspierać. To oczywiste, ale to też jest polityka międzynarodowa. Musimy pamiętać o tym, żeby wspierając Ukrainę, maksymalizować nasze korzyści, myśleć o tym, co będzie nie tylko w czasie tej wojny, lecz także po jej zakończeniu. W społeczeństwie narasta poczucie, że w końcu musimy zacząć myśleć o sobie.

Jako wujek Dobra Rada dobrze radzę mojej formacji, z którą jestem na dobre i złe: maksymalizujmy zyski, żeby się nie okazało, że się rozjeżdżamy, jako PiS, z nastrojami części naszego elektoratu. To jest naprawdę ważne nie tylko w wymiarze polityki międzynarodowej w długim horyzoncie, lecz także w wymiarze bieżącym, chociażby w kontekście nadchodzących wyborów. Powinniśmy pokazać naszym wyborcom – albo tym wyborcom, którzy się wahają między PiS a Konfederacją – że tylko my możemy skutecznie realizować politykę obrony interesu narodowego, że wiemy, jak to robić, i wiemy, czego chcemy.

Czy pomagając Ukrainie na tak ogromną skalę, Polska ma w zamian szansę stać się, jak zaproponował ostatnio prezydent Zełenski, jednym z gwarantów przyszłego pokoju obok USA, Francji, Niemiec i Izraela? Czy znów skończy się na jakimś nowym „formacie normandzkim” bez naszego udziału, jak za czasów rządów Platformy Obywatelskiej?

Oczekiwałem, żeby to polski prezydent, polskie władze proponowały

własny 10-punktowy plan pokojowy dla Ukrainy. Możemy odnosić się do planu zaproponowanego przez Zełenskiego, ale to jest reaktywne. Powinniśmy mieć własny scenariusz, zawierający naszą wizję i konkretne propozycje, i wymuszać na naszych partnerach bliższych i dalszych, żeby te propozycje realizowali.

Oczywiście nie ma co obwiniać Zełenskiego, że Polski zabrakło w „formacie normandzkim”, bo jak się ten „format” tworzył, on jeszcze prawdopodobnie nie myślał o polityce. Rosja nie chciała Polski w tym „formacie” z oczywistych powodów. Ukraina Poroszenki niewiele w tej sprawie zrobiła, a także nie miała wiele do powiedzenia. Niemcy i Francja były wdzięczne Moskwie, że ta protestowała przeciw udziałowi Polski. Dopuszczenie Rzeczypospolitej – jedynego państwa NATO i Unii Europejskiej mającego

**Maksymalizujmy zyski.
Żeby się nie okazało, że się
rozjeżdżamy z nastrojami
części naszego elektoratu**

wspólną granicę zarówno z Ukrainą, jak i Rosją – do tego „formatu” nie leżało w interesie Berlina i Paryża. Oczywiście za to fiasco polskiej polityki wschodniej można pewnie obciążać rząd Platformy Obywatelskiej i PSL – i słusznie. Jednak podstawową przyczyną braku Polski w „formacie normandzkim” było „trójpoko rozumienie złej woli”, zawarte w trójkącie Moskwa – Berlin – Paryż.

Prezydent Zełenski ma silny mandat demokratyczny i może przedstawiać plany polityczne, jakie chce. Chcę jednak zwrócić uwagę, że Berlin i Paryż ze względu na rolę Rosji w ich polityce nie zrezygnują ze swoich priorytetów, a Izrael ze względu na zagrożenia dla siebie na Bliskim Wschodzie, choćby w Syrii, też nie będzie się angażował w jakiś antyrosyjski front. Myślę, że formuła, którą zaproponował Zełenski, jest i interesująca, i ryzykowna, choć dla dobra Ukrainy byłoby bardzo źle, gdyby Polski w niej nie było. To będzie sprawdzian dla Waszyngtonu – czy obroni udział Polski w tym „formacie”.

Po zakończeniu wojny na Ukrainie Polska zyska status „przedmurza Zachodu”? Są ku temu geopolityczne przesłanki?

Wielkie państwo – a Polska jest jednym z największych państw Unii Europejskiej i największym państwem Europy Środkowo-Wschodniej – musi sobie stawiać wielkie cele. Roman Dmowski pisał, że państwo, które nie stawia sobie wielkich celów, cofa się. Przestrzegaj przed minimalizmem narodowym.

Na pewno żyjemy w czasach wielkiego kryzysu ekonomicznego, ale – jak to bywa w ekonomii – na kryzysie tracą najmniejsi, a zyskują najwięksi. Polska musi być wśród tych największych. Musimy – jak to powiedział kiedyś prezydent Lech Kaczyński – grać nawet powyżej tego, co mamy w kartach. Polska musi się ustawić w roli ambasadora Zachodu wobec Wschodu. Ukraina będzie po tej wojnie totalnie wyniszczona, nawet jeśli ją wygra.

Powszechnie zastanawiamy się, kto wygra tę wojnę, a ja mówię, że może ona skończyć się remisem, czyli jakimś kulawym zawieszeniem broni, które Amerykanie, ze zmęczoną konfliktem opinią publiczną w Stanach – może nie w takim stopniu jak w czasie wojny wietnamskiej, ale jednak zmęczoną – wymuszają na Ukrainie. Może to być pokój, który będzie być może oznaczać czasową utratę części terytoriów ukraińskich. Nasz południowo-wschodni sąsiad znajdzie się wtedy w wyjątkowo trudnej sytuacji.

Niedawno wiceszef Komisji Europejskiej, Timmermans, powiedział bez ogródek, że nie ma mowy, żeby Ukraina wstąpiła do Unii Europejskiej, dopóki na jej terenie będą stacjonować rosyjskie wojska. My musimy twardo pokazywać, że nie będzie trwałego zabezpieczenia interesów Zachodu bez zapewnienia znaczącej roli Polski. Formuła, w której sprawę bezpieczeństwa w Europie Wschodniej próbowano załatwić z Berlina i Paryża, doprowadziła do katastrofy – w postaci najwickszej wojny na naszym kontynencie od czasu drugiej wojny światowej, spowolnienia gospodarki światowej i przestawienia jej na tory półwojenne. Jeśli Zachód zainteresowany jest stabilizacją Europy Wschodniej, to nie będzie to możliwe bez Polski. O tym trzeba mówić im każdego dnia i nocy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



DODATEK SPECJALNY – część 16

Religie wobec LGBT

- Judaizm, islam, protestantyzm – jak widzą ideologię LGBT?
- Dlaczego Kościół otwiera się na LGBT?



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 9a77d2b09f

Gdyby zależało to wyłącznie od państw zachodnich, piłkarskie mistrzostwa świata w Katarze stałyby się prawdziwym festiwalem LGBT. Przedstawiciele drużyn z co najmniej kilku państw chcieli na różne sposoby manifestować swoje wsparcie dla politycznego ruchu homoseksualnego w krajach islamskich. Kapitanowie reprezentacji Anglii, Niemiec, Belgii, Walii, Szwajcarii czy Danii zamierzali nosić tęczową opaskę, która promuje afirmację wszelkich możliwych „orientacji” i „tożsamości” seksualnych. Władze Kataru nie chciały jednak na to przystać i w zakulisowych rozmowach z FIFA ustaliły, że tego rodzaju zachowania zostaną zablokowane. FIFA rzeczywiście zagroziła piłkarzom karą dyscyplinarną, co doprowadziło do całkowitego wyzucia ubiegłorocznego mundialu z przejawów tęczowej agitacji – jeżeli nie liczyć takich wypadków, jak wtargnięcie na boisko aktywisty z wielobarwną opaską na ramieniu.

W Katarze, podobnie jak w innych krajach rządzonych przez muzułmańskie władze, nie ma możliwości propagowania ideologii LGBT. Wynika to zarówno z religijnie motywowanej niechęci do homoseksualizmu, jak i z postrzegania tęczowej ideologii jako rozsądnika zepsucia podważającego fundamenty życia społecznego.

KORAN I HADISY

Islamska tradycja koraniczna nie zajmuje się szczegółowo zachowaniami homoseksualnymi, ale sugeruje ich zdecydowane potępienie. W surze siódmej Koran nawiązuje do biblijnej historii Lota. „I posłaliśmy Lota, który powiedział do swego ludu: »Czy będziecie popełniać takie obrzydliwości, jakich przed wami nie dopuścił się żaden ze światów? Kierujecie swe pożądanie do mężczyzn zamiast do kobiet. Nie! Wy jesteście ludźmi, którzy przekraczają wszelkie granice«” – głosi księga. Koran podaje, że, „lud Lota” nie reagował na napomnienia, więc Allah zdecydował o wygubieniu sprzyjających homoseksualizmowi grzeszników „deszczem ognia i siarki”. Tekst jest zatem oczywisty i większość muzułmańskich prawników wyprowadza z niego bezwzględny zakaz stosunków intymnych między osobami tej samej płci. Liberalna

Islam a LGBT.

Czy świat muzułmanów stanie się tęczowy?



Paweł Chmielewski

Świat islamu uchodzi za radykalnie przeciwny rewolucji LGBT. Poniękąd słusznie, bo to właśnie w krajach muzułmańskich obowiązują za kontakty homoseksualne surowe kary, miejscami włącznie z karą śmierci. A jednak wiele społeczeństw islamskich cechuje w tej sprawie głęboka hipokryzja, zwłaszcza gdy idzie o relacje dorosłych mężczyzn z chłopcami

mniejszość, idąc zresztą śladem chrześcijańskich egzegetów Starego Testamentu, próbuje przedstawiać zniszczenie Sodomy i Gomory jako karę za... brak gościnności, ale ta interpretacja nie cieszy się zbyt dużą popularnością.

Zdecydowanie negatywny sąd o zachowaniach homoseksualnych muzułmanie gruntują też na tradycji hadisów, które przekazują, mniej lub bardziej wiarygodnie, słowa i czyny Mahometa. Część z nich prezentuje bardzo ostre podejście do osób oskarżanych o rozpustę w ramach własnej płci. Ponadto z danych historycznych wynika, że krótko po śmierci islamskiego proroka zdarzało się, iż homoseksualistów karano śmiercią, w tym palono żywcem. Dlatego właśnie w wielu krajach islamskich obowiązują dziś surowe przepisy penalizujące homoseksualizm. Zarazem jednak wielu islamskich uczonych uważa, że koraniczne potępienie „ludu Lota” to jeszcze za mało, by uzasadnić szczególną surowość, a hadisy ostro traktujące homoseksualizm są niepewne; stąd nawet jeżeli muzułmanie zasadniczo odrzucają homoseksualizm, to nie zgadzają się ze sobą co do konkretnego wymiaru represji wobec tego rodzaju zachowań.

SZKOŁY PRAWNE

Szczegóły wyglądają bardzo różnie, w zależności od dominującej w danym kraju szkoły prawa islamskiego oraz od lokalnych warunków politycznych; prawo religijne nie zawsze koresponduje z prawem stanowionym przez państwo. Co do zasady, wszystkie główne szkoły prawa religijnego uznają stosunki homoseksualne za niedozwolone.

Szkoła hanbalicka, która dominuje choćby w Arabii Saudyjskiej oraz w Katarze, przewiduje za homoseksualizm karę śmierci poprzez publiczne ścięcie (Arabia) albo kamienowanie (Katar, choć kara ta jest teoretyczna – nigdy nie była wykonywana; w obowiązującym prawie akty homoseksualne są zagrożone karą więzienia). Podobnie ostro sprawę stawia szkoła malikicka, obecna głównie w Afryce Północnej. Powszechna w różnych zakątkach globu szkoła hanaficka nie precyzuje kar za grzech „ludu Lota”, co sprawia, że zależnie od lokalnej oceny za homoseksualizm grożą rozmaite kary. W szkole szafickiej, dominującej w Ma-

lezji czy Indonezji, akty homoseksualne karane są m.in. biczowaniem. Część najbardziej radykalnych ruchów, jak wahabici, proponuje też zrzucanie homoseksualistów z wysokich budynków. Praktykowanie tej ostatniej kary można było obserwować podczas krótkotrwałych rządów tzw. Państwa Islamskiego na części terytoriów irackich i syryjskich.

Generalnie jednak w wielu krajach przepisy dotyczące kary śmierci pozostają martwą literą; biczowanie czy więzienie już niekoniecznie. W Maroku (szkoła malikicka), z którego wielu imigrantów przybywa dziś do Europy, za akty homoseksualne grozi kara kilkuletniego więzienia i grzywna, ale to tylko teoria – w praktyce restrykcje nie są

W wielu krajach islamskich obowiązują dziś surowe przepisy penalizujące homoseksualizm

egzekwowane. W Turcji (szkoła hanaficka) ok. 25 proc. mieszkańców uważa homoseksualizm za dopuszczalny i popiera legalizację związków jedнопłciowych. Większość jest temu przeciwna, co znajduje swój oddźwięk w polityce Erdoğan. Od początku lat dwutysięcznych ulicami tureckich miast zaczynały przechodzić gejowskie marsze; w latach 2013 i 2014 tzw. parady równości zgromadziły na ulicach Stambułu kilkadziesiąt tysięcy osób. Po objęciu przez Erdoğan urzędu prezydenckiego to się jednak zmieniło. W 2022 r. w stambulskiej paradzie wzięła udział garstka aktywistów – trafili zresztą do aresztu, bo parada była nielegalna. Tureckie prawodawstwo nie przewiduje jednak żadnych kar za homoseksualizm.

Uwagę światowej opinii publicznej przykuwa zwłaszcza syjski Iran, gdzie od 1979 r. obowiązuje za homoseksualizm kara główna – i bywa rzeczywiście stosowana. Środowiska prohomoseksualne mówią o „tysiącach” wykonanych kar na przestrzeni ostatnich czterech dekad, ale w praktyce trudno jest to ocenić ze względu na mgłą informacyjną,

■ która panuje wokół Iranu. W większości państw islamskich przepisy są jednak mniej surowe.

PEDERASTIA

Tak naprawdę świat islamski nie poświęcał jeszcze do niedawna zbyt wielkiej uwagi homoseksualizmowi. W wielu miejscach traktowano go z przymrużeniem oka. W klasycznej arabskiej poezji zdarzały się erotyczne odniesienia do rzeczywistości mającej czekać wiernych muzułmanów po śmierci, gdzie spodziewają się, że będą służyć im zarówno kobiety (hurysy), jak i młodzieńcy. W części państw islamskich zachowania homoseksualne są nawet szeroko akceptowane, jeśli są podejmowane przez dorosłych mężczyzn wobec młodzieńców lub wręcz chłopców. To tak naprawdę pedofilia lub efebofilia, ale o ewidentnie homoseksualnym zabarwieniu.

Z tego rodzaju praktyk znany jest przede wszystkim Afganistan. Od wieków funkcjonuje tam praktyka określana mianem „baczzebazi”, co oznacza mniej więcej „zabawę z chłopcami”. Polega na zabawianiu tańcem przez chłopców przebranych w damskie stroje grup dorosłych mężczyzn; chłopcy są później wykorzystywani seksualnie. Bogatsi mężczyźni utrzymują swoich „własnych” chłopców, jednego lub nawet kilku. Według niektórych socjologów praktyka „baczzebazi” mogła rozwinąć się na gruncie bardzo restrykcyjnego i mizoginicznego odczytania islamskich przepisów dotyczących kobiet, uważanych w regionie Afganistanu za nieczyste. Dorośli mężczyźni mieliby kierować pożądanie właśnie ku chłopcom, uznając, że nie jest to ani homoseksualizm, ani cudzołóstwo, a zatem jest zgodne z islamem.

Od czasu do czasu pedofilskie zwyczaje afgańskie stają się przedmiotem zainteresowania zachodniej opinii społecznej. Tak było choćby po obaleniu Talibanu w 2001 r. Brytyjcy i amerykańscy żołnierze informowali prasę, że wielokrotnie spotykali się z zachowaniami homoseksualnymi i pedofilskimi: obserwowali je na ulicach, słyszeli, jak afgańscy żołnierze rozmawiają w erotycznym kontekście o chłopcach, niekiedy sami byli przedmiotem niezrozumiałych dla siebie zalotów.

Co ciekawe, dopiero talibowie przejąwszy w 1996 r. władzę, zakazali „baczzebazi”, każąc ten obyczaj śmiec; po obaleniu Talibanu w 2001 r. praktyka jednak szerzyła się dalej; według wielu relacji prasowych zyskując nawet nową dynamikę, bo zachodni pedofile pod płaszczykiem uczestnictwa w „tradycyjnych” afgańskich obyczajach chętnie

W niektórych krajach muzułmańskich nadal obecna jest tradycja homoseksualna o de facto pedofilskim charakterze

wykorzystywali nieletnich chłopców. Według części badaczy podobne praktyki wobec chłopców funkcjonowały też w przedislamskiej Arabii, a dziś obyczaje pedo- czy efebofilskie nadal utrzymują się też, oprócz Afganistanu, w niektórych muzułmańskich krajach Afryki Północnej czy Azji Centralnej.

WPŁYW ZACHODNIEJ AGENDY LGBT

Tematyka homoseksualizmu czy transpłciowości nie byłaby dziś z taką ostrością podnoszona w krajach islamskich, gdyby nie nacisk Zachodu. Koran i hadisy w sumie nie narzucają zbyt surowego podejścia do tych problemów; traktowano by je zatem pewnie tak jak w przeszłości, to znaczy jak zwykłe wykroczenia seksualne. Świat zachodni proponuje jednak przywrócić krajom islamskich nie tyle akceptacji prywatnych zachowań homoseksualnych, ile uznania tzw. homomałżeństw, a tego muzułmanie zdecydowanie nie chcą robić. Jak mówił w 2018 r. premier Malezji Mahathir Mohamad, zachodnie podejście do tematyki homoseksualnej oznacza „brak szacunku wobec tradycyjnej rodziny i małżeństwa”. Podobnie władze Iranu przedstawiają homoseksualizm jako część zachodniego systemu deprawacji i degrengolady moralnej. Teheran, brutalnie traktując homoseksualistów, tłumaczy się chętnie walką z demoralizacją płynącą z Zachodu. Tym samym w pewnym sensie to właśnie lewicowy ruch polityczny LGBT

odpowiada za przyjmowanie w krajach muzułmańskich brutalnego ustawodawstwa antyhomoseksualnego.

ISLAM W EUROPIE

Biorąc to wszystko pod uwagę, można zasadnie zastanawiać się, czyim współpracownikiem mogą być w toczącej się wojnie cywilizacyjnej kraje i środowiska muzułmańskie. Z jednej strony niewątpliwie mogą wspierać wysiłki takich państw jak Polska, starających się blokować na arenie międzynarodowej inicjatywy wymierzone w rodzinę i wspierające polityczną agendę ruchu LGBT. Jednak ze względu na bardzo represyjne ustawodawstwo obowiązujące w niektórych krajach islamskich współpraca z nimi naszej ojczyzny czy innych państw europejskich rodzi oczywiste problemy: trudno propagandowo uzasadnić, dlaczego mielibyśmy głosować na forum tej czy innej instytucji globalnej razem z Arabią Saudyjską albo Marokiem, a nie z krajami naszego kręgu kulturowego. Co więcej, praktyka karna takich państw jak Iran pozwala światowemu ruchowi rewolucyjnemu przedstawiać homoseksualistów jako grupę prześladowaną i prowokować tym ostrzejszą walkę o swoje postulaty.

Z drugiej strony w niektórych krajach muzułmańskich nadal obecna jest tradycja homoseksualna o de facto pedofilskim charakterze. Jeszcze w latach 90. pedofilia była zjawiskiem silnie promowanym przez amerykańskie i europejskie środowiska lewicowe. Zmieniło się to wraz z podniesieniem problematyki nadużyć seksualnych wobec nieletnich popełnianych przez duchownych. Nie oznacza to jednak, że temat nie wróci.

Tymczasem nasycanie państw europejskich ludnością pochodzącą z krajów, w których traktowanie ubogich chłopców jako obiektów seksualnych może, w dłuższej perspektywie, wspierać różnorodne patologiczne kroki lewicy. To pokazuje, że problem islamu i homoseksualizmu nie jest bynajmniej jednoznaczny, a coraz silniejsza obecność maho-metan w Europie rodzi nowe trudności: bynajmniej nie tylko dla samych rewolucjonistów seksualnych, którzy w pewnych obszarach mogą wręcz podierać się tradycjami z państw islamskich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

Zdawałoby się, że cytat z Księgi Kapłańskiej: „Nie będziesz obcował z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą – to jest obrzydliwość” (18, 22) powinien być rozstrzygający. Jednak, jak pisał o tym kilka lat temu o. Jacek Salij w artykule „Pismo Święte na temat homoseksualizmu”, opublikowanym w miesięczniku „W drodze”, biblijny zakaz „współcześni sofiści próbują zrelatywizować twierdzeniem, że nie jest to zakaz moralny, ale jedynie obrzędowy”. Salij przypomina, że przerzucanie się cytatami jest typowo sekciarską metodą czytania Pisma. Trzeba jednak dodać, że jest to bardzo poręczny sposób, by z Pisma wyczytać to, co akurat jest wygodne i potrzebne.

Jednak „obrzydliwość” w Piśmie Świętym wcale nie odnosi się tylko do zakazów rytualnych, Salij przytacza jeszcze jeden fragment z Księgi Powtórzonego Prawa (18, 9–11), „w którym obrzydliwością nazwano cały szereg niewątpliwie ciężkich grzechów, m.in. zabijanie w ofierze dla bożków własnego dziecka. Trudno więc na tej podstawie, że zachowania homoseksualne są w Biblii nazwane obrzydliwością, wnioskować, jakoby były one zakazane jedynie na mocy prawa obrzędowego. Chyba że również dzieciobójstwo nie było w Starym Testamencie zabronione przez prawo moralne, ale zakazane jedynie na mocy przemijającego prawa obrzędowego...”.

Oczywiście powyższe uwagi nie odnoszą do judaistycznej egzegezy Pisma Świętego, jednak dają perspektywę, w jaki sposób możliwe jest całkowicie przeinaczanie przekazu biblijnego w dowolnej sprawie, także w sprawie homoseksualizmu.

STANOWISKA AGRESYWNE

Przegląd stanowisk żydowskich można zacząć od „ulubionego” rabiną tęczowych mediów, czyli Meira Mazuza. Rzeczywiście jest to postać, którą środowiska politycznego ruchu homoseksualnego powinny na swój sposób hołubić, ponieważ regularnie kompromituje on religijną krytykę homoseksualizmu. Na przykład w roku 2020, w czasie jednego z wykładów, w specyficzny sposób powiązał pandemię COVID-19 i marsze homoseksualistów. „Rabin Meir Mazuz,

Judaizm a LGBT. Skręt w lewo



Tomasz Rowiński

Z perspektywy katolickiej mogłoby się wydawać, że kwestia stosunku judaizmu do homoseksualizmu i ideologii politycznego ruchu homoseksualnego powinna być sprawą prostą. Wszak Stary Testament potępia tego rodzaju aktywności. Okazuje się jednak, że nie ma wśród współczesnych religijnych Żydów jednego stanowiska na ten temat

przełożony ortodoksyjnej Jesziwy Kisse Rahamim, obarczył odpowiedzialnością za epidemię koronawirusa marsze dumy LGBTQ. Stwierdził też (wbrew oficjalnym danym), że państwa arabskie nie są zagrożone wirusem, bo »nie mają skłonności do tego rodzaju zła«.

Odnosząc się do sytuacji Iranu, którego władze prześladują osoby LGBTQ, a mimo wszystko borykają się z epidemią, Mazuz stwierdził, że dzieje się tak, ponieważ kraj ten sprzeciwia się polityce Izraela” – relacjonował portal queer.pl.

Teologia moralna ortodoksyjnego rabiną jest dość prosta i wprost wyrażana – marsze pod tęczową flagą są przeciwne naturze, a ten, kto sprzeciwia się naturze, podlega pomście ze strony Stworzyciela.

Wydaje się, że nawet nie krytyczne, co agresywne stanowisko niektórych

rabinów wobec homoseksualistów jest pewnego rodzaju tradycją w Izraelu. W lutym 2002 r. media pisały o rabinie Davidzie Batzrim, który miał nawoływać od ich zabijania. „Homoseksualizm to nie tylko choroba, to obrzydliwość, którą należy usunąć z każdego miasta w kraju, także z tych dzielnic, w których czują się chronieni, jak w Tel Awiwie” – mówił Batzri, który, jak się zdaje, nie uważał, by piętnowanie homoseksualizmu w Piśmie Świętym miało znaczenie jedynie rytualne. Jego słowa stanowiły reakcję na zapowiedziane wówczas spotkanie środowisk politycznego ruchu homoseksualnego z prezydentem Izraela Arielem Szaronem.

Przy okazji tej sprawy warto wspomnieć, że słowa Batzriego spotkały się z reakcją reformowanego rabiną Uriego Regeva, który ripostował wtedy, mówiąc,

■ że „jedyną obrzydliwością tutaj są słowa Batzriego, a nie istnienie homoseksualistów i lesbijek, którzy stanowią część świata stworzonego z woli Boga”. Czy ortodoksyjni rabinowie mogli przejść się słowami Regeva? Zapewne nie, ponieważ judaizm ortodoksyjny w ogóle nie uznaje reformatorów. Zresztą dopiero niedawno judaizm reformowany zyskał pewnego rodzaju akceptację ze strony państwa izraelskiego, gdzie jest zresztą stosunkowo nielicznie reprezentowany. Judaizm reformowany akceptuje homoseksualizm także u swoich rabinów i rabiniek. Jeszcze dalsze pozycje zajmuje judaizm humanistyczny, który de facto odrzuca wiarę w Boga i przyjmuje w sprawach społecznych i obyczajowych stanowisko skrajnej lewicy. Także w zakresie agendy politycznego ruchu homoseksualnego. Judaizm humanistyczny podkreśla, że to kultura i historia Żydów są najważniejszą częścią żydowskiej tożsamości, a nie wiara w Boga.

POMYSŁY NA INTEGRACJĘ

W debacie, która toczy się w środowiskach żydowskich, można też spotkać rabinów, którzy starają się – w ramach stanowiska ortodoksyjnego – szukać pomysłów na integrację osób o skłonnościach homoseksualnych w społecznościach religijnych, ale bez łamania litery Pisma. Za taką postać można uznać choćby Beniamina Laua, który od lat jest promotorem wyrozumiałej postawy wobec trwale zakorzenionych skłonności homoseksualnych. „Ostrzeżenie przed związkami homoseksualnymi w Księdze Kapłańskiej jest dobrze znane. Ale musimy też radzić sobie z otaczającą nas rzeczywistością. Niektórzy rozdarcie między słowami Tory a rzeczywistością ludzie, których pociągają osoby tej samej płci, trzymają się słów Tory i ignorują otaczającą ich rzeczywistość, podczas gdy inni skupiają się na rzeczywistości i rezygnują z słowa Tory. Ale człowiek, który chce w pełni służyć Bogu w świecie, musi nauczyć się trzymać w jednej ręce słowa Tory, w drugiej rzeczywistość i żyć z nimi obydwoma. Życie z obydwoma jednocześnie jest zawsze trudniejsze niż rezygnacja z jednego lub drugiego. Często pozostawia nas bez odpowiedzi i bez jasnego zrozumienia. Czasami przepaść między niebem a ziemią może być również zniechęcająca” – pisał pod koniec roku 2020 Lau na portalu Times of Israel.

Także, wbrew temu, co sugerowałaby może nazwa, judaizm konserwatywny zaakceptował homoseksualizm. Jeszcze w roku 2005 portal Ekumenizm.pl informował o incydencie, który miał miejsce podczas konwencji Zjednoczonej Synagogi Judaizmu Konserwatywnego, kiedy to „odbyły się dwa nabożeństwa – większe, egalitarne, podczas którego zarówno kobiety, jak i mężczyźni mieli na głowach kippy, i mniejsze, składające się niemal wyłącznie z mężczyzn”.

„Według obserwatorów jest to symbol kryzysu, przed którym stoi konserwatywny nurt judaizmu” – czytamy w tekście „Judaizm konserwatywny na rozdrożu”. Jego autor, Piotr Kalinowski, pisał też: „Co dzieli konserwatywnych Żydów? To samo, co chrześcijan: rola kobiety w Synagodze i kwestie związane z ordynacją na rabinów lesbijek i gejów otwarcie przyznających się do swojej orientacji seksualnej”. W ostatnim akapicie tekstu można było jednak znaleźć zapowiedź tego, w jakim kierunku już wtedy zmierzał judaizm konserwatywny: „Większość uczestników konwencji

zgodziła się, że osoby o orientacji homoseksualnej będą i powinni być ordynowane na duchownych”.

I rzeczywiście od roku 2007 homoseksualiści mogą studiować z nowojorskim Żydowskim Seminarium Teologicznym, a od 2012 r. akceptuje się „małżeństwa jedнопłciowe”, o czym pisała w 2018 r., w bardzo interesującej i dostępnej w zasobach internetowych recenzji doktoratu Doroty Mihułki (pt. „In Search of Identity and Spirituality in the Fiction of American Jewish Female Authors at the Turn of the 21st Century”), prof. Shoshana Ronen. Absolwentką (rok ukończenia – 2016) nowojorskiego seminarium jest choćby rabinka Małgorzata Kordowicz posługująca w Gminie Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie.

PORĘCZENIA ZA „MARGOT”

Skoro wspomniana została Polska, to trzeba zapytać, jak sytuacja wygląda w naszym kraju. Warto odnotować, że w roku 2020, kiedy doszło do aresztowania podającego się za kobietę działacza politycznego





FOT. WELLCOME COLLECTION, ADOBE STOCK

ruchu homoseksualnego Michała „Margot” Szutowicza, który pobił wolontariusza Fundacji Pro – Prawo do Życia, dwóch polskich rabinów znalazło się w grupie osób, które poręczyły za agresora. Byli to: naczelny rabin Polski Michael Schudrich, a także, jak pisał portal Jewish.pl, Stanisław Wojciechowicz, „pierwszy reformowany rabin w warszawskiej gminie żydowskiej”.

„Areszt tymczasowy to ostateczny środek zapobiegawczy. Powinien być stosowany, tylko jeśli jest pewność dotycząca spełnienia przesłanek Kodeksu postępowania karnego. Czy rzeczywiście w tym przypadku istniało realne zagrożenie mataczenia, jeśli nagrania z wydarzenia dostępne są w Internecie? Czy istnieje zagrożenie, że Margot się nie stawi, skoro nie było wcześniej problemów? Czy istnieje realne zagrożenie ponownego popełnienia czynu? Jakie argumenty za tym przemawiają?” – napisano w liście podpisanym m.in. przez rabinów.

Nie ulega jednak wątpliwości, że akt ten nie miał jedynie charakteru humanitarnego, ale zdecydowanie politycz-

ny. Posługujący w Polsce dwaj rabini opowiedzieli się po stronie agresywnego działacza politycznego ruchu homoseksualnego w duchu, jaki obecnie dominuje we wspólnotach judaizmu konserwatywnego i reformowanego.

Tego samego roku, gdy w czasie prezydenckiej kampanii wyborczej trwała debata na temat obecności w sferze publicznej ideologii politycznego ruchu homoseksualnego, Zarząd Gminy Wyznaniowej Żydowskiej opublikował list, w którym de facto oskarżał on polskie władze o kreowanie w społeczeństwie nastrojów pogromowych, skierowanych przeciwko homoseksualistom. Pewnym echem w mediach odbiła się także wypowiedź rabina Michaela Schudricha podana przez „Jerusalem Post”, wedle której skrytykował on rzekomo obecne w Polsce strefy wolne od LGBTQ+ jako sprzeczne z halaczą. Problem polega jednak na tym, że takich stref nigdy nie było, mieliśmy natomiast do czynienia z oszczerczym performancem przypisującym polskim samorządom takie

działania, które zostały przez światowe media podane jako prawda. Naczelny rabin polski tego fake newsa z jakiegoś powodu umocnił.

W roku 2019 w warszawskiej Paradzie Równości wziął udział „Blok żydowski”, nad którym powiewały tęczowe flagi ozdobione gwiazdą Dawida. Organizatorzy tego „bloku” pisali o swojej inicjatywie w taki sposób: „Jako polskie Żydówki i Żydzi oraz osoby utożsamiające się lub sympatyzujące z żydowską kulturą, tradycją, religią i/lub Izraelem chcielibyśmy pójść wspólnie w Paradzie Równości w Warszawie. [...] Jedną z wartości, które nam przewodzą, jest »tikkun olam«. Wywodzi się ona z judaizmu i znaczy »naprawianie świata«”.

Z tym stanowiskiem polemizował Paweł Jędrzejewski z Forum Żydów Polskich, który zgodził się, że sprzeciw wobec dyskryminacji jest uzasadniony, ale jednocześnie zwrócił uwagę, że Parady Równości są „nachalną propagandą środowisk spod znaku LGBTQ, które chcą nie tylko zwalczać dyskryminację, lecz także upowszechniać, popularyzować swój model życia jako domagający się specjalnych praw”. Dodał także, że „judaizm (podobnie jak od czasu do czasu także chrześcijaństwo) ulega obecnie w znacznym stopniu uprowadzeniu i zawłaszczeniu przez »religię lewicowości«. »Religia lewicowości«, czyli »kulturowy marksizm«, przebiera się, nakłada na twarz maskę, żeby w tym przebraniu upowszechniać lewicowe idee. Te idee będą łatwiej zaakceptowane przez ludzi, którzy wprowadzeni w błąd, myślą, że to autentycznie postawy wywodzące się z judaizmu i tradycji żydowskiej”.

Tęczową agendę wspiera także Związek Postępowych Gmin Żydowskich – Beit Polska, a w roku 2019, przy okazji Parady Równości, Jewish Community Center Warszawa zorganizowało spotkanie z ambasadorką Anną Azari, poświęcone prawom osób LGBT w Izraelu, włączając się w ten sposób w pewien określony nurt kultury.

Jak widać zatem, także w polskich środowiskach żydowskich stosunek do agendy politycznego ruchu homoseksualnego nie jest jednolity, choć wydaje się, że obecnie mamy do czynienia z postępującym zwrotem na lewo, przynajmniej jeśli chodzi o kwestie moralne – zarówno w sensie prywatnym, jak i publicznym.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Protestantyzm a LGBT. Chrześcijanie kłócą się o gender



FOT. Z KRETEK



Paweł Chmielewski

Świat protestancki kłóci się o homoseksualizm i gender. Podczas gdy chrześcijanie wierni literze Pisma Świętego zdecydowanie odrzucają liberalną rewolucję w seksualności, środowiska progresywne maszerują chętnie w awangardzie zmian. Na tym tle dochodzi do poważnych podziałów – i nic nie wskazuje na to, by sytuacja miała się uspokoić

Marcin Luter i inni założyciele wspólnot protestanckich nie wprowadzili nowej nauki na temat homoseksualizmu. Dlatego po 1517 r. w krajach zbuntowanych wobec Rzymu sodomie traktowano jako grzech przeciwny naturze i surowo karano. Utrzymywało się to zasadniczo aż do XIX w.

Na zmianę wpłynęło kilka czynników. To, po pierwsze, rozpowszechnienie w krajach europejskich i Ameryce nowych poglądów moralnych, które przyniosła rewolucja francuska. Po drugie, to nowo-

czesna egzegeza Pisma Świętego. Liberalni protestanci zaczęli traktować Biblię jako opowieść quasi-mityczną i dekonstruować ją przy użyciu tzw. metody historyczno-krytycznej. Osadzanie danych ksiąg biblijnych w ich – często tylko domniemanym – kontekście kulturowym i historycznym sprawiało, że różnorodne biblijne nakazy czy zakazy odczytywano relatywnie. Tym samym starotestamentalna surowość wobec homoseksualizmu straciła siłę oddziaływania.

W wieku XX to samo spotkało nauczanie św. Pawła Apostoła. Posiłkując się twierdzeniami współczesnej psychologii, progresywni protestanci teologowie w krajach zachodnich doszli do wniosku, że Paweł potępiał zupełnie inny fenomen niż homoseksualizm. Dla Apostoła niemoralne miałyby być wyłącznie kontakty między osobami tej samej płci, o ile chodziłoby w nich po prostu o zaspokojenie żądzy, zwłaszcza jeżeli dokonywałoby się to w kontekście przemocy (pan – niewolnik, dorosły – dziecko etc.). Zgodnie z progresywną egzegezą Pisma Paweł nie potępiłby zatem trwałych i opartych na wzajemnym poszanowaniu relacji homoseksualnych.

Protestanci nie posiadają żadnego formatywnego religijnego organu decyzyjnego, który miałby uprawnienie do dekretoowania właściwej interpretacji Pisma. Stąd ostateczne znaczenie ma wola polityczna: państwa albo kolektywu wiernych głosu-

jących nad prawdami wiary. To oznacza, że wraz ze zmianami społecznymi zachodzą też zmiany w religii. Po 1968 r. wiele barier zniknęło na zawsze. Niektóre wspólnoty podjęły decyzję, by trwać przy literalnym odczytaniu Biblii, inne – by płynąć za decyzjami władz świeckich czy też po prostu za dominującymi współcześnie poglądami.

PODZIAŁY WŚRÓD ANGLIKANÓW

O podejście do problematyki homoseksualizmu i gender od wielu lat spierają się anglikanie. Tak zwana Wspólnota Anglikańska, która zrzesza na całym świecie ok. 85 mln wiernych, jest w tej sprawie podzielona do tego stopnia, że zachodzi nawet ryzyko jej wewnętrznego rozpadu.

Spór rozpoczął się ponad 100 lat temu, kiedy anglikanie dyskutowali nad podejściem do antykoncepcji. W roku 1930 na konferencji w Lambeth, cyklicznym zjeździe przywódców świata anglikańskiego, potępiono stosowanie prezerwatyw, wszelako umożliwiając pewne wyjątki. To wkrótce przerodziło się w normę. Zgoda na ubezplodnione stosunki płciowe implikuje akceptację rozdzielenia aktu seksualnego od prokreacji. To w oczywisty sposób ułatwia argumentację na rzecz uznania czynów homoseksualnych za moralnie dopuszczalne.

W związku z rewolucją seksualną 1968 r. narastał nacisk na anglikańskich przywódców w krajach globalnej

północy. Jednak jeszcze w roku 1998 na konferencji w Lambeth praktyki homoseksualne określono wyraźnie jako grzeszne. Progresywnych anglikanów to jednak nie zadowoliło i w kolejnych latach w wielu Kościołach starano się dostosowywać doktrynę i praktykę religijną do prawodawstwa świeckiego. Obecnie dużą akceptację dla związków homoseksualnych mają wspólnoty anglikańskie w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Anglii, Szkocji, Walii czy Australii.

Inaczej jest w większości krajów globalnego Południa, zwłaszcza w Afryce, gdzie anglikanie zdecydowanie odrzucają jakiegokolwiek formy uznania dla postulatów środowisk LGBT, opierając się na słowach Pisma Świętego. Gdy w 2003 r. na funkcję biskupa w New Hampshire wybrany został homoseksualista Gene Robinson, część anglikanów zaprotestowała i zbójkowała najbliższy wspólny zjazd.

Latem roku 2022 na konferencji w Lambeth przewodniczący anglikanów, pełniący funkcję arcybiskupa Justin Welby, stwierdził, że skoro większość wspólnot anglikańskich potępia związki jedнопłciowe, to należy uznać, iż orzeczenie z 1998 r. uznające takie związki za grzeszne pozostaje w mocy.

Obecnie anglikanie starają się wypracować modus vivendi, w którym kwestie podejścia do tematyki LGBT będą drugoplanowe, tak by różne wspólnoty mogły zachować ze sobą jedność pomimo dzielących je różnic. Część anglikanów nie wytrzymuje jednak tego napięcia. W ostatnich latach coraz częstsze są konwersje na katolicyzm – i to nawet wśród anglikańskich duchownych pełniących funkcję biskupa. Uznają oni, że ich wspólnota tak daleko odeszła już od tradycji chrześcijańskiej, że wskazuje to na jej fałszywość – i przechodzą do Kościoła katolickiego, gdzie stabilność doktrynalna jest wciąż większa, mimo pojawiających się i tu rozdzźwięków.

WIERNOŚĆ WOBEC WŁADZY ŚWIECKIEJ

W innych wspólnotach protestanckich sytuacja jest zróżnicowana. W największym europejskim kraju protestanckim, Niemczech, główne zrzeszenie protestantów to „Kościół” Ewangelicki. Wspólnota owa już wiele lat temu przyjęła wszystkie zasadnicze postulaty ruchu LGBT, godząc

się zarówno na akceptację homoseksualnych „małżeństw”, jak i na posługę pastorów i pastorek żyjących w związkach jedнопłciowych.

Ewangelicy występują za Odrą jako awangarda rewolty LGBT, wspierając wszystkie możliwe inicjatywy tęczowe, jak choćby drastyczne ingerencje w język, który przekształcany jest zgodnie z paradygmatem tolerancjonizmu genderowego. Tak zwane wolne Kościoły protestanckie, które nie należą do organizacji „Kościoła” Ewangelickiego, mają stanowisko nieco odmienne, niekiedy – w zależności od woli danej wspólnoty – mniej optymistyczne wobec LGBT. Co do zasady jednak niemiecki protestantyzm cechuje daleko posunięta akceptacja liberalizmu, zwłaszcza jeśli zasady liberalne propaguje i wdraża w życie państwo. Zdarzają się co prawda wyjątki. Przykładowo Olaf Latzel, pastor z Bremy, stanął niedawno przed sądem za

Podziały na tle podejścia do homoseksualizmu oraz ideologii gender będą się niewątpliwie pogłębiać

głoszenie kazań na temat homoseksualizmu wiernych literze Pisma Świętego. O ile poparła go jego własna wspólnota (zbór św. Marcina, w którym posługuje, jest konserwatywny), o tyle protestanci decydencki z „Kościoła” Ewangelickiego odcięli się odeń jako od siewcy nienawiści.

AMERYKAŃSKI CHAOS

Dla propagacji ideologii LGBT w świecie chrześcijaństwa protestanckiego największe znaczenie ma naturalnie sytuacja w Stanach Zjednoczonych. Nie można jednak mówić o jakiegokolwiek jednolitej pozycji amerykańskiego protestantyzmu wobec poruszonego zagadnienia.

Największą grupę protestantów w USA stanowią tzw. protestanci ewangelikalni. Według badań prowadzonych przez uznane ośrodki analityczne wyraża większość z nich krytycznie ocenia homoseksualizm, za miarodajną wykładnię przyjmując literalnie odczytywane Pismo Święte. Istnieje wśród nich bardzo wyraźna korelacja między siłą wiary i częstotliwością praktyk

religijnych a odrzucaniem homoseksualizmu: akceptację dla LGBT i genderyzmu wykazują raczej ci protestanci ewangelikalni, którzy wierzą słabiej, rzadziej praktykują i mniej się modlą. Konserwatywne środowiska protestantyzmu ewangelikalnego w Ameryce, obok praktykujących katolików, są największym oponentem rewolucji LGBT.

O wiele większą skłonność do ulegania ideologii postępowej mają amerykańscy protestanci należący do tzw. tradycyjnych Kościołów (ang. mainline protestants), tacy jak episkopaliańskie, anglikanie, luteranie, prezbiterianie czy metodyści. W tej grupie akceptacja dla homoseksualizmu już kilkanaście lat temu przekraczała amerykańską średnią (56 względem 50 proc.), co czyniło z nich przodowników rewolucji. Jednak również wśród mainstreamowych protestantów występują znaczne podziały. Niedawno doświadczyli tego metodyści, którzy formalnie podzielili się, właśnie na gruncie odmiennego stosunku do problemu związków homoseksualnych.

ZGODY NIE BĘDZIE

Podziały na tle podejścia do homoseksualizmu oraz ideologii gender będą się niewątpliwie pogłębiać. Wiele zależy od kształtu, jaki przyjmie w tej sprawie wielka polityka, jako że znaczna część świata protestanckiego, nie mogąc odwołać się do żadnego autorytetu religijnego, orientuje się na państwo i kopiuje wzorce, które podaje władza świecka. Socjologowie wskazują jednak, że wśród protestantów liberalnych znacznie słabszy jest międzypokoleniowy przekaz wiary. Na przestrzeni dekad może doprowadzić to do naturalnego kurczenia się wspólnot progresywnych, podczas gdy protestantyzm konserwatywny pozostanie silny lub będzie się nawet wzmacniać, co w takich krajach jak Stany Zjednoczone może znacząco zaważyć na życiu społecznym i politycznym. W Europie protestantyzm wydaje się fenomenem raczej schyłkowym, biorąc pod uwagę niezwykle niskie zaangażowanie jego członków w praktyki religijne. W tej perspektywie dyskusje nad podejściem do LGBT nie mają na naszym kontynencie kluczowego znaczenia. Dla chrześcijaństwa w Unii Europejskiej decydująca pozostaje rola Kościoła katolickiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

Rozmowa z dr. Michałem Sopińskim,
prorektorem do spraw rozwoju
Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości

Rada Europy wobec LGBT



„DO RZECZY”: Dlaczego Komisja Europejska i inne czołowe organy Unii Europejskiej tak usilnie propagują ideologię gender?

DR MICHAŁ SOPIŃSKI: Nie jest tajemnicą, że Unia Europejska coraz wyraźniej zmierza w kierunku centralizacji. Federalna Europa za wszelką cenę potrzebuje nowej idei, wspólnej narracji, która scali europejskie społeczeństwa w jednym quasi-państwie. Rolę tą odgrywa dziś ideologia gender, która ma za zadanie zastąpić chrześcijaństwo jako nowe,

uniwersalistyczne spoiwo projektu Unii Europejskiej. Cywilizacja łaćwińska, definiująca przez wieki to, co nazywamy Europą, powstała w oparciu o trzy filary: prawo rzymskie, filozofię grecką oraz chrześcijaństwo. Walka z tradycyjnymi wartościami, przede wszystkim z religią, prowadzona od dekad przez środowiska „postępowe” spod znaku marksizmu, zniszczyła poczucie europejskiej wspólnoty. Dziś europejska lewica dąży do zbudowania zupełnie nowej tożsamości,

opartej na ideologii LGBT i konsumpcjonizmie. Pustkę po sacrum i wartościach musi wypełnić nowa ideologiczna treść. Tak jak kiedyś Europa wierzyła w Boga i transcendencję, tak dziś wierzy w teorię spod znaku tęczy.

Kreowanie nowych fundamentów i lewackich antywzorów nie jest możliwe bez odrzucenia natury i tradycji. Dlatego Kościół czy wszelkie oznaki przywiązania do tradycyjnych wartości są marginalizowane i zwalczane. Konsumpcjonizm

FOT. SHW5

Międzynarodowa lewica konsekwentnie toruje drogę ekstremalnym postulatom homoseksualnego lobby, promując agendę LGBT na forum unijnym. Dobrym przykładem jest przewodnicząca Komisji Europejskiej, która już w 2019 r. wśród priorytetów UE na kolejne pięć lat wskazała m.in. walkę o równouprawnienie tzw. tęczy rodzin. Pod pretekstem ochrony praw dzieci w istocie wymusza się dziś na państwach członkowskich zgodę na instytucjonalizację tzw. małżeństw homoseksualnych oraz jednopłciowego rodzicielstwa. Podkreślamy, że nikt nie pyta o zdanie zwykłych Europejczyków. Te zmiany nie mają miejsca w traktatach, ale na poziomie rozporządzeń.

Silne lobby wspierające LGBT znajduje się też w Parlamencie Europejskim. Działania organów UE są aktywnie wspierane z zewnątrz, przede wszystkim finansowo przez postacie takie jak George Soros. Wizje wpływowych globalistów są ziszczane za pomocą UE, która stała się ich doskonałym pośrednikiem. Narzucenie Europejczykom lewicowej utopii jest bowiem znacznie prostsze bez oporu suwerennych państw narodowych.

Do czego więc dąży lewicowa indoktrynacja? Skąd tak duża popularność wśród młodego pokolenia?

Tak jak wspomniałem, lewicowa ideologia aspiruje do stania się nowym, uniwersalnym systemem wartości. Dlatego zresztą ruch LGBT coraz bardziej zaczyna dziś przypominać świecką religię z zinstytucjonalizowanymi strukturami oraz rozbudowaną symboliką. Nawet niewystarczająca aprobata dla kolejnych postulatów kończy się ostracyzmem, wyrzuceniem poza nawias społeczności, czego dowodzi coraz częściej stosowana „cancel culture”. Nowe filary europejskiej tożsamości są jednak słabe. Nie tworzą żadnych trwałych wartości i nie pozwolą kształcić nowego Europejczyka.

Ideologia gender jest sprzeczna z podstawowymi zasadami biologii oraz prawa naturalnego. Oparta na humanistycznym konstruktywizmie jest niczym innym niż myśleniem życzeniowym, które za wszelką cenę próbuje przeciwstawiać się otaczającej rzeczywistości. Przez to słyszymy o kilkudziesięciu płciach, dwóch ojcach czy niebinarności.

Dziś lewicowa ideologia znajduje podatny grunt wśród młodych ludzi, zagubionych w świecie pozbawionym wartości. Jest niczym fałszywy bożek dla pokolenia europejskich kosmopolitów, pozbawionych tożsamości, korzeni narodowych. To czyni ich łatwiejszymi do manipulowania. Partie opierające się na zwolennikach gender zyskują bezwzględnie posłuszny międzynarodowy elektorat, stanowiący ogromną siłę polityczną.

Coraz częściej słyszymy o przypadkach represjonowania osób, które miały odwagę otwarcie przeciwstawić się ideologii LGBT w przestrzeni publicznej lub zwyczajnie manifestowały własne przekonania religijne.

Jesteśmy świadkami niebezpiecznego procesu dyskryminacji, a nawet kryminalizacji światopoglądu chrześcijańskiego pod pozorem walki z mową nienawiści.

Silne lobby wspierające LGBT znajduje się też w Parlamencie Europejskim

Chciałbym wspomnieć proces wytoczony niedawno byłej fińskiej minister Päivi Räsänen. Fińska prokuratura postawiła jej zarzuty, ponieważ w wywiadzie zacytowała ustępy z Biblii, krytykując uległość wobec ruchu LGBT. Treść Pisma Świętego uznano za mowę nienawiści, a polityk – winną przestępstwa. W sprawę zaangażowano aparat państwowy, a zarzuty postawił sam prokurator generalny. W obronę minister Räsänen zaangażowały się osobowości oraz organizacje z całego świata, w tym wiceminister sprawiedliwości RP Marcin Romkowski. Na szczęście proces zakończył się uniewinnieniem Päivi Räsänen. Cicha dyskryminacja trwa jednak od wielu lat.

Już w 2004 r. Rocco Buttiglione, chadecki polityk nominowany z ramienia Włoch do członkostwa w Komisji Europejskiej, padł ofiarą lobby LGBT. Jego kandydatura została odrzucona po udzieleniu wywiadu, w którym wspomniął, że homoseksualizm jest grzechem.

napędzany przez wielkie korporacje to kolejne obok ideologii narzędzie lewicowej inżynierii społecznej. Hedonizm, zaspokajanie pragnień za wszelką cenę to fałszywa manifestacja źle rozumianej wolności, maskująca postępujące uzależnienie człowieka od nieograniczonej konsumpcji.

Kto inspirował te procesy? W jaki sposób lobby LGBT ma przełożenie na decyzje na szczytach unijnej polityki?

■ Nie miało znaczenia, że Buttiglione jednocześnie zapewnił, że nie będzie mieć to wpływu na podejmowane przez niego decyzje. Unijna biurokracja zarzuciła mu dyskryminację. Nawet umiarkowane konserwatywne poglądy zostały wyrzucone poza nawias debaty.

Jak pokazują statystyki, takie zjawisko coraz częściej ma miejsce w Polsce. Czy polski rząd próbuje temu przeciwdziałać?

Dyskryminacja chrześcijan w pracy czy biznesie to poważny problem, również w Polsce. Szerokim echem odbiła się sprawa pracownika sieci IKEA, który w 2019 r. został zwolniony za publikowanie w Internecie cytatów z Biblii uzasadniających jego sprzeciw wobec uczestnictwa w celebracji tzw. pride month. Na skutek odwołania do sądu mężczyzna został przywrócony do pracy. Trzeba podkreślić, że polskie organy ścigania zajęły zupełnie odwrotne stanowisko, niż miało to miejsce w Finlandii. Dzięki zaangażowaniu prokuratury wszczęto postępowanie karne wobec osoby odpowiedzialnej za zwolnienie.

Inną głośną sprawą jest walka o sprawiedliwość drukarza z Łodzi, który odmówił wykonania banneru dla organizacji LGBT. Oskarżono go dyskryminację na tle seksualnym i naruszenie obowiązku świadczenia usług. Łódzki drukarz walczył o respektowanie wolności sumienia i wyznania przez niemal pięć lat. Dzięki wnioskowi prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry Trybunał Konstytucyjny zbadał konstytucyjność art. 138 Kodeksu wykroczeń, będącego podstawą ukarania drukarza. Częściowe uchilenie przepisu pozwoliło na zmianę wyroku i umorzenie postępowania. To ważny krok w obronie wolności słowa i sumienia chrześcijan przed ideologiczną cenzurą w Polsce.

Gwałtowny rozwój nowych technologii przeniosł sporą część debaty do Internetu. Czy zgadza



wiedliwości pod nadzorem wiceministra Sebastiana Kalety od dwóch lat pracuje nad kompleksową regulacją problemu cenzury w sieci – ustawą wolnościową. Według projektu serwisy społecznościowe będą mogły usuwać wyłącznie treści sprzeczne z polskim prawem. W przypadku złamania tej zasady będą zobowiązane je przywrócić, a także narażać się na wysokie kary finansowe. Projekt skończy z samowolą wielkich korporacji.

Problemem staje się nie tylko cenzura, lecz także otwarta nienawiść i przemoc skierowana wobec

się pan ze stwierdzeniem, że jesteśmy świadkami narastającej cenzury ideologicznej w sieci?

Terror lewicowych ideologów, którzy pod płaszczykiem „poprawności politycznej” próbują marginalizować osoby wierzące, ma katastrofalne skutki dla podstawowych praw i wolności. Obok wolności wyznania poważnie zagrożona jest wolność słowa. Coraz większy wpływ social mediów na opinię publiczną pokazał światu Twitter, arbitralnie usuwając konto Donalda Trumpa w styczniu 2021 r. Ustupujący prezydent USA został wtedy całkowicie wykluczony z debaty. Ten niebezpieczny trend szybko dotarł do Polski. Rok później Facebook zlikwidował profil Konfederacji pod pretekstem walki z antyszczepionkową dezinformacją. Podobny los spotkał kanał w Realu24, usunięty przez serwis YouTube. Wiemy o istnieniu zjawiska tzw. shadowbana, polegającego na celowym ograniczaniu zasięgów danego profilu.

Ograniczenia dotyczą tylko środowisk prawicowych. Cyfrowi giganci nie reagują na mowę nienawiści tworzoną przez Sok z Buraka czy jawnie antykatolickie treści tygodnika „Nie”. Działania cyfrowych gigantów to nic innego jak arbitralna cenzura. Ministerstwo Spra-

chrześcijan. Czy państwo będzie reagować również na tym polu?

Mamy do czynienia z narastającym zjawiskiem chrystianofobii motywowanej nienawistną narracją tęczyowych aktywistów. Eksplozja od lat hodowanej nienawiści wobec Kościoła i osób wierzących nastąpiła jesienią 2020 r. wraz z ogłoszeniem wyroku TK w sprawie aborcji eugenicznej. Tak zwany Strajk Kobiet i czarne marsze były pokazem agresji na niespotykaną skalę: atakowanie kościołów, przerywanie Mszy Świętej, agresja słowna i fizyczna wobec wiernych czy duchownych. Przez wadliwe przepisy skandaliczne zachowanie lewackich aktywistów pozostało bezkarne. Dlatego Solidarna Polska niedawno przedstawiła projekt ustawy „W obronie chrześcijan”. Pozwoli zlikwidować niefortunny i powszechnie krytykowany przepis o naruszeniu uczuć religijnych, wprowadzając w to miejsce karalność publicznego znieważania związków wyznaniowych, dogmatów czy miejsc kultu. To szansa na zatrzymanie fali nienawiści podjudzanej przez lewicę. Pod projektem podpisało się ponad 380 tys. Polaków. Pokazuje to ogromną skalę problemu i społeczną potrzebę zmian w prawie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

Rozmowa z Marcinem Romanowskim,
wiceministrem sprawiedliwości

Wolność wyznania a LGBT

„DO RZECZY”: Na początku roku Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł w sprawie przeciwko Rosji, że państwa Rady Europy mają obowiązek „prawnego uznania i ochrony związków jednopłciowych”. Czy Polska jako członek Rady Europy jest zobowiązana do uznania tzw. małżeństw LGBT?

MARCIN ROMANOWSKI: Od razu po ogłoszeniu wyroku wiele organizacji lobbujących na rzecz LGBT ogłosiło sukces, ponieważ Trybunał sformułował obowiązek instytucjonalizacji związków jednopłciowych wobec wszystkich państw należących do Rady Europy. Taka interpretacja wyroku jest sprzeczna z wykładnią europejskiego systemu ochrony praw człowieka. Wyroki ETPC nie mają zastosowania erga omnes, więc wiążą

■ wyłącznie pozwane państwa. Teoretycznie więc nie będą miały bezpośredniego przełożenia na polskie prawo.

Niemniej jednak jest to niebezpieczny element szerszej strategii od lat budowanej w Strasburgu. Już kilka lat temu w dwóch sprawach z powództwa par jednopłciowych Trybunał nakazał państwu włoskiemu instytucjonalizację związków homoseksualnych przez legalizację np. związków partnerskich.

Prawo międzynarodowe, a w szczególności prawa człowieka stały się instrumentem w rękach lewackich ideologów, którzy rekonstruują podstawowe prawa i wolności w celu narzucenia ich nowej, wypaczonej formy w całej Europie.

Precedensy i kolejne ideologiczne motywowane wyroki gwarantują później swoistą podkładkę dla działań polityków europejskiej lewicy, którzy szukają wszelkich środków do mimowolnego narzucenia swojego genderowego manifestu suwerennym państwom. W końcu decyzja wobec Rosji została wydana już po wyrzuceniu Kremla z Rady Europy w związku z wojną na Ukrainie, zatem jej znaczenie dla społeczności LGBT w Rosji jest raczej symboliczne. Co innego dla kolejnych aktywistów, którzy będą mogli powołać się na tę decyzję w następnych postępowaniach.

Istnieje więc ryzyko, że w przyszłości ten wyrok może być przywoływany w celu usprawiedliwienia ataków na kraje stojące w obronie rodziny, np. Polskę. I chociaż wyrok w sprawie rosyjskiej nie ma bezpośredniego oddziaływania na nasze prawo i nie jest wielkim sukcesem lobby LGBT, to może zmotywować tęczywych aktywistów do jeszcze częstszego inspirowania spraw kończących się przed ETCP w celu rozprzestrzenienia ideologii gender po kontynencie.

Wkrótce na wokandę trybunału w Strasburgu trafi bardzo podobna sprawa, tym razem przeciwko Polsce, więc wyrok będzie miał bezpośrednie zastosowanie wobec naszego kraju. Czy europejscy sędziowie wymuszają na nas uznanie postulatów lobby LGBT?

Kwestie takie jak rodzina i małżeństwo powinny być zarezerwowane dla niezależnych władz państwowych, a nie decydowane na takim szczeblu jak Trybunał w Strasburgu. Z tego dotychczasowo



wej praktyki wynika, że wyroki Wielkiej Izby – a w takim składzie zapadł wyrok przeciwko Rosji – mają przełożenie na późniejsze decyzje zapadające w mniejszym składzie. Ponadto linia orzecznicza ETPC jest bardzo jasna i wyraźna, konsekwentnie torująca drogę skrajnie lewicowemu ideom, bez względu na poszanowanie konstytucyjnych wartości europejskich narodów. Trzeba się więc szykować na to, że bliźniacze orzeczenie może zapaść również przeciwko Polsce. Jednak instytucjonalizacja związków homoseksualnych w naszym kraju jest prawnie niemożliwa, nie tylko z powodu przeszkód konstytucyjnych, lecz także ze względu na naszą kulturę i tradycję. Rząd Zjednoczonej Prawicy będzie bronił tych wartości. Co więcej, nieprawdziwe jest twierdzenie, że osoby homoseksualne nie mają w Polsce środków prawnych, aby w podstawowym zakresie regulować swoją sytuację i relacje – mogą w drodze testamentu po sobie dziedziczyć, mają pełne prawo do wglądu w dokumentację

medyczną. Rzeczywistym problem jest to, że dla aktywistów LGBT dyskryminacją jest brak specjalnych przywilejów.

Czy istnieje zagrożenie, że zagranica narzuci nam legalizację tzw. małżeństw jednopłciowych innymi metodami?

Widmo rozbijania naturalnej rodziny i ataku na fundamentalne wartości krąży nad Europą od długiego czasu. Coraz dalej posunięte prawotwórstwo orzecznicze, które zatruwa krajowe systemy prawne, a – co gorsza – godzi w chrześcijańską naturę naszej ojczyzny, nie hamuje, tylko przyśpiesza. Obok ETPC pierwsze skrzypce grają Komisja Europejska i TSUE, które posuwają się już do wszelkich metod, nawet mafijnych, jak szantaż finansowy, tylko po to, żeby zaprowadzić nad Wisłą neomarksistowską rewolucję. Oczywiście wszystkiemu przyklaskuje tzw. polska opozycja, mająca być beneficjentem działań eurokratów jako ich nowi namiestnicy po zmianie władzy inspirowanej z zagranicy.



FOT. ANDRZEJ STOK

Co więcej, eskalacja żądań nie jest już potencjalnym zagrożeniem, a realnym problemem. Związki partnerskie i tzw. małżeństwa LGBT to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Za nimi podążają znacznie bardziej radykalne i destrukcyjne żądania tęczowego lobby, jak chociażby te zawarte w projekcie nowego unijnego rozporządzenia o uznaniu rodzicielstwa. Bruksela chce wymusić uznanie tzw. rodzicielstwa jednopłciowego na terenie całej Unii i za jednym legislacyjnym zamachem wprowadzić tzw. małżeństwa LGBT, homoadopcje, a nawet handel ludźmi pod komercyjną nazwą „surogacja”. W myśl przewrotnie nazwanej „Strategii UE na rzecz praw dziecka” Bruksela chce zastąpić naturalną definicję macierzyństwa konceptem „matki docelowej”, tak aby ułatwić parom homoseksualnym zakup dzieci od biologicznych matek. Jednak widmo genderowej rewolucji jest bliżej, niż może się nam wydawać. Świadczy o tym choćby niedawna zapowiedź Donalda Tuska, że

pierwszą jego decyzją po objęciu władzy będzie realizacja postulatu lobby LGBT w kwestii związków partnerskich.

Jak chronić rodzinę i małżeństwo przed planami europejskiej lewicy?

Zarówno brzmienie, jak i geneza powstawania art. 18 Konstytucji RP są bezlitosne dla propagandzistów neomarksizmu, którymi europejskie instytucje są wręcz przesiąknięte. W myśl tego zapisu Rzeczpospolita definiuje małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. Wbrew temu, co głoszą niektórzy „eksperci”, znaczenie tego artykułu jest bardzo klarowne. Celem tak zredagowanego przepisu jest ochrona rodziny i małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny.

Jeżeli chodzi o rozporządzenie unijne o uznawaniu rodzicielstwa, to sprawa jest rozwojowa. Jako odpowiedzialny za koordynację działań w tej sprawie na bieżąco monitoruję sytuację z moim zespołem w Ministerstwie Sprawiedliwości. Oceniamy ten projekt bardzo

negatywnie. Jednak chociaż sprawa w żaden sposób nie jest objęta kompetencjami przekazanymi Brukseli w ramach traktatów, to eurokraci nie zamierzają rezygnować z projektu. Na szczęście jego przyjęcie wymaga jednomyślności w Radzie UE, gdzie nie zawahamy się skorzystać z prawa weta. Polska musi męsko bronić swoich interesów i niezależności, nie tylko w sprawie rodziny i małżeństwa. To samo dotyczy całego spektrum konfliktu wywołanego przez bezprawne działania europejskich instytucji. Nie wolno nam popełniać błędów niemieckich czy brytyjskich konserwatystów z przeszłości, szczególnie kiedy gra toczy się o najwyższą stawkę.

Co ma pan na myśli, mówiąc o błędach zachodniej prawicy, i o co dokładnie toczy się gra?

Nasza ojczyzna i cały region znajdują się na skraju przełomu społecznego, motywowanego zachodzącym kryzysem obyczajowym, a co za tym idzie – moralnym i tożsamościowym. Klamka jeszcze nie zapadła i w przeciwieństwie do wielu zachodnich państw możemy jeszcze odwrócić trend w kierunku postępu rozumianego jako wyrzeczenie się sumienia i wolności. W podobnym punkcie historii były przed laty państwa zachodnie, często rządzone przez partie konserwatywne, które jednak dla chwilowego utrzymania władzy, słupków sondażowych czy partykularnych interesów ustąpiły moralnemu zepsuciu i wyrzekły się prawdziwie konserwatywnego charakteru w imię kompromisu z „postępem”.

Polska prawica nie może popełnić podobnego błędu. Musimy odrobić lekcję, którą daje nam na tacy historia, i trwać w prawdzie bez względu na presję kreowaną przez atakującą nas lewicę. Inaczej za chwilę obudzimy się w zupełnie innej rzeczywistości, gdzie jak w Wielkiej Brytanii czy Niemczech prawicowe partie mają z konserwatyzmem czy wartościami chrześcijańskimi wspólne jedynie nazwy, a na co dzień wspierają agendę LGBT. To kwestia wagi zdecydowanie większej niż uznanie zachodniego lewactwa, tak bardzo pożądanego przez opozycję, czy nawet pieniędzy z KPO i innych funduszy blokowanych nam za rzekome łamanie praw LGBT. Kwestia niezależności i suwerenności Polski.

Dlaczego Kościół otwiera się na LGBT?



Krystian Kratiuk

Czy kogoś jeszcze dziwi, że promotorzy tęczowej agendy mają w Kościele więcej do powiedzenia niż nauczający w zgodzie z katolicką wizją moralności?

W dniach poprzedzających rozpoczęcie kontynentalnego etapu Synodu o synodalności, uważanego za jedno z najważniejszych wydarzeń pontyfikatu papieża Franciszka, Ojciec Święty uznał za stosowne najpierw udzielić kolejnego wywiadu o homoseksualizmie, a potem pospieszenie tłumaczyć się z własnych słów przed głównym promotorem LGBT w Kościele. W tym samym czasie Watykan poinformował natomiast, że kolejny, powszechny już etap trwającego synodu otwarty zostanie rekolekcjami

wyłoszonymi przez zakonnik od lat głoszącego, że „Bóg potrzebuje darów, jakie posiadają homoseksualiści”.

I co? I nic. Niemal nikogo nie dziwi już, że promotorzy tęczowej agendy mają w Kościele więcej do powiedzenia niż kaznodzieje, teologowie czy hierarchowie nauczający w zgodzie z katolicką wizją moralności.

Bo niby dlaczego kogokolwiek miało by to dziwić? Papież tłumaczy się o. Jamesowi Martinowi, strażnikowi tęczowej tolerancji w Kościele, przestał robić wrażenie na kimkolwiek. W styczniu świat obiegły słowa Franciszka o tym, że „bycie homoseksualistą nie jest przestępstwem” (mowa o prawnej penalizacji aktów seksualnych osób jednej płci), i choć liberalne media uczyniły z nich nagłówki, to nie zauważyły słów, które zbulwersowały prominentnego amerykańskiego jezuitę. Papież bowiem w tym samym wywiadzie dodał, że „homoseksualizm to grzech”. I to właśnie wzbudziło niepokój Martina. Poprosił papieża o wyjaśnienie tych słów. Franciszek odpowiedział listownie, że miał na myśli katechizmowy zapis

o tym, że „każde współżycie seksualne poza małżeństwem jest grzechem”.

Papież postanowił też zrelatywizować swoją wypowiedź na temat grzeszności homoseksualizmu, stwierdzając, że „na-leży wziąć pod uwagę także okoliczności, które mogą zmniejszyć lub wyeliminować winę”. „Powinienem być powiedzieć: to jest grzech, jak każdy pozamałżeński akt seksualny. To dotyczy samego problemu grzechu, ale dobrze wiemy, że moralność katolicka nie tylko bierze pod uwagę materię, lecz także ocenia wolność i intencję, i to przy każdym rodzaju grzechu” – stwierdził papież. „Powiedziałbym każdemu, kto chce uznać homoseksualizm za przestępstwo, że się myli. W wywiadzie telewizyjnym, w którym rozmawialiśmy językiem naturalnym i konwersacyjnym, zrozumiałe jest, że nie było miejsca na precyzyjne definicje” – tłumaczył się jezuita.

Papież, powołując się na Katechizm Kościoła katolickiego, tłumaczył się dysydenckiemu jezuita ze swoich słów o grzechu, stawiając go na równi ze współżyciem pozamałżeńskim kobiety

z mężczyzną, i nie wspominał przy tym, że tenże Katechizm nadal definiuje grzech sodomitów jako „grzech wołający o pomstę do nieba” (KKK 1867). Pewnie dlatego, że w Watykanie od lat trwają prace nad tym, aby za grzech sodomitów uznać... niegościnnosć, a nie – jak uważano przez tysiące lat – grzechy cielesne przeciw naturze, a więc również, a może przede wszystkim, stosunki homoseksualne.

NIC NOWEGO POD FRANCISZKIEM

Opisana tu sytuacja tłumaczenia się papieża przed gwiazdą rewolucji seksualnej w Kościele doskonale ilustruje etap tejże rewolucji na szczytach kościelnej hierarchii. Dlatego też nikogo nie mogła zaskakiwać i kolejna styczniowa rewelacja – poinformowanie przez Watykan, że rekolekcje dla uczestników decydującej fazy Synodu o synodalności wygłosi znany admirał homoseksualistów, były generał dominikanów, o. Timothy Radcliffe. Kilkanaście lat temu apelował on: „Powinniśmy oglądać film »Brokeback Mountain«, czytać gejowskie powieści, mieszkać z naszymi przyjaciółmi gejami, wsłuchać się w to, co mają do powiedzenia”. Potem odprawiał Msze dla społeczności gejowskiej, popierał ideę udzielenia Komunii Świętej rozwodnikom i gorąco zabiegał, by homoseksualiści mogli zostawać księżmi, gdyż są „jednymi z najbardziej oddanych i wspaniałych księży, jakich spotkał”. Wyjaśnił przy tym, że „Bóg potrzebuje darów”, które mają homoseksualiści i które mogą przekazać Kościołowi jako kapłani. Dodajmy, że Katolicka Agencja Informacyjna przedstawiła o. Radcliffe’a polskiej opinii publicznej jako „jednego z najbardziej wyrazistych teologów w Kościele”.

Ktoś mógłby się zachnąć: Jak to?! Człowiek głoszący takie tezy będzie głosił rekolekcje wszystkim biskupom zgromadzonym na synodzie? No ale cóż w tym dziwnego, skoro będzie na nim omawiana m.in. kwestia podejścia Kościoła właśnie do związków homoseksualnych, a dyskutować o niej będą zarówno przedstawiciele Kościołów lokalnych, w których nikt oficjalnie nie podnosi takich postulatów (jak np. Polacy), jak i przedstawiciele Kościołów, które już formalnie lub faktycznie wyraziły zgodę na błogosławienie par homoseksualnych (Niemcy czy Belgowie) albo sugestystycznie

wzywają Watykan do zmiany nauczania w tej dziedzinie. Na koniec synodu tylko jedna ze stron może być zadowolona. Czy nauki rekolekcjonisty się do tego przyczynią? Nie wiadomo.

Wiadomo jednak, że pontyfikat papieża Franciszka jest pod tym względem absolutnie przełomowy. Wydawać by się nawet mogło, że to na niego właśnie czekali homorewolucjoniści, by do głoszenia swych własnych postulatów zachęcić wysoko postawionych hierarchów.

Tylko w ostatnim dziesięcioleciu w Niemczech kilka razy doszło już do akcji błogosławienia par jedнопłciowych przez kapłanów w katolickich parafiach; biskupi belgijskiej Flandrii oficjalnie zaakceptowali teksty błogosławieństwa takich par; James Martin występował jako suport papieża na Światowych Dniach Rodzin; papież nakazał wpisać do dokumentu kończącego Synod o rodzinie punkty o progejowskiej wymowie, mimo że nie uzyskały one poparcia wymaganej większości głosujących biskupów; odpowiedzialnym za najważniejszy z synodów Franciszek uczynił prohomoseksualnego kard. Jeana-Cloude’a Hollericha (który zapytany o los Sodomy stwierdził, że Biblia nie należy interpretować dosłownie); Papieska Komisja Biblijna dokonała wspomnianej już interpretacji Pisma, według której grzech sodomitów „ilustruje grzech polegający na braku gościnności, wrogości i przemocy wobec obcego”; niemiecki kapłan gej pozwał ks. Dariusza Oko za tekst w naukowym periodyku tylko dlatego, że ten stwierdził, iż homoseksualne kliki wśród kapłanów stanowią ogromne zagrożenie; kard. Reinhard Marx, jeden z najbliższych współpracowników papieża Franciszka, odprawił Mszę Świętą z okazji dwudziestolecia „kultu queer” oraz opieki duszpasterskiej nad nim, podczas kazania ubolewał z powodu „dyskryminacji chrześcijan wobec osób LGBT”, Mszę sprawując na ołtarzu, pod którego stopami rozłożono, a także, tęczową flagę.

Sam papież Franciszek został nazwany przez „La Croix”, francuski dziennik katolicki ukazujący się od 140 lat, „pierwszym papieżem gejem”. Nie chodziło tu o sugerowanie niczego osobiście papieżowi, ale o chwytliwe hasło publicystyczne użyte na tej samej zasadzie, na jakiej w latach 90. Bill Clinton został nazwany „pierwszym czarnym prezydentem USA” – dzięki swej

postawie wspierającej czarnoskórych mieszkańców Stanów Zjednoczonych...

DLACZEGO?

Gdy umierał postrzegany jako konserwatywny Benedykt XVI – który m.in. zakazał przyjmowania do seminariów duchownych homoseksualistów i za którego pontyfikatu kilkaset takich osób zostało z nich wydalonych – wielu komentatorów wskazywało, że rewolucja Franciszka teraz przyspieszy. To oczywiście wróżenie z fusów, ale nie można nie zauważyć, że podejście poprzedniego papieża do kwestii homoseksualistów było zupełnie inne niż jego następcy.

Już na emeryturze Benedykt XVI napisał słynny esej, z którego wynikało, że rewolucja seksualna i przyjęcie jej założeń przez licznych ludzi Kościoła w olbrzymim stopniu przyczyniły się do obecnego skandalu seksualnych w Kościele. Wskazywał także na problem homoseksualnych sieci, które zawiązały się w części seminariów, podał przykłady seminariów, w których zakazywano lektury jego książek, ale za to puszczano klerykom gejowskie porno. Benedykt pisał to wszystko do biskupów tuż przed zwołanym przez Franciszka watykańskim szczytem do spraw przeciwdziałania molestowaniu w Kościele. Podczas tego spotkania hierarchów z całego świata słowo homoseksualizm (co za niespodzianka!) nie padło jednak ani razu.

Jeżeli interesuje nas odpowiedź na pytanie, dlaczego tak liczni przedstawiciele Kościoła weszli na drogę rewolucji seksualnej, to musimy przypomnieć sobie, że rewolucja seksualna – jak każda rewolucja – jest rewolucją totalną. Zamiarem jej przywódców są bowiem wpływanie na wszystkie czynniki życia społecznego i całkowita przemiana postaci zastanego świata. A zmiany moralności w całych społeczeństwach nie da się dokonać bez zmiany nauczania Kościoła. Jego siła, choć przecież ogromnie w ostatnich stuleciach osłabiona, wciąż jest ogromna. Rewolucja seksualna trwa więc i wewnątrz Kościoła, którego prawdziwe nauczanie nie tylko pozostaje główną przeszkodą na drodze rozpędzonej tęczowej maszyny, lecz także którego zniszczenie jest przecież jednocześnie głównym celem każdej społecznej rewolucji w dziejach cywilizacji chrześcijańskiej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

Zawsze wszystko na jedną kartę



Mówi się, choć jest to wyrażenie głównie retoryczne, że wybory są świętem demokracji. Otóż podobnie można by określić wizytę prezydenta Joe Bidena w Warszawie, zwińczającą tydzień „dyplomatycznej ofensywy” prezydenta Andrzeja Dudy – święto dyplomacji, z tym właśnie zastrzeżeniem, że jest to przede wszystkim określenie retoryczne. Co nie znaczy, że jest ono mylące czy kłamliwe, wręcz przeciwnie, uważam, że to nasze niedawne „święto dyplomacji”, w sumie istny show, dobrze odzwierciedla plusey i minusy polskiej polityki zagranicznej ostatnich lat (i dekad). Znacznie więcej fleszów dla publiki niż konkretów, podgrzewanie narodowej ułańskiej fantazji, oraz – prawdopodobnie – prawdziwa polityka za kulisami, z definicji niejawna,



Wojciech Golonka

Polscy politycy, mimo różnic politycznych, w przeważającej większości przejawiają identyczny schemat myślenia – sugerując, że alternatywa nie istnieje. W praktyce ta zasadnicza bezsilność brzmi: Jak nie z Amerykanami, to z kim?

a przez to trudna do wychwycenia dla samych ekspertów, a co dopiero laików. Ci będą przede wszystkim karmić się spektaklem – uściskami dłoni, poklepywaniem po plecach, zwięzłymi formułkami na granicy sloganów.

Tak, poufność jest żelazną zasadą i warunkiem sine qua non prawdziwej dyplomacji – wystarczy przypomnieć

dość ostentacyjne zruganie Justina Trudeau przez Xi Jinpinga na ostatnim szczycie G20, za to, że premier Kanady przekazał do prasy treść ich rozmów – a stąd pełny obraz i całościowa ocena danej polityki zagranicznej na poziomie publicystycznym są możliwe. Co nie znaczy, że jej ogólne ramy czy zasadnicze bolączki są niemożliwe do uchwycenia,



FOT. ANDRZEJ STOK

Rosję od Niemiec”. Ma się rozumieć, ten cytat z połowy lat 30. nie brał pod uwagę istotnego czynnika, jakim było powojenne zdominowanie zachodniej polityki europejskiej przez amerykańską potęgę, a tym bardziej okoliczności wojny rosyjsko-ukraińskiej doby obecnej, która na długo (właśnie – na jak długo?) oddala ewentualność kolejnego „resetu” z Rosją. Przy tych oczywistych zastrzeżeniach trzeba stwierdzić, że Chesterton trafnie wskazał także dodatkowy istotny element warunkujący naszą politykę zagraniczną: w tym naszym osobliwym położeniu wizja polityki zagranicznej zmienia się wraz z daną frakcją polityczną aktualnie u sterów władzy, a tym bardziej w kontekście sprzecznych modeli integracji europejskiej, kiedy obok zwolenników Europy Ojczyzn nie brakuje u nas fanatycznych wręcz zwolenników jednego europejskiego państwa federalnego, najlepiej w barwach zielono-tęczy. Za czasów Chestertona sprzeczne wizje Piłsudskiego i Dmowskiego były przynajmniej wciąż narzędziami ku temu samemu celowi – suwerennego państwa – dziś niespójne bywa nawet samo pojmowanie celowości tej polityki.

Ten brak stabilności naszej orientacji zagranicznej ponad partyjnymi podziałami zdaje się większy niż u naszych zachodnich partnerów, gdzie przecież też zmieniają się partie u władzy, a jednak pewna mocarstwowa polityka, czy to globalna, czy regionalna, narzuca pewne państwowe imperatywy i kierunki działania, niezależne od barw partyjnych. Choć i tu bywają wyjątki, by wspomnieć trzęsienie ziemi orientacji polityki zagranicznej, którym był brytyjski brexit.

NIEZALEŻNOŚĆ?

Skoro już mowa o przynależności do Unii Europejskiej, zachodzi także zasadne pytanie, czy niezależna polityka zagraniczna poszczególnych państw Europy jest, w dobie traktatów z Maastricht i Lizbony, w ogóle możliwa. Boris Johnson zachwalał, że bez brexitu Wielka Brytania nie byłaby w stanie prowadzić tak skutecznie (cokolwiek by to miało znaczyć) swej proukraińskiej (alias: antyrosyjskiej) polityki – czemu jednak przeczy zaangażowanie Polski po stronie Ukrainy i sporo samodzielnych decyzji podejmowanych przez nasz kraj

na tej płaszczyźnie, będąc jednocześnie państwem członkowskim UE. Jednak bez wątpienia przystąpienie do struktur unijnych poskutkowało odebraniem nam niektórych narzędzi polityki zagranicznej (zgrabnie nazywa się to oddelegowaniem uprawnień czy prerogatyw), takich choćby jak polityka celna. By wspomnieć niedawny, wymowny i nieprzyjemny dla nas przykład: Polska miała być korytarzem dla eksportu ukraińskiego zboża (wyprodukowanego notabene przez międzynarodowe konsorcja), które Bruksela zwolniła w tym celu z unijnych ceł, a ostatecznie to polski rynek został tymże zbożem do dalszego eksportu zalany. Ministrowie Prawa i Sprawiedliwości bezsilnie rozkładają ręce wobec tego stanu rzeczy, Komisja Europejska nie zamierza bowiem przywracać w najbliższym czasie ceł na ukraińskie zboże; deklarują za to starania w Brukseli o zabezpieczenia finansowe dla poszkodowanych polskich rolników. Gdzie jest zatem ośrodek decyzyjności?

Tak, podobne narzędzia międzynarodowej polityki gospodarczej są de facto poza naszym zasięgiem, co nie znaczy, że w naszej kompetencji nie pozostają możliwości bilateralnych inwestycji z obcymi państwami, w tym inwestycji strategicznych w naszym kraju, choć teoria i projekty bywają barwne, a rzeczywistość szara. Podam dwa przykłady. W ramach oszczędności budżetowych rząd Donalda Tuska zlikwidował polską ambasadę w Mongolii, decyzja wydawałaby się nieznaczająca względem odległego kraju o małej populacji i rozległych stepach. Tymczasem nie tylko polscy producenci są kluczowym dostawcą produktów spożywczych do Mongolii – to po pierwsze – ale przede wszystkim Mongolia jest krajem żyjącym ze sprzedaży praw do eksploatacji swych różnorodnych cennych złóż, przez co państwa, którym zależy na wspieraniu swych rodzimych potentatów (czyli własnej gospodarki), dbają o rangę swej obecności dyplomatycznej w Ulan Bator. Otóż dopiero za drugiej kadencji rządów PiS nadrobiono w końcu ten strzał w kolano ze strony oszczędnego ministra Sikorskiego.

Drugi przykład, tym razem już wewnątrz tego samego obozu politycznego, to jedwabny szlak. Czy pamiętamy jeszcze uroczystą wizytę prezydenta Andrzeja

tym bardziej, jeśli są ściśle powiązane z naszym stałym uwarunkowaniem geopolitycznym. To zaś, jak wiadomo, należy niestety do najcięższych na świecie – „taką mamy geografie”.

NASZE POŁOŻENIE

To osobliwe historyczne położenie naszej ojczyzny między młotem a kowadłem doskonale streścił w swej autobiografii przyjaciel Polski Gilbert Keith Chesterton: „Polacy zawsze mają wybór między złem a złem. Spotkałem wielkiego Piłsudskiego; i ten wspaniały, ale dość ponury stary żołnierz powiedział mi, że z dwójga złego wołał Niemcy od Rosji. Równie jasne jest, że jego rywal Dmowski, który również wspaniale zabawiał nas w swoim wiejskim odosobnieniu, sądził, że z tych dwóch woli

■ Dudy z honorami w Państwie Środka, w pierwszych miesiącach jego prezydentury w 2015 r., i zapowiedzi o perspektywach strategicznego partnerstwa z Chinami? Wizytę rok później prezydenta Xi Jinpinga w Polsce, który deklarował, że to Chiny i Polska leżą na dwóch krańcach euroazjatyckiego mostu? Dlaczego Polska, pod tymi samymi rządami, wycofała się rakiem z projektu jedwabnego szlaku? Nie pytam, czy był to dobry projekt, ale dlaczego został najpierw przedstawiony jako strategiczna żyła złota dla Polski, a następnie wyciszony.

Czy podobna chwiejność w ustaleniach czyni z nas wiarygodnych partnerów do rozmów, czy może z góry zaznaczamy, że w strategicznych projektach zagranicznych ostatecznym decydującym dla rządu w Warszawie jest Waszyngton (a w wariantcie PO: Bruksela), więc summa summarum nie ma sobie co – w sprawach poważnych – zawracać głowy Polską?

SKAZANI NA WASZYNGTON?

Nie chodzi mi bynajmniej o kwestionowanie samego miejsca Polski w polityce euroatlantyckiej, ale o to, na jaką niezależność działania jesteśmy w stanie się zdobyć w ramach euroatlantyckiego obozu, gdzie rządzą nie tylko reguły przyjaźni, lecz także rywalizacji, a nawet – magiczne słowo – równowaga wpływów. Turcja czy Węgry stanowią nie tylko przykłady wielowektorowej polityki zagranicznej, o której się mówi, że w przypadku Polski, ze względu na jej położenie, byłaby nierealna; to są także państwa, gdzie ministrowie spraw zagranicznych są zdolni do publicznego kontrowania deklaracji, krytyki i zapędów Waszyngtonu, kiedy te wykraczają poza ramy stosunków partnerskich czy w ogóle granice dyplomatycznej przyzwoitości. Czy usłyszeliśmy kiedykolwiek z ust polskiego ministra spraw zagranicznych niedawne słowa szefa węgierskiego MSZ Petera Szijjarto: „To, co myśli ambasador USA czy jakikolwiek inny ambasador o wewnętrznych stosunkach panujących na Węgrzech, jest nieistotne, bo to nie jego sprawa”?

ZERO-JEDYNKOWOŚĆ

Abstrahując od wielce pochlebnych słów ambasadora Brzezińskiego o Polsce, z perspektywy ostatniej dekady sytuacji wymagających analogicznej reakcji

w naszym kraju naprawdę nie brakowało, kiedy to przedstawiciele obcych państw rościli sobie prawo wychowywania nas w kwestii „zachodnich wartości”, z rewolucją LGBT na czele, w postaci upominających listów otwartych. Dlaczego nasze elity polityczne nie są zdolne do podobnej asertywności, traktując ją jako rzecz zakazaną, a więc niemożliwą? Skąd bierze się to psychologiczne fatum, bądź

Główną pokusą dla polskiej polityki zagranicznej jest wyrobione już retorycznie określenie murzyńskości

co bądź brzemienne, gdy idzie o osłabianie wydajności i skuteczności naszych strategicznych sojuszy, o czym wspomnę za chwilę? Otóż polscy politycy, mimo różnic politycznych, w przeważającej większości przejawiają identyczny schemat myślenia: Jak nie z tymi, to z kim?, z góry sugerując, że alternatywa nie istnieje. W praktyce, w zależności od orientacji politycznej, ta zasadnicza bezsilność brzmi: Jak nie z Amerykanami, to z kim? Jak nie z Berlinem, to z kim? Jak nie z Brukselą, to z kim?

Skąd bierze się ten zero-jedynkowy sposób myślenia, postawa quasi-totalnego zdawania się na drugą stronę, z góry akceptująca możliwy brak równowagi we wzajemnych reakcjach – nie mam pojęcia, ale jest on dla mnie faktem mającym odczuwalne skutki. Trudno mieć solidną pozycję w negocjacjach, jeśli nasz partner z góry wie, że jest on dla nas „być albo nie być”; trudno targować się o więcej – a przecież w stosunkach międzynarodowych to podstawa – jeśli powtarzamy jak mantrę, że jesteśmy w pełni zadowoleni z naszego strategicznego partnerstwa. A przecież takie właśnie były komentarze ze strony obozu władzy – usłyszeliśmy to, co chcieliśmy usłyszeć, jesteśmy w pełni zadowoleni, Warszawa w centrum uwagi świata, hurra! – przy okazji pozbawionego nowych konkretów przemówienia prezydenta Joe Bidena w Warszawie. No właśnie, a konkrety względem naszych bieżących potrzeb? Czy mocarstwo, które – jak zapowiadał

sam Joe Biden – ma swe sposoby, aby skutecznie zablokować projekt Nord Stream 2, uczynić zeń zardzewiałą rurę na dnie Bałtyku, nie ma narzędzi, aby uspokoić wyjątkowo niepartnerskie zachowania Brukseli względem Polski, sztorcującej raz po raz Warszawę i bawiącej się w kolejne odsłony niekończącego się szantażu finansowego?

Tak, główną pokusą dla polskiej polityki zagranicznej jest wyrobione już retorycznie, choć nieco mylne określenie murzyńskości – byle znaleźć się w błysku fleszy, usłyszeć piękne hasła i podziękowania, byle dostać jakiś wiatr w plecy w walce wyborczej – o więcej zabiegać nie trzeba. Piszę „nieco mylne”, gdyż określenie to odwołuje się do czasów kolonialnych, gdy tymczasem sama ta epoka oznaczała w Afryce inwestycje w lokalną infrastrukturę oraz pewien transfer technologii z metropolii do kolonii, podczas gdy epoka postkolonialna charakteryzuje się zasadą „lend and lease”, pożyczek i dzierżawy, bez daleko idących transferów technologii.

Chciałbym się mylić, wierzyć, że oprócz rozgrywania spotkań PR polityki zagranicznej w walce polityki krajowej poważni ludzie w zaciśniętych gabinetach prowadzą poważne asertywne rozmowy, gdzie nie wystarczy poklepać przedstawiciela Polski po plecach i powiedzieć, że Polacy są super, aby dopiąć swego po przecenie, nie odwzajemniając się należycie w zamian.

Dyplomacja rozgrywa się za kulisami i być może są świetne wieści, których nie znamy, ale po roku bicia państwem przyfrontowym w ewidentnej służbie amerykańskiej hegemonii, obok oczywistego zacieśnienia współpracy militarnej i wzmacniania (oby!) polskiej obronności, zasadne jest pytać o inne korzyści natury win-win. Hasła: „Polska nowym sercem Europy”, „Oczy świata zwrócone są na Polskę”, „Historyczna wizyta...” są zbyt płytkie i pozbawione konkretów, by przekonać mnie o zasadniczej poprawie, gdy idzie o niegospodarność naszej polityki zagranicznej. W chwili, gdy postawiliśmy wszystko na jedną, amerykańską kartę, chciałoby się usłyszeć więcej – a może właśnie z tego powodu tego więcej nie będzie, bo tylko wielowektorowość, u nas a priori niemożliwa, daje większe pole do manewru?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

„Ukraińcy walczą za nas”

Zapewnienia, że Ukraińcy walczą za nas, dobiegają do nas z każdego niemal medium. Rządowego czy opozycyjnego, katolickiego czy ateistycznego, lewackiego czy prawackiego. Ukraińcy walczą, aby nas obronić przed azjatycką tyranią. Walczą w obronie wolności i fundamentów moralnych Zachodu.



Mariusz Dzierżawski

Z perspektywy Ukrainy hasło „Ukraińcy walczą za nas” nie wygląda zachęcająco. Można to odczytać w ten sposób: pomożemy wam się wykrwawiać, bo zależy nam na osłabieniu Rosji

nie przekażą wielkich ilości sprzętu, ponieważ muszą być przygotowani na ewentualny konflikt w rejonie Pacyfiku.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja Ukrainy, jeśli chodzi o zasoby ludzkie. Rosja ma wielokrotnie większy potencjał mobilizacyjny. W minionych latach Ukraina się wyludniła. Miliony młodych mężczyzn wyjechały do pracy, przede wszystkim do Polski i innych krajów Zachodu. Wiele milionów uchodźców opuściło Ukrainę po rosyjskim ataku. Kilka milionów zostało na zajętych przez Rosjan terytoriach. Amerykańskie źródła podają, że władzy prezydenta Zełenskigo podlega ok. 20 mln ludzi.

Generał zdaje sobie sprawę z dysproporcji sił i zasobów. Przewiduje, że choć Ukraińcy skutecznie się bronią, to nie będą w stanie podjąć konترفensywy, bo atak wymaga znacznej przewagi sił i środków. Można się natomiast spodziewać kolejnej ofensywy rosyjskiej. Jeśli warunki pogodowe będą sprzyjające,

to może ona nastąpić jeszcze w zimie. Jeśli nie, to Rosjanie prawdopodobnie zaatakują późną wiosną. Generał przypuszcza, że po ugruntowaniu swoich pozycji we wschodniej Ukrainie Rosjanie ogłoszą jednostronne zawieszenie broni. Wyraża nadzieję, że Ukraińcy nie zaprzestaną walki, a konflikt mniej lub bardziej gorący będzie trwał przez wiele lat.

Co to oznacza dla Ukrainy i jej mieszkańców? W wyniku wojny państwo utraciło ok. 20 proc. terytorium, straty ludności są jeszcze większe. Według zachodnich źródeł Ukrainę opuściło 8 mln ludzi, zapewne kilka milionów pozostało na terenach zajętych przez Rosjan. Liczba ofiar działań wojennych jest nieznana, ale można przypuszczać, że chodzi o setki tysięcy. Dzisiaj już nikt nie obiecuje całkowitego i szybkiego pokonania Rosji. Przedłużanie wojny oznacza dla Ukrainy postępującą destrukcję infrastruktury i kolejne ofiary w ludziach. Z perspektywy Ukra-

iny hasło „Ukraińcy walczą za nas” nie wygląda zachęcająco. Można to odczytać w ten sposób: pomożemy wam się wykrwawiać, bo zależy nam na osłabieniu Rosji.

CZEMU SŁUŻY TA WOJNA?

Warto jeszcze się zastanowić, czy ta wojna służy obronie wolności i fundamentów cywilizacji Zachodu. Z ust prominentnych liderów opinii zachodniego świata słyszymy, że wolność, którą szczycił się Zachód przez setki lat, jest przeżytkiem, który trzeba porzucić, ponieważ stwarza zagrożenie dla klimatu i ogólnie matki ziemi. Dlatego trzeba zakazać niepotrzebnych podróży, konsumpcji mięsa i nabiału, a także używania zbytnej liczby ubrań. Wpływowi przywódcy Zachodu wskazują wprost na model chiński jako wzór do naśladowania. Czy komunizm chiński, powszechna aborcja i upowszechnianie zbrodni, co zalecają i wdrażają prominentni politycy USA, Kanady i Europy, ma coś wspólnego z fundamentami naszej cywilizacji?

Wygląda więc na to, że podobnie jak w minionych wiekach zwolennicy zniewolenia wysyłają na śmierć rzesze ludzi, powiewając nad nimi sztandarem wolności. ©©

Autor jest działaczem społecznym, założycielem Fundacji Pro – Prawo do Życia. Był wiceprezesem Unii Polityki Realnej i prezesem Stronnictwa Polityki Realnej.

DYSPROPORCJE

Zacząłem więc się zastanawiać, jak ta wojna wygląda z perspektywy Ukraińców. Słucham komentatora polskiego generała. Emeryta, ale nie tak dawno pełniącego poważną funkcję. Mówi, że wojna jest zażarta, a Rosjanie mają znaczną przewagę, jeśli chodzi o sprzęt i możliwości produkcyjne. Dostawy uzbrojenia z Zachodu nie zmieniają radykalnie sytuacji. Europa rozbraja się, przekazując sprzęt Ukrainie, zdaniem generała słusznie, ale dostawy są niewystarczające, bo w minionych dziesięcioleciach Europa rozbrajała się nieustannie. Możliwości Amerykanów są znacznie większe, ale Amerykanie

To jest nasza wojna



Małgorzata Wołczyńska

Jaki sens ma refleksja nad polityką Budapesztu, gdy pod jego adresem nie padają wojenne deklaracje Kremla? Rosja jest przecież bezpośrednim rozpoznanym zagrożeniem dla Warszawy, a nie tylko dla Kijowa

Polemika z Łukaszem Warzechą – najdonośniejszym rzecznikiem ekipy realistów na naszych łamach – pozostaje zajęciem niezwykle fantazyjnym, bo obarczonym małym ryzykiem przekonania moich znacznych kolegów do zmiany zdania. Każdy z nas sądzi, że wie lepiej, czy wojna jest nasza czy też nie nasza, a repertuar argumentów odgrywa tu już tylko rolę dekoracyjną i autoterapeutyczną. Chcemy, by wszystkie poglądy na wymianę poglądów, choć jednocześnie zrobimy wiele, aby własnych poglądów nie wymienić na cudze. Wiodący artykuł o „Innej drodze Orbána” jest więc już tylko wisienką na torcie, który przeżykać muszę do pewnego czasu ja i – jak sądzę – pewne grono czytelników naszego tygodnika.

Nie da się ukryć, że Warzecha jest dziennikarzem stokroć bardziej zasłużonym i doświadczonym ode mnie, choć dodać należy, że także w najzupełniej legalnych, bo erystycznych, technikach manipulowania odbiorcą. Świadczy o tym już pierwsze zdanie jego tekstu o Orbánie: „Polskie media pokazują alternatywną rzeczywistość. W tej rzeczywistości Polskę zazdroszczą niemal wszyscy w Europie, bo wytycza kierunek wojny”.

Alż tak właśnie jest (!) i wystarczy oglądać media zachodnie lub wyrwać się czasem na antypody Europy, aby

porozmawiać z zagranicznymi dziennikarzami i politykami: wiodąca rola Polski jest tu niekwestionowana i przyjmowana z podziwem.

SZKODA CZASU NA ORBÁNA

Od początku wywodu pióro autora chce zwieść nas na manowce. Bo jaki sens ma refleksja nad polityką Budapesztu, gdy pod jego adresem nie padają wojenne deklaracje Kremla? Rosja jest przecież bezpośrednim rozpoznanym zagrożeniem dla Warszawy, a nie tylko dla Kijowa. Czy redaktor Warzecha ma okazję rozmawiać z Węgrami, aby lepiej zrozumieć ich stanowisko? Moje rozmowy z brytyjsko-węgierskim hrabią i ekspertem ds. stosunków międzynarodowych Miklósem Csesznékym (z którym przeprowadzałam wcześniej wywiad dla „Teologii Politycznej”) przekonują mnie, że dla Węgrów istnieje dziś znak równości między reżimem rosyjskim a „reżimem ukraińskim”. Tak absurdalne przekonania nie występują nad Wisłą. Nic więc dziwnego, że droga Orbána musi pozostać tu napiętnowana, zwłaszcza po jego ostatnim „orędziu o stanie państwa”, w którym o całe zło oskarżył Zachód, a nie agresora z Kremla. Naprawdę szkoda czasu i papieru, aby pochylać się nad cynizmem Orbána i wmawiać czytelnikom, że są w nim ziarenka cennego „realizmu” i prawdy obiektywnej.

Polska jako jeden z liderów koalicji antyrosyjskiej ma historyczną rolę, o czym przekonałam się, tłumacząc apel opozycjonistów kubańskich do polskich władz z prośbą o wsparcie Wolnej Kuby przeciw rządowi Castro kontrolowanemu przez Kreml. W rozlicznych wypowiedziach naszej ekipy realistów pobrzmiewa ton, jakby to była wojna domowa między skłóconymi siostrzankami nacjami, do której należy odnosić się z rezerwą, udając przy tym, że Rosja nie wypowiedziała Polsce faktycznej wojny treścią ultimatum z 17 grudnia 2021 r. Jak długo jeszcze moi koledzy będą przemilczać ten fakt, który stał się katalizatorem tak zaangażowanej, a jednocześnie skutecznej polityki polskiego rządu? Premier i prezydent angażują całą opinię światową, bo Rosja jest nie tylko problemem regionalnym, lecz także wyzwaniem dla reszty świata. To Rosja kontroluje kraje Iberoameryki (Wenezuela, Kuba, Nikaragua, Boliwia, a wkrótce Brazylia) i to Rosja panoszy się w krajach Sahelu, nie wspominając o swym wielkim sojuszniku – Algierii. Mamy więc powody sądzić, że to prorosyjski Budapeszt znajdzie się wkrótce po „złej stronie historii” i zostanie dotknięty sankcjami tak samo, jak to się wydarzyło z Hiszpanią Franco po drugiej wojnie światowej.

Inny problem, który wyłania się z publicystyki Warzechy, to obecność nie tylko drobnych manipulacji, lecz także malowniczych banałów wypowiadanych publicznie





typu: „Dużo znajomych posługuje się taką frazą: »Jestem po stronie Ukrainy«, na co ja zawsze odpowiadam: »A ja jestem po stronie Polski«”. No cóż... Zapewne właśnie dlatego spora część opinii publicznej, rozpoznawszy jego doniosłą rolę w obrocie ojczystym, zwykła nazywać Warzechę „ruską onucą”. Nie wystarczą nerwowe tweety i powtarzanie, że w Polsce każdy sprzeciw wobec dominującego dyskursu przedstawiany jest jako ruska agentura. Przy mojej znajomości analiz, komentarzy na temat konfliktu w debacie międzynarodowej argumentacja Warzechy rymuje się niebezpiecznie z tekstami na portalach skrajnej prawicy hiszpańskiej czy francuskiej. Tymczasem ani Warzecha, ani ja nie żyjemy w Kadyksie czy Nicei, ale tuż przy ostrzeliwanej granicy, która może stać się granicą ruskiego miru.

KTO TU JEST OFIARĄ?

Ta wojna jest jak najbardziej NASZĄ wojną, która tylko wskutek heroicznej postawy Ukraińców, zaangażowania USA i Polski nie rozlała się dotąd na nasze terytorium. Warzecha umiał przyznać w podcaście z 12 marca, że „Ukraińcy walczą za nas”, ale w ciągu tych 10 miesięcy stał się w przedziwny sposób medialną twarzą walki z narracją proukraińską czy też – jak sam to nazywa – z „propagandą”. Notabene nieustannie przywoływanie

przez niego tego słowa, określającego narzędzie typowe raczej dla państw totalitarnych i autorytarnych, każe myśleć znów o nie najlepszej woli rozpoznania, kto w tym konflikcie jest totalitarystą i propagandzistą, a kto ofiarą. Trudno mi się zgodzić na demonizowanie ukraińskiego dyskursu hasłem „propaganda”, bo tak samo trudno podsumować, że ślaniające się na nogach państwo polskie uprawiało w latach wojny propagandę antyhitlerowską i antybolshewicką.

Kolejny eksces, który popełniła kołega z łamów, to bezustanne odwoływanie się do doświadczenia pandemii: skoro mieliśmy rację, podchodząc sceptycznie do reżimu sanitarnego i akcji wyszczepienia narodu, to znak, że zawsze już trzeba okopywać się na pozycjach negacjonisty wobec dominującego nurtu. Zupełnie jakby w pandemii tylko nasze medium wątpiło w oficjalny przekaz, choć przecież ten sam zdrowy odruch miało co najmniej pół Polski, które dziś opowiada się za znaczącym zaangażowaniem, także wojskowym, w pomoc Ukrainie. Czy bycie w kontrze do oficjalnego dyskursu tak ma nas rozochocić do przekornej postawy, że odtąd zaczniemy też podważać fakt, że ziemia jest okrągła?

Kolejny błąd to projektowanie konfliktu „szaleńcy vs. realisti”, i to w rekordowo krótkim czasie, bo Warzecha tak podzielił Polaków już dwa tygodnie po wybuchu wojny. Otóż szaleństwem jest raczej nieprzyjmowanie do wiadomości rachunku geostrategicznego Polski, jaki ustala się w zaciśniętej ekipy rządowej i jej doradców, którzy mają specjalistyczną wiedzę i tajne informacje. Żaden poważny rząd nie kieruje się w decyzjach polityczno-wojskowych altruizmem czy współczuciem, a jedynie interesem kraju. Domniemanie, że polskimi władzami kieruje zupełnie inny imperatyw

niż ten mający na celu dobro państwa, był do tej pory typowy raczej dla opozycji totalnej. Sposób, w jaki rząd rozgrywa trudną misję uchronienia nas od wojny w warunkach pełnoskalowego konfliktu u naszych wrót, nie musi być zawsze przejrzysty dla publicystów. Odrobina pokory w ferowaniu potępieńczych wyroków czy też rozliczaniu ministrów z ich pracy byłaby dobrym lekiem dla łamów tak jednoznacznie katolickich jak nasze. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że jeśli wybuchnie konflikt między Hiszpanią a Marokiem, to Warzecha będzie pierwszym, który ogłosi, kto ma rację w sprawie wód terytorialnych Kanarów lub praw do posiadania Melilli.

Z całego serca życzę jednak mojemu koledze, aby skupił się na wybranym odcinku realizmu, bo etat bycia ekspertem już niemal od wszystkiego może przedwcześnie wypalać siły.

Realizm Warzechy – w mej skromnej opinii – pozostaje realizmem magicznym, czyli takim, w którym brak logiki jest normą, za to pomaga tworzyć ciekawe opowieści i gromadzić setki fanów na Twitterze. Ale czy służy Polsce czy – jak uważam – bardzo jej szkodzi, to się okaże już wkrótce...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Rafał Łatka

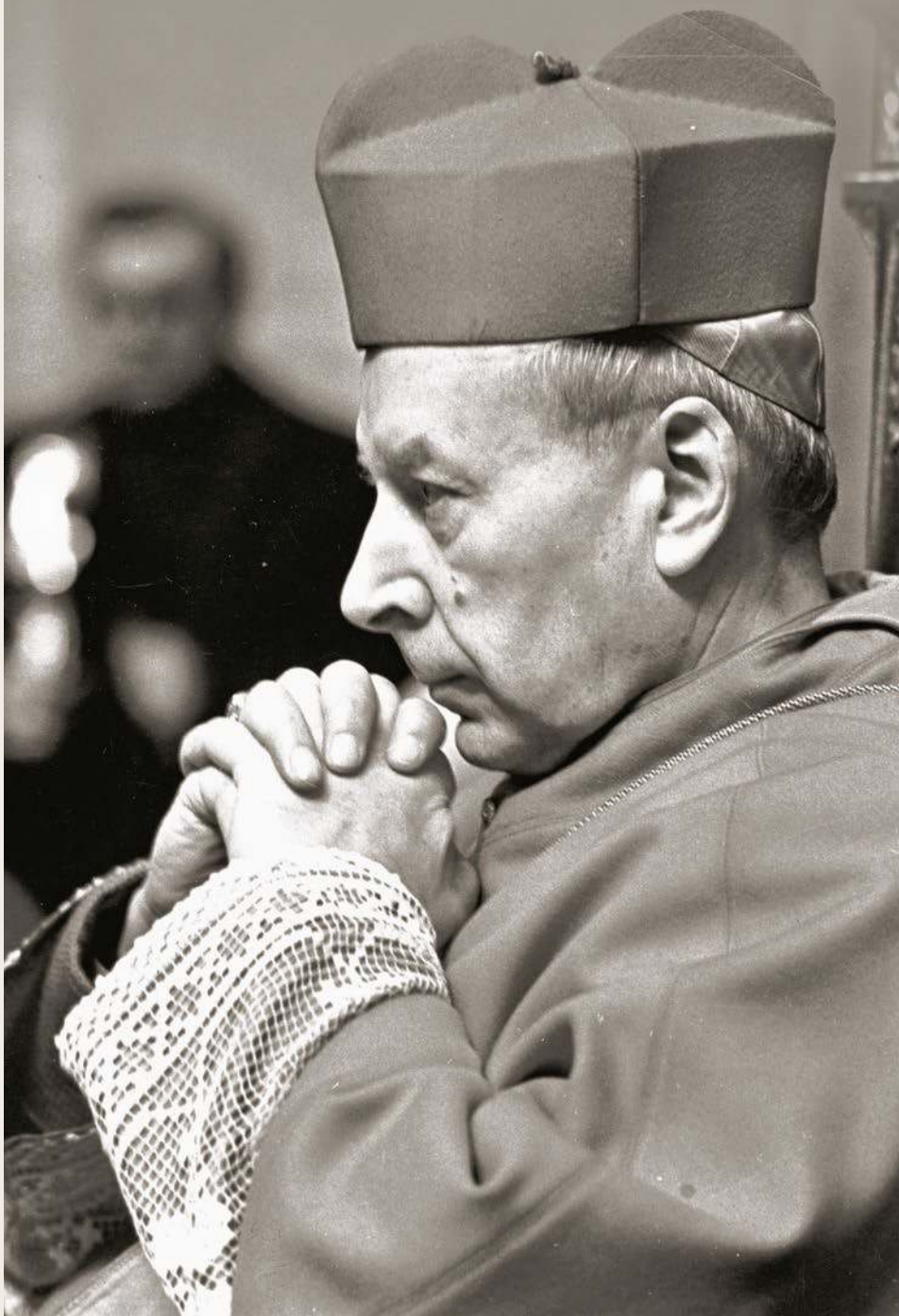
Gdy prymasem był kard. Wyszyński, najważniejsze decyzje, szczególnie w sferze społeczno-politycznej i relacji z państwem, podejmowało kierownicze gremium Episkopatu Polski. Dawał też wielu polskim biskupom autonomię w sprawach, w których się specjalizowali, oraz szanował ich jurysdykcję terytorialną

Truizmem pozostaje stwierdzenie, że kard. Wyszyński odegrał kluczową rolę w życiu społecznym i politycznym Polski „ludowej”. Wywarł także silny wpływ (co dość oczywiste) na funkcjonowanie Kościoła katolickiego w okresie PRL. Dotychczas nie analizowano jednak szerzej jego postawy jako lidera tej instytucji. W poniższej analizie postaram się w całościowy sposób opisać to zagadnienie; wskazując na najważniejsze elementy sukcesu prymasa jako przywódcy biskupów.

PIERWSZE TRUDNE LATA

Po zakończeniu drugiej wojny światowej najsilniejszą pozycję w polskim Kościele mieli kolejni prymasi Polski: kard. August Hlond, kard. Stefan Wyszyński i kard. Józef Glemp. Główne przyczyny tego stanu rzeczy to szerokie uprawnienia specjalne prymasów przyznane im przez Stolicę Apostolską, rzeczywistość społeczno-polityczna Polski „ludowej”, która wymuszała koncentrację władzy w Kościele w ręku jednego lidera, duży autorytet wśród biskupów, duchowieństwa, wiernych, a z czasem nawet wśród komunistów oraz silna tradycja tego urzędu, głęboko zakorzenionego w polskiej historii. Początki sprawowania funkcji prymasa Polski oraz metropolity gnieźnieńskiego i warszawskiego nie były dla abp. Wyszyńskiego łatwe. Autorytet najmłodszego wówczas – w 1948 r. – i słabo rozpoznawalnego polskiego biskupa nie mógł żadną miarą równać się z poważaniem, jakim cieszył się jego

Lider Kościoła katolickiego w PRL



FOT. NAC

poprzednik kard. Hlond. Dało się to zauważyć zwłaszcza w momencie zawierania w kwietniu 1950 r. „Porozumienia” z władzami PRL – dokumentu krytycznie ocenianego nie tylko przez Stolicę Apostolską, lecz także przez znaczną część biskupów.

Początkowy okres prymasostwa Wyszyńskiego stał pod znakiem konsultacji najważniejszych decyzji z kard. Sapiehą i można go nazwać czasem, gdy decyzje co do polityki kościelnej zapadały w dwóch ośrodkach: warszawskim i krakowskim. W moim przekonaniu był to optymalny sposób sprawowania rządów w tym okresie, gdyż młody prymas mógł korzystać z doświadczenia starszego wiekiem i sprawdzonego w niezwykle trudnych dla kraju latach kard. Sapiehy i – co ważne – akceptował tę sytuację. Choć potrafił w niektórych sprawach postąpić i wbrew jego radom (jak w przypadku zawarcia porozumienia z komunistami).

Z WIĘZIENIA WYSZEDŁ SILNIEJSZY

Pozycję prymasa Wyszyńskiego wśród polskich hierarchów ugruntowało przekonanie o jego męczeństwie, związanym z internowaniem w latach 1953–1956. Biskupom, którzy nie doświadczyli komunistycznych represji, trudno było kwestionować jego decyzje, tym bardziej że powrócił on do sprawowania funkcji na własnych warunkach, a postulaty, które przedstawił władzom PRL, zostały spełnione. Wśród nich na pierwszy plan wysuwały się: uwolnienie wszystkich aresztowanych i izolowanych duchownych, rezygnacja z dekretu o obsadzie stanowisk kościelnych z 1953 r. oraz powrót religii do szkół. Prymas wykazał się w owym czasie doskonałym zmysłem analizy rzeczywistości politycznej, wzywając do spokoju społecznego w uzasadnionej obawie przed sowiecką interwencją. Dla kard. Wyszyńskiego najważniejsze było – wobec narastających niepokojów – uniknięcie rozlewu krwi. W codziennych notatkach zapisał: „[...] gdybym wiedział, że dla ratowania Narodu należałoby pójść na kolana do KC, poszedłbym. Nie jest bowiem istotna moja osoba, a byt i przetrwanie Narodu”. Szacunek przyniosło mu także wybaczenie bp. Michałowi Klepaczowi i bp. Zyg-

muntowi Choromańskiemu ich uległości wobec władz podczas jego odosobnienia. Był to nie tylko wyraz chrześcijańskiej postawy, lecz także mądra i świadoma decyzja przełożonego, który dla dobra zarządzanej przez siebie instytucji potrafił zapomnieć o własnych krzywdach.

Na korzyść prymasa przemawiał też szeroki odzew narodu na opracowany przez niego program „Wielkiej Noweniny” i obchodów Millennium Chrztu Polski, których celem było odwołanie się do chrześcijańskich fundamentów narodu, jego moralne przebudzenie i umocnienie. Powszechnie uważano, że dzieło to przyniosło owoce w postaci pogłębienia polskiej religijności. Warto pamiętać, że hierarcha spotkał się w tym ogromnym przedsięwzięciu z oporem i ostrą krytyką części katolików „postępowych” (szczególnie ze środowiska „Znaku” i „Tygodnika Powszechnego”), którzy oczekiwali rozwoju polskiego katolicyzmu w innym kierunku – otwarcia na modernistyczne prądy i wspierania wizji Kościoła elitarnego. Konflikt ten miał daleko idące konsekwencje dla polskiego katolicyzmu, ale kolejne lata pokazały, że działania kard. Wyszyńskiego dodały Polakom siłę i pozytywnie wpłynęły na poszerzenie autonomii Kościoła. Podobnie było w przypadku wprowadzania w życie reform soborowych, które prymas implementował w polskim Kościele ostrożnie i powoli, mając świadomość, że w systemie komunistycznym panują odmienne warunki niż na Zachodzie.

Rada Główna Episkopatu Polski stała się instytucją nadrzędną nad Konferencją Plenarną

Jego wielkość ujawniała się także w momentach kolejnych poważnych kryzysów społecznych: Marca '68, Grudnia '70, Czerwca '76 i wreszcie Sierpnia '80. Kościół pod jego kierownictwem zareagował na te wydarzenia w rozsądny i umiarkowany sposób, troszcząc się przede wszystkim o los prześladowanych oraz popierając wolnościowe aspiracje narodu, nie pozwalając przy tym

wciągnąć się w rozgrywkę między różnymi odłami elit komunistycznej władzy.

JEDNOŚĆ HIERARCHII KOŚCIELNEJ

Kardynał Wyszyński przyjął scentralizowany sposób zarządzania Kościołem. Najważniejsze decyzje, szczególnie w sferze społeczno-politycznej i relacji z państwem, podejmowało kierownicze gremium Episkopatu Polski – Komisja/Rada Główna, powołana jeszcze przez kard. Hlondę w 1945 r., której prymas przewodniczył w latach 1948–1981 (z przerwą w okresie internowania). Przez cały okres PRL odgrywała ona zasadniczą rolę w wypracowywaniu stanowiska Kościoła wobec kluczowych problemów, z którymi hierarchii przyszło się mierzyć w okresie komunistycznej dyktatury. W skład tego gremium wchodzili najważniejsi polscy biskupi: część z urzędu, a część z wyboru (który wynikał z ich autorytetu).

Teoretycznie Rada Główna miała być organem pomocniczym. W praktyce stała się jednak instytucją nadrzędną wobec Konferencji Plenarnej i ustalającą linię Kościoła w najważniejszych sprawach (szczególnie z zakresu relacji państwo – Kościół). Rada podejmowała decyzje na zasadzie konsensusu w wyniku dyskusji, która miała swobodny charakter; były one następnie przekazywane do realizacji na niższych poziomach struktur kościelnych (do diecezji, a następnie parafii).

W okresie pełnienia przez kard. Wyszyńskiego funkcji przewodniczącego Konferencja Plenarna odgrywała mniejszą rolę niż można by sądzić, zważywszy na jej kompetencje. Było to szczególnie widoczne w zakresie relacji państwo – Kościół. Sfera ta pozostawała zasadniczo poza jej zainteresowaniem, choć KPE miała tu prawnie określone kompetencje. Najważniejsze decyzje podejmowała Komisja/Rada Główna, która jedynie przedstawiała sprawozdania z rozmów z rządzącymi i związaną z tym problematykę (zwykle w skrótovej formie na początku posiedzeń KPE) oraz podejmowała uchwały, inicjowane najczęściej przez prymasa w jej imieniu.

Wydaje się, że chodziło o konieczność utrzymania w tajemnicy strategii działania Kościoła wobec władz. Można wnioskować, że prymas z ostrożności zakładał, iż część hierarchów nie potrafi

dochować tajemnicy lub też utrzymuje kontakty z władzami bez wiedzy kierownictwa episkopatu. W tym miejscu należy dodać, że kard. Wyszyński dbał o to, aby kluczowe decyzje były podejmowane na forum plenarnym. Wymienić tu można następujące przykłady: zawarcie „Porozumienia” z władzami Polski „ludowej” w kwietniu 1950 r., ustalenie zasad wyjazdu polskich biskupów na Sobór Watykański II, wystanie orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich, uchwalenie statutu Episkopatu Polski. Najważniejszym powodem włączania ogółu polskich hierarchów do podejmowania strategicznych decyzji była troska prymasa, by solidarnie poczuli się oni do odpowiedzialności za całość spraw Kościoła w Polsce.

Po zwolnieniu z internowania kard. Wyszyński przyjął kilka kluczowych zasad, którymi kierował się jako przewodniczący Episkopatu Polski do końca swojej posługi: jedność, a także swoboda dyskusji; szacunek dla innych

W relacjach z duchowieństwem, mimo stawiania wysokich wymogów podwładnym i sobie samemu, prymas był wyrozumiały

biskupów i zakresu ich terytorialnej odpowiedzialności; zgodna realizacja linii Kościoła w okresie „Wielkiej Nowenny” (koncepcji duszpasterskich i wobec władz) i w czasie Soboru Watykańskiego II (występowanie jako zgodna, zjednoczona grupa); troska o brak zwiększenia wpływu władz na nominacje biskupie.

Dla prymasa zasadniczą wartością, którą należy w tym miejscu szerzej przybliżyć, była jedność w działaniu biskupów. Pod koniec 1965 r. tłumaczył swoje racje: „Powziętym większością głosów na konferencjach plenarnych uchwałą muszą podporządkować się biskupi diecezjalni, choćby na daną sprawę mieli odrębne spojrzenie. Listy pasterskie uchwalone na konferencjach plenarnych nie mogą być zmieniane przez poszczególnych biskupów diecezjalnych”. Analogiczne spojrzenie cechowało kard. Wyszyńskiego przez cały okres jego posługi.

Uważał również, że hierarchowie stanowią przykład dla całego społeczeństwa. Mówił o tym jasno w czasie obrad Episkopatu Polski z 19 listopada 1976 r.: „Biskupi są odpowiedzialni za Kościół. Ich zwarta postawa jest niezbędna. Trzeba niekiedy zrezygnować z lepszego zrozumienia sprawy – na rzecz dobrego dla zachowania jedności linii postępowania”.

WYBITNI WSPÓŁPRACOWNICY – KLUCZ DO WIELKOŚCI?

Skuteczność działań kard. Wyszyńskiego jako głowy Kościoła nie byłaby możliwa bez sprawnych, utalentowanych i zaufanych współpracowników, którymi na forum episkopatu byli: abp Antoni Baraniak, bp Zygmunt Choroński, bp Michał Klepacz, bp Bronisław Dąbrowski, kard. Bolesław Kominek, kard. Karol Wojtyła, bp Ignacy Tokarczuk, abp Jerzy Stroba i kard. Franciszek Macharski (by wymienić tylko tych najbardziej istotnych).

Każdy z nich wniósł do działalności Episkopatu Polski własne talenty i umiejętności, które kard. Wyszyński potrafił wykorzystywać dla dobra Kościoła w Polsce. Wbrew bowiem opiniom zawartym w dokumentacji SB i analizom sporej części historyków prymas dawał wielu polskim biskupom (szczególnie tym najważniejszym) autonomię w sprawach, w których się specjalizowali, oraz szanował ich jurysdykcję terytorialną.

Można tu podać przynajmniej kilka istotnych przykładów, które pozwalają zakwestionować pogląd obecny w obiegu naukowym i publicystycznym, zgodnie z którym prymas sprawował władzę w Kościele w sposób absolutny, nie pozwalając biskupom na wyrażanie odmiennego zdania. Trzeba przypomnieć, że kard. Wojtyła mógł swobodnie wdrażać nowe metody duszpasterskie wśród młodzieży oraz intensywnie pracować w Stolicy Apostolskiej podczas Soboru Watykańskiego II i w późniejszych latach; kard. Kominek miał wolną rękę we współpracy z episkopatami państw zachodnich oraz zabiegach czynionych w Watykanie o ustanowienie stałej administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich; bp Tokarczuk sam wybierał sposoby umożliwiające budowę wielu świątyń w diecezji przemyskiej oraz układanie relacji z władzami na poziomie wojewódzkim.

Sekretarze Episkopatu Polski – bp Choroński, a zwłaszcza bp Dąbrowski, jako najbliżsi, codzienni współpracownicy kard. Wyszyńskiego, szczególnie w zakresie relacji z komunistycznym państwem – cieszyli się ogromnym jego zaufaniem. Często z nimi dyskutował, a także ustalał linię działania w kontaktach z rządzącymi oraz w sprawach o charakterze społeczno-politycznym. Cenił ich wysoko za umiejętności prowadzenia rozmów z przedstawicielami władz oraz skuteczną obronę stanowiska Kościoła. Biskupa Dąbrowskiego wymieniał w 1963 r. w rozmowie z papieżem Pawłem VI jako jednego z trzech swoich potencjalnych następców w przypadku ponownego aresztowania przez komunistów lub na wypadek śmierci.

Warto dodać, że w relacjach z duchowieństwem, mimo stawiania wysokich wymogów podwładnym i sobie samemu, prymas był wyrozumiały. Sankcje stosował w ostateczności. W interesujący sposób wytłumaczył to podczas spotkania z księżmi z konwiktu Akademii Teologii Katolickiej, które odbyło się 9 stycznia 1975 r. Podkreślał wówczas: „Po dwudziestu siedmiu, ośmiu latach posługiwania się środkami perswazji czy też niekiedy przymusu w administracji kościelnej dochodzę do wniosku, że przymus jest rzadko skuteczny. Perswazja bardziej. [...] Człowiek jest wielką tajemnicą, ale gdy podwładny łże, zwierzchnik, który zna się na ludziach, zawsze wyczyta to z jego twarzy. Nie ma takiej twarzy kłamającej, która sama by się nie zdradziła. I wtedy nie ma innego sposobu po prostu, tylko zacząć – że tak powiem – z tej plenitudo legis dilecto. To nie znaczy, że prawo przegrało. Nie, ono zawsze porządkuje, na każdym poziomie wznosząc człowieka i wznosząc Rodzinę ludzką coraz wyżej, porządkuje”.

Kardynał Wyszyński zmarł 28 maja 1981 r., pozostawiając po sobie wielki dorobek intelektualny, moralny, społeczny i instytucjonalny. W momencie odejścia prymasa do domu Ojca Kościół cieszył się powszechnym autorytetem w Polsce i za granicą. Prymas pozostał polskim biskupom najważniejszą wskazówką – by kierowali się Ewangelią i elastycznie reagowali na zmieniające się okoliczności polityczne, bo tych nie można było przewidzieć.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, profesorem UKSW.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Emil Barchański

Według oficjalnych ustaleń uczeń Liceum im. M. Reja w Warszawie był najmłodszą ofiarą stanu wojennego. Został wyłowiony z Wisły 5 czerwca 1982 r. Chłopak, który cierpiał na hydrofobię i miał astmę oskrzelową, miał po prostu zatonąć...

Czym naraził się Służbie Bezpieczeństwa? To było pokolenie, które pośpiesznie dojrzewało podczas tzw. pierwszej Solidarności (1980–1981) i stanu wojennego (1981–1982). W szkole prowadził kabaret Wywrotowiec, wydawał pismo satyryczno-polityczne „Kabaret”. Brał udział w patriotycznych manifestacjach 3, 9 i 13 maja 1982 r. Nadszedł jednak czas bardziej skutecznych działań. Wraz z kolegami – Markiem Marciniakiem i Arturem Nieszczerczewiczem – postanowili przeciwstawić się czerwonemu złu bardziej zdecydowanie. Padło na „znieważenie” pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. Był to symbol sowieckiej okupacji w Warszawie. Pomnik stanął 21 lipca 1951 r. (dzień przed obchodami święta Polski Ludowej) na pl. Bankowym, którego nazwę zmieniono, stosownie do nowych okoliczności, na pl. Dzierżyńskiego.

Akcja przeciw temu posagowi (pierwotnie miał być odlany z brązu, ale ostatecznie stanęło na betonowo-gipsowej tandecie) nie była pierwsza. Wkrótce po jego odsłonięciu „nieznani sprawcy” pomalowali łapy

jednego z wodzów sowieckiej rewolucji na czerwono, co było symboliczne, bo Dzierżyński był twórcą i szefem niezwykle krwawej służby: Czeka.

10 lutego 1982 r. trzej „zamachowcy” oblali pomnik czerwoną farbą i obrzucili tzw. koktajlami Mołotowa. Barchański stał wówczas na czatach. Dla bezpieki było to szczególnie wyzwanie – oto pod nosem siedziby warszawskiej MO i SB ktoś śmiał się zamachnąć na symbol rewolucji! Już 3 marca Emil Barchański został złapany „na gorącym uczynku”, w drukarni tzw. drugiego obiegu. Bezpieka, na skutek bardzo intensywnych działań operacyjnych i siłowego wymuszania zeznań z podejrzanych, szybko ustaliła sprawców. Zemsta komunistów była okrutna.

3 czerwca Barchański miał pojechać na nadwiślańską plażę i tam „zaginął”. Dwa dni później, 5 czerwca (tuż przed 17. urodzinami), został wyłowiony z Wisły. Sprawców i dokładnych okoliczności jego śmierci nie ustalono. Śledztwa, wszczynane po 1989 r., również nic nie dały, sprawcy pozostali nieznani. Pewne ślady pozostały jednak, wystarczy ich tylko szukać. Na przykład w teczce osobowej ppor./kpt. SB Witolda Gierałta zawarty jest zapis: „Po wprowadzeniu stanu wojennego tow. W. Gierałt zostaje skierowany do grupy specjalnej pn. »Terrorysty«, gdzie zajmuje się” m.in. ustaleniem „sprawców dewastacji pomnika F. Dzierżyńskiego”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Rokosz-kokosz

Tron polski był elekcyjny już w czasach panowania Jagiellonów, choć na króla wybierano wyłącznie przedstawicieli dynastii. Królowa Bona uznała jednak, że sytuacja była zbyt niepewna oraz najważniejszą sprawą będzie zapewnienie sukcesji synowi, i postanowiła przeprowadzić wybór

na Zygmunta Starego. Król uważany był przez poddanych za dobrodusznego człowieka, który nigdy nic złego nie zrobił, a cała niechęć spływała na Bonę.

Sejm zwołany w listopadzie 1536 r. w Krakowie miał bardzo burzliwy przebieg. Ostatecznie nie zawarto żadnego porozumienia i zebrani rozjechali się bez podejmowania uchwał. Przedstawiciele szlachty nie zamierzali jednak zrezygnować i wykorzystali do tego fakt zwołania w następnym roku pospolitego ruszenia na wojnę z hospodarem mołdawskim. Zebrana w obozie pod Lwowem szlachta ogłosiła się izbą poselską sejmu, a gdy pojawił się król, wystąpiono wobec niego z postulatami z Krakowa. Następnie zawieszono oficjalny rokosz, pierwszy w epoce Jagiellonów.

Do wyprawy na Mołdawię ostatecznie nie doszło, ale nie wybuchła też wojna domowa. Całe wydarzenie nazwano wojną kokosz, gdyż jedynymi ofiarami były kury, które wygłodniali rokoszanie wyrzynali w dużej liczbie. Sprawa zakończyła się na kolejnych dwóch sejmach: w Piotrkowie i Krakowie. Zygmunt Stary zobowiązał się do przestrzegania praw królestwa i zabroniono też elekcji vivente rege, czyli wyboru władcy za życia poprzedniego króla. Elekcja miała się odbywać dopiero po jego śmierci, a uczestniczyć w tym mogła cała szlachta. Czyli ci, którym chciało się przyjechać i sejmikować... ©©

Całe wydarzenie nazwano wojną kokosz, gdyż jedynymi ofiarami były kury

Zygmunta Augusta jeszcze za życia jego ojca. Wprawdzie czegoś takiego dotąd nie praktykowano w Polsce, ale był już przypadek, gdy panowało dwóch równorzędnych władców – zarówno Jadwiga Andegaweńska, jak i Jagiełło nosili królewskie tytuły.

Zygmunt w wieku dwóch lat został uznany przez bojarów za przyszłego wielkiego księcia, a w październiku 1529 r. nawet ogłoszony w Wilnie władcą Litwy. Było to potwierdzenie prawdy, że najkrótsza droga na Wawel prowadzi przez Wilno. Faktycznie, dwa miesiące później dziesięcioletniego królewicza wybrano na króla Polski i 20 lutego 1529 r. odbyła się jego uroczysta koronacja. W kraju narastało jednak niezadowolenie z rządów królowej oskarżanej o zły wpływ



Teresa Stylińska

Trzęsienie ziemi we wschodniej Turcji nie mogło dla niego nastąpić w gorszym momencie. Gdyby nie ponad 40 tys. ofiar śmiertelnych (47 tys. wraz z ofiarami w Syrii), dziesiątki tysięcy rannych i 10 z 81 tureckich prowincji obróconych w perzynę, prezydent Recep Tayyip Erdoğan mógłby spokojnie świętować 20. rocznicę objęcia rządów. Tymczasem zamiast peanów – ze strony ministrów, współpracowników i przyjaznych mediów – są zarzuty, krytyka i niewesołe perspektywy

Obecny rok jest wyjątkowy, bo Turcy obchodzą stulecie istnienia republiki. Przypadająca 29 października rocznica jej proklamowania zawsze była dniem, w którym czczono pamięć Mustafy Kemala Atatürka – „paszy, który uratował Turcję”, jak mu w ostatniej rozmowie nakazał sułtan Mehmet VI, ostatni osmański władca. Bohaterem obchodów stulecia miał być jednak nie twórca republiki, lecz prezydent Recep Erdoğan. Pod jego rządami Turcja bardzo mocno odeszła od tego, co nazywane jest dziedzictwem Atatürka, i nikt nie wątpi, że Erdoğan bardzo pragnie fakt ten wyeksponować. I może to zrobić – pod warunkiem że po wyborach prezydenckich, które mają odbyć się w czerwcu, będzie nadal głową państwa.

To zaś z wielu powodów wcale nie jest pewne. Dotychczas nie sądzono, by mimo znacznego spadku popularności, spowodowanego inflacją na poziomie 80 proc. i ogromnym wzrostem kosztów utrzymania, Erdoğan mógł wybory przegrać. Katakлизм we wschodnich prowincjach wszystko jednak zmienił. I chociaż Erdoğan ma wyjątkową umiejętność wychodzenia obronną ręką z bardzo



trudnych sytuacji, tym razem może mu się nie udać.

PO PROSTU ZRRĄDZENIE LOSU

Tak zmasowanej i zgodnej krytyki pod adresem Recepta Erdoğan i jego rządu nie było bowiem jeszcze nigdy. Chodzi o wszystko – zarówno sprawy sprzed trzęsienia ziemi, jak i to, co działo się po nim, czyli spóźnioną, zbyt powolną akcję ratowniczą.

Przed – to okoliczności, które sprawiły, że liczba ofiar jest tak ogromna. Dlaczego tak wiele budynków, i to niestarych, runęło jak domki z kart, nie dając ludziom szansy na ratunek? Odpowiedź niedwuznacznie wskazuje na winę władz. Budynki się zawaliły, ponieważ zbudowano je źle, z pominięciem wymogów, które powinny być respektowane w rejonie

silnie sejsmicznym, a takim jest Turcja. Oszczędzano na materiałach, lekceważono normy, nie stawiano koniecznych podpór ani wzmocnień. Ta budowlana wolnoamerykanka była możliwa, ponieważ nadzór nie pilnował, by budynki wznoszono zgodnie z zasadami sztuki. Już w pierwszych dniach po trzęsieniu aresztowano kilku przedsiębiorców budowlanych; niektórych na lotnisku, gdy próbowali opuścić kraj świadomi tego, co ich czeka. Co nie zmienia faktu, że winne są także władze, które dopuściły do jaskrawych zaniedbań, zapewne nie bez korupcyjnego tła.

Prezydent Erdoğan jest też ofiarą własnych niepokromionych ambicji. Skoro przez 20 lat nieprzerwanie sprawował rządy, to nie ma poprzedników, na których mógłby zrzucić winę. A że od pięciu

Dwadzieścia lat Recepa Erdoğana

zrządzenie losu. Bezduszne uwagi nie przysporzyły mu sympatii.

MIĘDZY DWOMA TRZĘSIENIAMI

Dopiero dwa tygodnie po trzęsieniu prezydent zdał sobie sprawę, że popełnił poważne błędy. Stąd pospieszna zapowiedź, że w zniszczonych prowincjach zostanie zbudowanych 200 tys. domów. To o wiele więcej niż potrzeba, bo liczbę zawałonych budynków szacuje się na ok. 25 tys. Erdoğanowska deklaracja jest jednak raczej marchewką dla ludu niż obietnicą zasługującą na poważne traktowanie. Erdoğan, owszem, patronuje budowaniu, wtedy jednak, gdy w grę wchodzi ogromne przedsięwzięcia i budowle na miarę faraonów, a nie domy dla zwykłych ludzi.

Cofnijmy się do lata 1999 r. Silne trzęsienie ziemi nawiedza zachodnią Turcję, tereny między Izmitem i Stambułem. Ginie 17 tys. ludzi. Budynki wałają się tak jak teraz i z tych samych przyczyn: nierzetelności, złodziejstwa, korupcji. Zapada więc decyzja o stworzeniu specjalnego funduszu na dofinansowanie inwestycji budowlanych i drogowych, tak by w przyszłości budowano bezpiecznie. Przez ponad 20 lat ze specjalnych podatków, nałożonych m.in. na media i operatorów telefonii, zebrano na ten cel imponującą kwotę 4,5 mld dol. Tyle wiadomo. Nie wiadomo tylko, co się z nimi stało.

Kataklizm z 1999 r. stał się punktem zwrotnym w karierze Recepa Erdoğan. Ówczesny premier Bülent Ecevit, jeden z najbardziej liczących się tureckich polityków, szanowany także przez przeciwników, w obliczu tragedii stracił głowę. Pomoc zorganizowano źle, przychodząca wolno i zbyt późno, a na domiar złego władze traciły resztki reputacji, gdy – przerażone sytuacją – zapewniały, że wszystko jest pod kontrolą.

Gniew społeczeństwa utorował islamistom Erdoğan drogę do władzy. Trzy lata później, jesienią 2002 r., gdy w wyborach parlamentarnych żadna z głównych partii nie przekroczyła 10-procentowego progu wyborczego, gros miejsc przypadło Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), założonej przezeń zaledwie rok wcześniej. 14 marca 2003 r. Recep Tayyip Erdoğan został premierem i był to w historii republiki punkt zwrotny.

Czy historia może zatoczyć koło? Jedno trzęsienie ziemi wyniosło Erdoğan

lat rządzi niepodzielnie, tym bardziej niepodzielnie ponosi odpowiedzialność.

Można to przełożyć na konkretne zarzuty. W Turcji, jak podkreślają organizacje humanitarne, pomoc najskuteczniej zawsze niosło wojsko. Recep Erdoğan jednak radykalnie wojsko osłabił swą bezpardonową walką z wrogimi mu dowódcami. U szczytu wojny, którą im wydał jeszcze jako premier, do więzienia trafiło 10 proc. kadry dowódczej. Wielu skazano za spiskowanie przeciwko władzy, choć później, gdy zmieniły się krąg sojuszników i priorytety Erdoğan, nagle przyznano, że zarzuty sfabrykowano. W efekcie jednak armia – od czasów Atatürka strażnik zasad kemalizmu i jeden z filarów państwa – znalazła się na uboczu. Również w sytuacjach kryzysowych.

Drugi konkretny zarzut wiąże się z ogłoszoną w 2018 r. amnestią za budo-

wanie niezgodnie z przepisami. Uiszczenie grzywny zwalniało z odpowiedzialności i nic dziwnego, że przedsiębiorcy i deweloperzy masowo korzystali z tak dogodnej furtki. A że suma grzywien szła w miliardy lir, skala uchybień musiała być ogromna. Liczby mówią wszystko: w 10 wschodnich miastach, zniszczonych dziś przez trzęsienie, wpłynęło ponad 100 tys. wniosków o amnestię. Amnestia ma zatem, zdaniem specjalistów, swój udział w tragedii.

Sam Erdoğan też robi wiele, by spotęgować oburzenie. Empatia i zrozumienie nigdy nie były jego mocną stroną, teraz jednak, w obliczu tragedii, ta jego cecha zakrawa na czystą arogancję. Do sieci miało trafić nagranie, pokazujące Erdoğan, który poucza ofiarę kataklizmu, że doszło do niego z woli Boga i nic na to nie można poradzić. To po prostu fatalne

FOT. ADEM ALIN/AP/PIAST NEWS

do władzy. Drugie może przynieść jego koniec. Czy ostateczny? Dla polityka 69 lat, a tyle Erdoğan właśnie ukończył, to nie jest poważny wiek. Erdoğan jednak osiągnął wszystko, co mógł osiągnąć, poza może kuszącą rolą przywódcy świata islamu. Za to odejście z polityki mogłoby skomplikować plany, o jakich on sam z oczywistych przyczyn nigdy nie mówi: przekazania władzy jednemu z dzieci. W roli następczyni prezydent widziałby podobno swe najmłodsze dziecko, córkę Sümeyye, żonę biznesmena Selcuka Bayraktara, twórcy i producenta słynnych dronów bojowych.

ISLAMISTA W MASCE

Recep Erdoğan budzi emocje. Jedni darzą go nieledwie uwielbieniem, inni gorąco nienawidzą. Od chwili, gdy doszedł do władzy, podzielił społeczeństwo tureckie jak nikt nigdy przedtem. Nie da się jednak zaprzeczyć, że ma cechy rasowego polityka, więcej nawet – przywódcy. Umie cele formułować i je realizować, umie cierpliwie czekać na właściwy moment, potrafi też panować nad współpracownikami i skupić wokół siebie grono wiernych wyznawców. Czy jest wobec nich lojalny? Oczywiście, że nie.

Przekonali się o tym Abdullah Gül, który w 2003 r. ustąpił Erdoğanowi miejsca na czele rządu, ale gdy później myślał o drugiej kadencji prezydenckiej, został przez Erdoğana odsunięty, i Ahmet Davutoglu, błyskotliwy szef dyplomacji. Ten ostatni po zerwaniu z Erdoğanem założył Partię Przyszłości, która jest w opozycji.

Erdoğan umie też maskować swe prawdziwe cele. Przed laty zdołał przecież przekonać Europę, że AKP nie ma nic wspólnego z islamizmem. Uczynił to umiejętnie, pod dobrą przykrywką, którą było wprowadzanie w Turcji demokratycznych standardów. Europejcy pożyteczni idioci przyjęli te zapowiedzi z radością, nie dostrzegając, że wprowadzanie standardów – cywilnej kontroli nad armią, praw kobiet czy praw dla mniejszości kurdyjskiej – dziwnie łatwo się wiąże z eliminowaniem najgroźniejszych przeciwników Erdoğana, a także z poszerzaniem obecności islamu. Wielu otworzyły oczy dopiero czystki w wymiarze sprawiedliwości, szkołach czy mediach, a także rola patrona europejskich muzułmanów, w której Erdoğan chętnie występował. Nie tylko europejskich zresztą, bo w swoim czasie Erdoğan

Prawdziwym początkiem wielkiej kariery Recepta Erdoğan był 1994 r., gdy wybrano go na burmistrza Stambułu

wspierał też mocno Palestyńczyków i egipskie Bractwo Muzułmańskie.

Prawdziwym początkiem wielkiej kariery Recepta Erdoğan był rok 1994, gdy został wybrany na burmistrza Stambułu. To moment przełomowy dla niego samego i dla partii islamskiej, wówczas jeszcze działającej pod nazwą Refah, Partii Dobrobytu. Erdoğan okazał się sprawnym zarządcą ogromnej, trudnej metropolii, zyskał uznanie, doświadczenie i przepustkę do polityki krajowej. Kilkumiesięczna kara więzienia, na którą został skazany za publiczne wyrecytowanie starodawnego poematu o wymowie wojowniczo islamskiej („minarety są naszymi bagietkami...”), okazała się nieznaczącym przerywnikiem, za to przydała mu nimbu w oczach zwolenników. A także doświadczenia. Odtąd wiedział, że na islamskim polu trzeba się poruszać bardzo, bardzo ostrożnie.

Długo zaprzeczał więc podejrzeniom – a może nawet zarzutom – że AKP jest partią islamską. Jest, twierdził, konserwatywna, jak wiele innych. Były to deklaracje na użytek Europy, bo w Turcji przeciwnikom AKP trudno było zamydląć oczy. Gdy okazało się, że droga do Unii Europejskiej jest dla Turcji praktycznie, choć nie formalnie zamknięta, pojedyncze słowa ustąpiły miejsca kąśliwym uwagom o „klubie chrześcijan”.

MEGAPOMNIKI TYLKO W STAMBULE

Po blisko pół wieku obecności Recepta Erdoğan w polityce (zaczął w połowie lat 70. w młodzieżowej przybudówce islamskiej Partii Ocalenia Narodowego) dobrze wiadomo, co jest dla niego ważne.

Władza. Gdy, wobec wewnętrznych regulacji AKP, Erdoğan nie mógł być nadal premierem, postanowił zostać prezydentem. A gdy już nim został, doprowadził do poszerzenia prerogatyw głowy państwa tak mocno, że dziś ma władzę niemalże absolutną. Stało się to jednak za zgodą

narodu, wyrażoną demokratycznie, w referendum – bo Erdoğan uważa siebie za wzór demokracji.

Islam. Jak kiedyś powiedział, pragnie, by w Turcji wyrosło pokolenie ludzi pobożnych. Troszczy się więc o średnie szkoły wyznaniowe, zwane „imam hatip” (sam taką ukończył), które za jego rządów uzyskały prawa świeckich liceów, choć poziom mają niższy. Patronuje też budowie meczetów. Dwa najważniejsze powstały w Stambule. To meczet Taksim, wyzwanie rzucone kemalistom, bo zbudowano go w miejscu symbolu, na placu Taksim. I meczet Camlica, największy w Turcji, na wzgórzu w azjatyckiej części miasta. Mieści 63 tys. ludzi. Prawdziwy szok to przywrócenie funkcji meczetu bizantyjskiej świątyni Mądrości Bożej, Hagia Sophia, która od czasów Atatürka była muzeum.

Rodzina. Oczywiście żyjąca według zasad islamu. Żona Emine, dwóch synów, dwie córki. Żona i córki zawsze w chustach, zero alkoholu, do picia turecki ajran. Tak też złośliwcy nazywają prezydenta – Pan Ajran.

Blichtr. Z prezydenckiego Pałacu Cankaya Recep Erdoğan przeniósł się do Białego Pałacu, jednego z największych budynków na świecie, inspirowanego architekturą czasów sułtańskich. Zbudowany w miejscu, gdzie niegdyś w skromnym domku, ofiarowanym przez przyjaciół, mieszkał Kemal Atatürk. Jak to rozumieć? Przejaw ciągłości czy przeciwnie – pogardy dla kemalizmu? O kemalizmie Erdoğan mówił z szacunkiem do czasu, gdy zdobył pełnię władzy. Później już go tylko podważał.

Stambuł. Jego miasto. Tu się wychował, choć nie urodził, tu skończył studia i wszedł w politykę. Z miłości do miasta pozostawił Stambułowi megapomniki swych rządów. Most Selima I Groźnego, trzeci nad Bosforem. Trzecie lotnisko. Tunel pod Bosforem. Równoległy do Bosforu kanał, łączący morza Czarne i Marmara. Meczeta Camlica. Most nad cieśniną Dardanele. W Ankarze, poza Białym Pałacem, megabu-dowlu nie ma, bo Erdoğan stolicy nie lubi.

Imperium osmańskie. Kwintesencja Turcji i jej złotych czasów. Media czasem nazywają prezydenta sułtanem. Czy trafnie? Sułtanów usuwali zbuntowani janczarzy, żądni władzy bracia, a czasem okoliczności. Nigdy poddani. Ani tym bardziej wyborcy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



DMUCHANE PUŁAPKI NA ROSJAN

Czeska firma Inflatch ujawniła, że dostarcza na Ukrainę dmuchane atrapy wyrzutni rakietowych HIMARS. Mają takie same wymiary jak prawdziwy sprzęt wojskowy, dokładnie odmalowane zewnętrznie widoczne części, a nawet nagrzewają się dokładnie w tych samych punktach. Czesi uważają, że ich atrapy to doskonały wabik. Dowód? Rosjanie poinformowali ostatnio o zniszczeniu w sumie o 140 proc. HIMARS-ów więcej, niż Ukraina faktycznie posiada. Każde uderzenie w dmuchaną atrapę kosztuje agresora majątek.

FOT. CZEKA TELEWIZJE CZ/REPORTER

W GODZINĘ „NIE MA POLSKI”

Jakow Kedmi, były agent KGB i izraelski dyplomata, wystąpił w rosyjskiej telewizji, w której opowiadał m.in., jak szybko Rosja byłaby w stanie pokonać nasz kraj. „Polskę można rzucić na kolana w ciągu godziny za pomocą broni konwencjonalnej, przywracając ją do epoki kamienia łupanego” – stwierdził Kedmi. „Pięćdziesiąt-sześćdziesiąt strategicznych obiektów można zniszczyć w 20 minut i Polski nie ma” – dodawał.

NIEUDANY SZATAN

W czasie, gdy prezydent USA był z wizytą na Ukrainie, Rosjanie – ponieważ zostali uprzedzeni – mieli wykonać test swojego pocisku balistycznego Sarmat (Szatan II). Powiadomili o tym Stany Zjednoczone. Jak podała telewizja CNN, powołując się na amerykańskich urzędników, najprawdopodobniej test się nie powiódł. W innym wypadku Władimir Putin poinformowałby o tym sukcesie w swoim orędziu. Tymczasem o Szatanie nie padło ani jedno słowo.

TELEWIZJE UKARANE ZA KRYTYKĘ RZĄDU

Trzech nadawców telewizyjnych – Halk TV, Tele 1 i FOX – którzy relacjonowali sytuację po trzęsieniu ziemi w Turcji, zostało ukaranych przez tamtejszego regulatora medialnego. Stacje mają zawiesić na pięć dni jeden ze swoich codziennych programów i zapłacić 5 proc. styczniowych dochodów. Powód? Krytykowały działania rządu i sposób radzenia sobie z sytuacją po kataklizmie.

DLA STUDENTÓW TYLKO ROŚLINY

Siedemdziesiąt dwa procent przedstawicieli studentów Uniwersytetu Cambridge zagłosowało za wnioskiem inicjatywy Plant-Based Universities. Chodzi o przestawienie studenckiego menu na wyłącznie roślinne. Teraz dostawcy cateringu muszą rozpocząć negocjacje na wszystkich uczelniach w Cambridge, by te odeszły od używania mięsa w jakiegokolwiek postaci. © © **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polacy uratują Bidena?

Prezydent Joe Biden długo nie należał do najbardziej lubianych przywódców Ameryki. Przynajmniej przez samych Amerykanów. W lipcu ubiegłego roku aż 57 proc. ankietowanych w USA źle oceniało obecnego gospodarza Białego Domu, a pozytywne zdanie wyrażało o nim zaledwie 44 proc. pytanym.

Jeszcze na początku lutego o potrzebie zmiany na najwyższym stanowisku w kraju przekonani byli więc nie tylko zwolennicy Partii Republikańskiej, lecz także Partii Demokratycznej. Według sondaży

The Associated Press-NORC tylko 37 proc. zwolenników demokracji chciało, aby Joe Biden walczył o reelekcję w 2024 r. Respondenci zwracali uwagę m.in. na zaawansowany wiek prezydenta (ma 80 lat) i jego liczne gąfy.

Po mocnym Orędziu o stanie państwa (State of the Union) Amerykanie nagle uwierzyli, że być może Biden mimo swego wieku potrafi jeszcze być silnym przywódcą. Według najnowszego sondażu opublikowanego przez Marist Institute for Public Opinion zmiana nastawienia do prezydenta jest bardzo widoczna: 50 proc.

sympatyków Partii Demokratycznej oznajmiło, że to właśnie Biden powinien walczyć o Białą Dom w 2024 r. Tylko 45 proc. pytanym stwierdziło zaś, że większe szanse miałyby kto inny.

To dobra wiadomość dla Bidena, zwłaszcza że sondaż przeprowadzony był przed trzydniową wizytą prezydenta USA w Kijowie i w Warszawie. Obrazki przywódcy Ameryki w ostrzeliwanej stolicy czy jego mocne przemówienie w Warszawie, oklaskiwane przez tłumy polskich sojuszników, mogą pomóc Bidenowi w walce o utrzymanie Białego Domu. © ©

Ameryka napina łuk



Piotr Włoczyk

Waszyngton zanotował właśnie duży sukces w rywalizacji z Chinami. Filipiny pozwoliły Amerykanom na otwarcie na swoim terytorium baz, co umożliwi USA dokończenie „łuku” instalacji militarnych krępujących ruchy chińskiej marynarki wojennej

Okinawę od Tajwanu dzieli 700 km. Z bazy marynarki wojennej w Busan w Korei Południowej dystans ten jest ponad dwa razy większy.

Tymczasem z Itbayat, najbardziej na północ wysuniętej zamieszkałej wyspy Filipin do Tajwanu, jest zaledwie 150 km. Dla marynarki wojennej oraz lotnictwa USA jest to decydująca różnica. Przypięcie tej umowy musiało sprawić, że w Pentagonie strzelił niejeden korek od szampana.

Na początku lutego okazało się, że Amerykanie na dobre wracają na Filipiny ponad 30 lat po tym, gdy wynieśli się stamtąd, zwracając Filipińczykom swoją największą bazę wojskową, którą

posiadali poza terytorium USA (U.S. Naval Base Subic Bay na głównej wyspie Luzon była zbliżona powierzchniowo do Singapuru).

Rząd w Manili zgodził się bowiem, by Amerykanie otworzyli na terenie archipelagu cztery bazy wojskowe. Nie wymieniono ich lokalizacji, ale dziennikarze „The New York Times” ustalili w źródłach rządowych, że trzy z nich będą zbudowane na kierunku tajwańskim, a jedna będzie umiejscowiona w punkcie, który pozwoli kontrolować centralną część Morza Południowochińskiego. Wszystko wskazuje więc na to, że US Navy wróci w jakiejś formie do Subic Bay. Zatoka ta ma tę ogromną zaletę, że

jest bardzo głęboka (niemal 50 metrów), co oznacza, iż mogą tam manewrować wszystkie typy okrętów wojennych.

Umowa z Filipińczykami pozwoli więc Amerykanom domknąć „łuk” baz morskich uniemożliwiających chińskiej marynarce wojennej kontrolowanie zachodniego Pacyfiku.

Chińczycy nie ukrywają swojej złości z tego powodu. „Stany Zjednoczone, powodowane swoimi egoistycznymi interesami i mentalnością na poziomie gry o sumie zerowej, kontynuują wzmacnianie swoich sił zbrojnych w tym rejonie – powiedziała Mao Ning, rzeczniczka chińskiego ministerstwa spraw zagranicznych. – Inne państwa w regionie powinny mieć się na baczności i unikać bycia zastraszanym i wykorzystywanym przez Stany Zjednoczone”. Z kolei gazeta „Global Times”, będąca tubą chińskiej propagandy, nazwała umowę w sprawie baz na Filipinach „pułapką”, w którą USA mają wciągać Filipiny.

WIELKI POWRÓT

Jeszcze do niedawna Filipińczycy nie palili się do tak bliskiej współpracy militarnej z USA, próbując budować

poprawne relacje z Chinami (Państwo Środka jest największym partnerem gospodarczym Filipin). Poprzedni prezydent Rodrigo Duterte prowadził politykę stopniowego zbliżania swojego państwa do Pekinu. Działo się tak, mimo że tylko w ciągu ostatniej dekady Chińczycy usypali 10 sztucznych wysp w Wyłącznej Strefie Ekonomicznej Filipin.

Jednak kolejne incydenty na morzu, gdy chińskie okręty przepędzały filipińskie kutry rybackie, a także zajmowanie coraz to nowych wysepek czy wręcz skał ledwo wystających z wody i zamienianie ich w bazy wojskowe, sprawiły, że Filipińczycy postanowili skorzystać z amerykańskiego „parasola”. Pod sam koniec swojej sześciolletniej kadencji zrozumiał to nawet Duterte, który zaczął prowadzić z Amerykanami rozmowy na temat pogłębienia współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa (oba państwa są od 1951 r. w sojuszu wojskowym). Obecnie już ponad 80 proc. Filipińczyków uważa, że to USA powinny być głównym partnerem Filipin w kwestii bezpieczeństwa.

„Chińczycy militaryzują wysepki, co sprawia, że zagrożona jest coraz większa część naszego terytorium. Jedynie Stany Zjednoczone mają wystarczająco dużo siły, by ich zatrzymać. Filipiny same nie są do tego zdolne – powiedział w rozmowie z „BBC” Jose Cuisia Jr., były filipiński ambasador w Waszyngtonie. – Sami mamy zbyt mały potencjał, jeżeli chodzi o przeciwdziałanie groźbom ze strony Chin”.

Przykładem takiego chińskiego projektu infrastrukturalno-wojskowego jest zagarnięcie rafy Mischief, leżącej wewnątrz filipińskiej Wyłącznej Strefy Ekonomicznej. Chińczycy od początku XXI w. sukcesywnie rozbudowują ten skrawek lądu, który jeszcze do niedawna ledwo wystawał z wody. Dziś dysponują tam lotniskiem z pasem startowym o długości 2,7 km, bronionym przez zestawy przeciwlotnicze.

Jesienią ubiegłego roku Filipińczycy wydali Amerykanom zgodę na współkorzystanie z pięciu istniejących baz filipińskich sił zbrojnych, ale decyzja o budowie przez Amerykanów czterech nowych instalacji, które byłyby wykorzystywane tylko przez nich, oznacza prawdziwy powrót US Navy i US Air Force na Filipiny po 30 latach przerwy.

Po upadku dyktatury Ferdinanda Marcosa (w 1986 r.) nowe władze, czując poparcie ludności, postanowiły wyprosić ze swojego terytorium amerykańskich żołnierzy, by symbolicznie odciąć się od przeszłości, gdy Waszyngton rządził archipelagiem (Filipiny zyskały niepodległość dopiero w 1946 r., po niemal półwieczu bezpośrednich amerykańskich rządów).

Władzom w Manili mogło się wydawać, że amerykański parasol nie jest im potrzebny i sami Filipińczycy będą w stanie zadbać o swoje bezpieczeństwo. Jednak po względnie spokojnych latach 90. i pierwszej dekadzie XXI w. okazało się, że chiński kolos tak urósł w siłę, że tylko bezpośrednia obecność Amerykanów jest w stanie skutecznie odstraszać go przed przejmowaniem kolejnych raf, budowaniem na nich instalacji wojskowych i stopniowym przybliżaniem się do archipelagu. Ponieważ jednak filipińska konstytucja zabrania budowania na terytorium tego państwa stałych baz przez obce siły zbrojne, umowa przewiduje obecność Amerykanów na zasadzie rotacyjnej, co jednak może być podobnym rozwiązaniem jak „stała rotacyjna” obecność US Army w Polsce.

TAJWAN NA HORYZONCIE

Z perspektywy Amerykanów największym plusem umowy z Filipińczykami będzie łatwiejszy dostęp do Tajwanu w wypadku spodziewanej agresji Chin, o którym mówi się coraz głośniej. Wygląda na to, że sami Filipińczycy zdają sobie sprawę z ryzyka, jakie chińskie plany imperialne stwarzają dla ich własnego bezpieczeństwa.

„Ciężko wyobrazić sobie scenariusz, w którym Filipiny nie będą w jakimś stopniu w to zaangażowane” – powiedział niedawno prezydent Filipin Ferdinand Marcos Jr. w kontekście ewentualnej chińskiej agresji wobec Tajwanu (jedyne dziecko zmarłego w 1989 r. dyktatora sprawuje ten urząd od czerwca zeszłego roku). Filipiny zacieśniają też współpracę wojskową z Japonią, która z kolei od północy jest w stanie szachować ruchy chińskiej marynarki wojennej, osłaniając tym samym „zbuntowaną” wyspę, na której tak zależy Pekinowi.

„Chiny zawsze były imperialne i Tajwan niestety jest dziś uważany za klejnot ko-

ronny. Pekin uważa, że nie będzie prawdziwym imperium bez podbicia Tajwanu – powiedział w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Si-Fu Ou, tajwański ekspert ds. bezpieczeństwa z Institute for National Defense Security Research w Tajpej. – Pod względem strategicznym mój kraj znajduje się w absolutnie kluczowym miejscu na mapie: jesteśmy częścią tzw. pierwszego łańcucha wysp. Dla Ameryki to bardzo ważna linia, dzięki której powstrzymuje ona ekspansję chińskiej floty. Krótko mówiąc, Tajwan blokuje Chinom swobodne wyjście na Pacyfik. Jeżeli Pekin podbije pierwszy łańcuch wysp, to cały ocean stanie otworem przed Chinami. Jeżeli więc to tak ważne dla USA, to nietrudno wyobrazić sobie, jak ważne musi to być dla Chin...”

Niejako w odpowiedzi na ogłoszenie filipińsko-amerykańskiej umowy w sprawie baz chiński okręt oślepił potężnym laserem filipińską jednostkę. Ferdinand Marcos Jr. wezwał w związku z tym ambasadora Chin i zażądał od niego zaprzestania podobnych prowokacji.

Czy jednak posiadająca tak potężną flotę Ameryka rzeczywiście potrzebuje kolejnych baz w pobliżu Tajwanu? Jeżeli na poważnie brać słowa sekretarza Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, to sytuacja robi się coraz mniej ciekawa z punktu widzenia USA. Carlos Del Toro przyznał ostatnio, że Chińczycy nie tylko mają większą flotę, lecz także ich zdolności rozbudowy sił morskich są większe od amerykańskich.

„Chiny mają większą marynarkę wojenną, więc teraz rozmieszczają swoją flotę w sposób globalny. Musimy rozbudować US Navy, musimy mieć w przyszłości więcej nowoczesnych okrętów, szczególnie takich, które mogą stawić czoła temu zagrożeniu” – powiedział w zeszłym tygodniu Del Toro.

Chińska flota liczy obecnie ok. 340 jednostek w porównaniu z niecałymi trzystoma, którymi dysponuje US Navy. Amerykanie mają wprawdzie więcej dużych, kluczowych okrętów, takich jak lotniskowce czy okręty podwodne, ale Chińczycy mocno inwestują w te kategorie jednostek i w ciągu kilku lat zamierzają przebić poziom 400 okrętów. Dlatego tak ważne jest dla Amerykanów posiadanie jak największej liczby „niezatapialnych lotniskowców” w okolicach Tajwanu.



Chris O'Neill

„Kariera Nikodema Dyzmy” autorstwa Tadeusza Dołęgi-Mostowicza jest Amerykanom praktycznie nieznana. Za to przypomina ją bardzo prawdziwa historia George’a Santosa – człowieka znikąd, który wskoczył na wysokie stanowisko w amerykańskiej polityce

Kiedy w listopadzie w 2022 r. George Santos, syn brazylijskich imigrantów, został wybrany w Nowym Jorku, z ramienia republikanów, do Izby Reprezentantów, widziano w tym oznaki tzw. czerwonej fali, która miała odsunąć demokratów od władzy w Kongresie USA. Ale nie wszyscy konserwatyści cieszyli się z wygranej Santosa.

Konserwatywna gazeta „North Shore Leader” jeszcze przed wyborami wielokrotnie ostrzegała, że Santos to oszust. Sympatyzowała z jego demokratycznym przeciwnikiem, co było niezwykle posunięciem dla pisma, które zazwyczaj popiera republikanów. Nad wątpliwościami „North Shore Leader” nie pochyliło się jednak żadne z głównych amerykańskich mediów. Giganci tacy jak „New York Times”, „The Washington Post” czy CNN zaczęli badać przeszłość Santosa dopiero po jego elekcji. I okazało się, że prawie wszystko, co Santos mówił na swój temat, było błagą.

„UPIĘKSZANIE” ŻYCIORYSU

Po wyborach Santos przyznał się, że „upiększył” swój życiorys. Jak wyglądało to „upiększanie”? Twierdził, że ukończył prestiżową nowojorską uczelnię Baruch College, tymczasem nigdy nie był jej studentem. Ogłosił, że pracował dla finansowego giganta Goldman Sachs. Ta firma go nie zna. Chwalił się, że jest multimilionerem, który sam się dorobił – okazuje się, że ma na koncie eksmisję z wynajmowanego mieszkania w piwnicy w Queens za niepłacenie czynszu. Opowiadał, że jego matka była dyrektorem w Citibanku i była



George Santos, kongresmen USA

FOT. FRANCIS CHUNG/POLITICO/AP/EAST NEWS

Dyzma po amerykańsku

w World Trade Center podczas zamachów z 11 września 2001 r. (a pył po wybuchach miał przyczynić się do zachorowania na raka, na którego zmarła). W rzeczywistości pracowała jako pomoc domowa i podczas ataku na WTC nie była nawet w Stanach Zjednoczonych. Opowiadał, że posiadał liczne rezydencje – w Oyster Bay, w Hamptons i penthouse w Rio de Janeiro. Według ustaleń prasy nie posiada jakiegokolwiek nieruchomości.

Otrzymywał fundusze od osoby spokrewnionej z objętym sankcjami rosyjskim oligarchą, i ukraiński rząd nazywał „faszystowskim i totalitarnym reżimem”.

Gdy zrozumiał, że takie wypowiedzi mu nie służą, stwierdził, że jest ukraińskim Żydem. Rozповідаł w synagogach, że jego rodzina „uciekła przed Holokaustem” i że jego oryginalne nazwisko rodzinne to Zabrovsky. Tymczasem pochodzi od portugalskich katolików, którzy osiedlili się w Brazylii w XIX w.

JAK TO SIĘ STAŁO?

Dlaczego nikt oprócz „North Shore Leader” nie sprawdził Santosa? Grant Lally, wydawca pisma, wskazuje na dramatyczny ubytek niezależnych, lokalnych mediów w USA. Szacuje, że w ciągu ostat-

nich 25 lat ubyto ich 80 proc. Lokalne gazety są wykupywane przez medialne korporacje. Z kolei media społecznościowe powielają niesprawdzone informacje. Wszystko to odciąga uwagę od rzetelnego lokalnego dziennikarstwa.

„Lokalni reporterzy odchodzą na emeryturę i nie są zastępowani. Bez dobrego dziennikarstwa na poziomie lokalnym, które wytropi i opiszę ważne historie, nie będziemy mieli działającej demokracji. Gdyby krajowe media podchwyciły historię Santosa wcześniej, moglibyśmy uniknąć tego socjopaty w Kongresie” – wskazuje Grant Lally.

Santos zaistniał także dzięki zmianie granic jego okręgu wyborczego. To był jego drugi start do Kongresu. Dostał nominację Partii Republikańskiej, bo nikt nie spodziewał się jego wygranej. Prowadzenie kampanii jest emocjonalnie i finansowo wyczerpujące. Trzeci okręg wyborczy w Nowym Jorku był uważany za bezpieczny dla demokratów – od 2014 r. konsekwentnie tam zwyciężają. W 2020 r. Biden uzyskał tam 55,7 proc. głosów.

Demokraci, którzy kontrolują legislaturę stanu Nowy Jork, zmienili granice okręgu w 2022 r., aby uczynić go jeszcze bardziej dla siebie politycznie bezpiecznym. Rażąco stronnictwo charakter tego politycznego aktu spowodował, że wymiar sprawiedliwości Nowego Jorku mianował fachowca do wytyczenia nowych granic. W rezultacie zmieniono demografię okręgu, wyrównując szanse i niewątpliwie przyczyniając się do zwycięstwa Santosa.

KŁAMANIE PRAWA?

Santos nie tylko zmyślał w CV. Ciekawa jest też sprawa jego zarobków. Do 2020 r. miał skromne dochody i prawie żadnego majątku. Po przystąpieniu do firmy inwestycyjnej Harbor City Capital z Florydy odnotował 750 tys. dol. pensji i majątek wart wiele milionów dolarów. Wpłacił też 800 tys. dol. na swoją kampanię.

W maju 2021 r. Securities and Exchange Commission, czyli organ federalny nadzorujący sektor finansowy, zamknął Harbor City Capital za to, że działała jako piramida finansowa. Nikt, w tym Santos, nie został oskarżony. Ubiegając się o elekcję, Santos nie ujawnił dochodów z tego źródła.

Matka Santosa (zmarła w 2016 r.) po rozwodzie z mężem zabrała George'a i jego siostrę do Brazylii. W Rio de Janeiro Santos ukradł książeczki czekowe od starszego człowieka, którym opiekowała się jego matka, i je sfalszował. Przyznał się do winy, unikając procesu, i zaofiarował zapłatę odszkodowania. Zamiast jednak czekać na decyzję sądu, uciekł do USA. W Brazylii ciąży na nim zarzut popełnienia oszustwa wobec osób starszych i fałszowania czeków.

Przejęcie przez Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych wszystkich dochodzeń dotyczących Santosa, a w szczególności to, że Santowski nie postawiono zarzutów w związku z nieprawidłowościami w Harbor City, musi zastanawiać. Departament Sprawiedliwości i FBI często przeprowadzają kontrowersyjne operacje typu „Sting”. Zdarza się, że zamiast aresztować skompromitowaną osobę, FBI często wykorzystuje ją w kolejnych tego typu operacjach.

Czy Santos jest agentem FBI? Być może takim, którego FBI dziś nie chciało być mieć i ma z tym poważny problem.

WYDALENIE Z KONGRESU?

W Nowym Jorku Partia Republikańska oficjalnie wezwała Santosa do rezygnacji z zasiadania w Kongresie. Ostatni sondaż w trzecim okręgu w Nowym Jorku wykazał, że 78 proc. wyborców, w tym 71 proc. republikanów, też chce, by odszedł z Kongresu. On sam wielokrotnie powtarzał, że nie poda się do dymisji.

Konstytucja USA przewiduje, że Izba może wyrzucić członka większością dwóch trzecich głosów. W historii USA zdarzyło się to tylko 20 razy, ostatni raz w 2002 r. Wtedy James Traficant, demokrat z Ohio, został wyrzucony po tym, jak został skazany za 10 przestępstw – m.in. łapówkarstwo, oszustwo czy unikanie podatków.

Wydalenie członka Kongresu jest problematyczne, bo może stać się narzędziem walki politycznej. Demokraci nie wykazali żadnego przywiązania do zasad w swoich agresywnych atakach na przeciwników politycznych. Można zatem wyobrazić sobie dalsze ograniczanie demokracji poprzez rozpoczęcie usuwania niewygodnych przedstawicieli, należycie wybranych przez obywateli swoich okręgów.

Były już próby zakazania kandydatom republikańskim związanym z Trumpem startu w wyborach w kilku południowych stanach. Republikanie mają niewielką przewagę w Kongresie. Wydalenie Santosa oznaczałoby dodatkowe wybory w Nowym Jorku. Niewykluczone, że w wyniku negatywnego rozgłosu wyborcy mogliby wybrać na jego miejsce demokratę.

Kevin McCarthy, republikański spiker Izby Reprezentantów, powiedział, że śledztwa dotyczące Santosa wymagają czasu. Przydzielił Santosowi stanowiska w dwóch stosunkowo mało ważnych komisjach. Jednak 31 stycznia Santos tymczasowo wycofał się z obu komisji, „...aż nie zostanie oczyszczony z zarzutów”, jak podaje jego rzecznik.

CO DALEJ?

1 lutego One America News, telewizja kojarzona ze zwolennikami Trumpa, wyemitowała wywiad z Santosem. Była to dla niego szansa, by odpowiedział na wszystkie zarzuty. Prowadząca wywiad, Caitlin Sinclair, przeprowadziła go w powściągliwy sposób, unikając zadawania ostrych pytań. Co myślał, gdy kłamał o studiach na Baruch College? Czy ma wyrzuty sumienia? Czy czuje gniew?

Santos nie zdał tego egzaminu. Był nieugięty, nawet lekko butny. Twierdził, że media postanowiły nękać jego oraz jego rodzinę „wraz z pięcioletnią autystyczną siostrzenicą”.

Polityk stara się teraz stworzyć dla siebie polityczną niszę w Kongresie jako republikanin związany z ruchem Trumpa. Ostatnio, wraz z kilkoma innymi republikanami, nosił przypinkę z karabinem półautomatycznym jako wyraz poparcia dla prawa do noszenia broni. Sprowokowało to demokratów, co radośnie relacjonowała prawicowa prasa.

Brazylijczycy uwielbiają swoje telenowele, nic więc dziwnego, że historia Santosa jest tam również głośna. W końcu jest on pierwszym Brazylijczykiem w historii wybranym do Kongresu. Gdyby wyborcy USA zwracali większą uwagę na lokalną prasę, być może akurat pierwszym Brazylijczykiem w Kongresie nie był ktoś pokroju Dyzmy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest byłym działaczem opozycji antykomunistycznej, tłumaczem, reporterem „North Shore Leader”.

Wielki Reset po warszawsku



Jakub Wozinski

Program realizowany przez grupę C40 Cities to w istocie wielka biznesowa strategia mająca zapewnić największym metropoliom krociowe zyski w nadchodzącym okresie gwałtownej depopulacji



Wylącznie zbliżającej się wielkimi krokami kampanii wyborczej zawdzięczamy to, że radykalne postulaty grupy C40 wywołały tak wielkie medialne poruszenie. Pretekstu do wywołania ożywionej publicznej debaty dostarczyła wprawdzie niedawna publikacja w „Dzienniku Gazecie Prawnej”, lecz informacje o planach stołecznego ratusza napływały już od co najmniej kilku lat.

Warszawa przystąpiła do grupy C40 Cities w 2020 r. i już wtedy dobrze znane były najbardziej kontrowersyjne pomysły wiążące się z przynależnością do niej, a mimo to nie przyciągnęły uwagi mainstreamowych mediów. Dopiero wyborcza gorączka i związana z nią chęć spolaryzowania wyborców sprawiła, że o radykalnym programie największych metropolii świata mogli usłyszeć niemal wszyscy bez wyjątku.

DZIESIEĆ LAT WCZEŚNIEJ NIŻ INNI

Początki grupy, do której zapisał Warszawę Rafał Trzaskowski, sięgają 2005 r. Gdy w Polsce zrównoważony rozwój był jeszcze pieśnią odległej przyszłości, wódtarze 18 wielkich miast z całego świata spotkali się w Londynie, aby zawiązać współpracę na rzecz ochrony klimatu. Zaledwie rok później grupa nosząca

nazwę C20 w porozumieniu z Inicjatywą Klimatyczną Clintonów podjęła decyzję o zwiększeniu liczby członków do 40. I choć w kolejnych latach do grupy dołączały wciąż kolejne miasta, to oficjalną nazwą pozostało wciąż C40, gdyż zgodnie z intencjami jej liderów największe miasta obrały sobie za cel osiągnięcie zeroemisyjnego raju na ziemi o całą dekadę wcześniej niż cała reszta świata.

Obecnie do sieci miast należy już 96 aglomeracji, z których część zdążyła już nawet zadeklarować, że osiągnie neutralność klimatyczną w 2040 r. (m.in. Sztokholm). Od zorganizowanego w 2019 r. szczytu w Kopenhadze miasta członkowskie realizują przyjęty na nim tzw. Globalny Nowy Zielony Ład. Jest to program w znacznej mierze pokrywający się z podobnymi inicjatywami podejmowanymi przez Organizację Narodów Zjednoczonych czy też Unię Europejską, lecz posiada pewne cechy wyróżniające go spośród innych. W przeciwieństwie bowiem do klasycznego zestawu 17 celów zrównoważonego rozwoju oficjalnie wdrażanych przez rząd Zjednoczonej Prawicy w repertuarze „Globalnego Nowego Zielonego Ładu” znaleźć można dużo bardziej progresywistyczne elementy.

Wypracowany przed czterema laty w Kopenhadze plan zyskał szczególny

poklask światowej lewicy, gdyż zdaniem jej przedstawicieli nie ma tak bardzo biznesowego charakteru jak większość innych przedsięwzięć tego typu. Stawiając silnie na współpracę z młodymi aktywistami klimatycznymi, prezydenci wielkich miast chcą kontrolować życie mieszkańców w większym zakresie niż władze centralne. W tym celu już od kilku lat forsują rozwiązania mające m.in. zmusić obywateli do ograniczenia kupowania nowych ubrań, posiadania prywatnych aut czy też poruszania się głównie w obrębie jednej dzielnicy. Przygotowywane przez grupę C40 Cities raporty mówią wprost, że środkiem do osiągnięcia klimatycznych celów powinno być wprowadzenie m.in. bezmieśnych poniedziałków, „bibliotek narzędzi” czy też wdrożenie mechanizmów zmuszających do pełnego wykorzystania istniejących budynków (w celu ograniczenia nowego budownictwa).

ZIELONE CENTRALNE PLANOWANIE

Nawet pobieżne zapoznanie się z ideami wyrażonymi w Globalnym Nowym Zielonym Ładzie nie pozostawia złudzeń, że ich wdrożenie będzie się musiało wiązać z nowym rodzajem komunistycznego centralnego planowania. Specjaliści



Rafał Trzaskowski na szczycie grupy C40 Cities w Kopenhadze w 2019 r. FOT. URZĄD MIASTA WARSZAWA

od uszczęśliwiania ludzkości na zeroemisyjną modłę już dawno temu rozpisali dla największych miast drobiazgowy harmonogram stopniowego roztawiania się z własnością prywatną oraz redukcji konsumpcji w poszczególnych obszarach. Bujny rozwój tzw. ruchów miejskich w ostatnich latach należy w tym świetle interpretować jako jeden z elementów przygotowujących opinię publiczną do wprowadzenia wielkich zmian. Aktywiści miejscy mieli za zadanie stworzyć wrażenie, że ich dążenia są oddolne i stanowią wyraz autentycznych potrzeb społeczeństwa, lecz dziś ich program staje się oficjalnym przedmiotem dążeń władz wielkich miast i wielkiego biznesu.

Wdrażanie radykalnego i uderzającego w podstawowe swobody obywatelskie programu na terenie miast spotka się zapewne ze sporym oporem społecznym. Liderzy grupy C40 są jednak przygotowani także na ten scenariusz. Zgodnie z prognozami w obszarach miejskich ma do 2050 r. mieszkać aż 80 proc. ludzkości. Nie będzie to oczywiście efekt wyłącznie spontanicznych migracji, lecz pochodna świadomej polityki twórców wszelkiego rodzaju zielonych ładów. Jak słusznie zwrócił uwagę Joel Kotkin w głośnej książce pt. „The Coming of Neo-Feudalism”, współczesna finansowa

arystokracja od lat poprzez odpowiednią politykę przestrzenną ogranicza klasie średniej dostęp do podmiejskiej zabudowy jednorodzinnej. Nie jest również tajemnicą, że polityka klimatyczna (czego dobitnym przykładem jest choćby unijny Zielony Ład dla rolnictwa) ma za zadanie wyparcie możliwie jak największej liczby ludzi z terenów wiejskich, m.in. poprzez powierzenie produkcji rolnej wyspecjalizowanym podmiotom wykorzystującym nowoczesne technologie. W wielu krajach zachodnich w imię polityki klimatycznej nakłada się również tak wyśrubowane normy środowiskowe, że wybudowanie domu na własnej działce staje się wydatkiem przekraczającym zdolności finansowe przeciętnego obywatela.

Wpisany w politykę klimatyczną projekt zagonienia możliwie jak największej liczby osób do dużych miast skłania tym samym ich lewicowych zarządców do radykalizacji ogłaszanych postulatów. Im bardziej zaś radykalne metody walki o zeroemisyjną przyszłość, tym większe szanse na przyciągnięcie wielkiego kapitału oraz pozyskanie środków z publicznych funduszy. Prześcigające się w zeroemisyjnym pędzie miasta mogą m.in. zadłużać się dzięki wspieraniu przez międzynarodowe instytucje i rządy specjalnym obligacjom GSS (Green Social & Sustainability) oraz wielu innym zielonym i zrównoważonym instrumentom finansowym. Dla Warszawy, która w wyniku Polskiego Ładu straciła ponad 1,7 mld zł z rocznego budżetu, tego rodzaju mechanizmy zyskują szczególne znaczenie.

Propagowany przez grupę C40 zwrot ku komunizmowi ma więc bardzo biznesowy charakter, co nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę to, kto od samego początku był zaangażowany w kształtowanie jej programu. Wystarczy wspomnieć m.in. o magnacie medialnym Michaelu Bloombergu, George'u Sorosie i jego Fundacji Społeczeństwo Otwarte czy też Fundacji Braci Rockefeller. Wśród partnerów grupy znaleźć można także wiele międzynarodowych korporacji, a także rządy Niemiec, Wielkiej Brytanii czy Danii.

Dla Rafała Trzaskowskiego i włodarzy innych miast przystąpienie do grupy C40 niesie ze sobą również obietnicę uzyskania jeszcze większego wpływu na politykę niż obecnie. Zgodnie z założenia-

mi zrównoważonego rozwoju to właśnie miasta mają decydować o poziomie konsumpcji, diecie czy też transporcie. Walka o rzekome uratowanie planety będzie przecież uzasadniała podejmowanie nawet najbardziej radykalnych kroków.

HIPOKRYZJA OBOZU WŁADZY

W 2020 r. Warszawa przystąpiła do programu Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju o nazwie „Zielone Miasta” (GCAP), a w projekcie tym pomaga jej brytyjska firma konsultingowo-projektowa Arup szczycąc się tym, że jako organizacja osiągnie zeroemisyjność już w 2030 r. Mało kto jednak ma świadomość tego, że pieniądze na wdrożenie zasad opracowanych przez grupę C40 warszawski ratusz pozyskał m.in. z Ministerstwa Finansów. Radykalne postulaty, które przedarły się w ostatnich dniach do mediów głównego nurtu, były więc dobrze znane rządowi od bardzo dawna i najwyraźniej nie wzbudzały przez wiele miesięcy żadnych kontrowersji.

Święte oburzenie polityków Zjednoczonej Prawicy na Rafała Trzaskowskiego i jego zapowiedzi należy niestety uznać za wyraz skrajnej hipokryzji. Polityka rządu już od dawna oparta jest na całkowitej kapitulacji wobec agendy zrównoważonego rozwoju, która – co nie jest dla nikogo żadną tajemnicą – zakłada sięganie po bardzo radykalne rozwiązania. W pewnym sensie prezydent Warszawy postąpił nawet uczciwie, gdyż przekazał mieszkańcom wprost, z czym będzie się wiązało podążanie tą właśnie ścieżką.

W przeciwieństwie do niego obóz Zjednoczonej Prawicy wciąż za wszelką cenę stara się kamuflować przed wyborcami najbardziej radykalne konsekwencje ekologicznej polityki, ubierając je w slogany „narodowych celów” lub ukazując siebie jako rzekomą ofiarę polityki Brukseli. Na poziomie ustawodawstwa, mechanizmów finansowych oraz prawnych rząd kompleksowo wspiera jednak wszystkie dążenia spod znaku zrównoważonego biznesu. Samorządy największych polskich miast, w tym przede wszystkim Warszawy, starają się być prymusami zrównoważonego rozwoju, ale ich wysiłki nie byłyby nigdy tak skuteczne, gdyby nie wsparcie ze strony rządu.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kiedy „koniec Polski”?

Pamiętają państwo zapewnienia rządzących polityków, jak to program „500+” pozwoli odbudować dzieciństwo Polek? Jak sprawi, że z każdym rokiem Polaków będzie się rodzić więcej i więcej?

Na pierwszą fazę „500+” wydawaliśmy co roku z pieniędzy podatników ponad 20 mld zł, na obecną, drugą – odkład rodzice dostają 500 zł na każde dziecko bez kryterium dochodowego – już ponad 40 mld zł. A do tego kolejne miliardy złotych wsparcia trafiają do rodzin za pośrednictwem takich programów, jak Kapitał Rodzinny Opiekuńczy, „Wyprawka+”, „Wakacje+”, „Mama4+” itd.

No i jaki jest efekt wydawania tych dziesiątków miliardów złotych każdego roku? Gorzej niż marny. Dane GUS są dla twórców tego programu miazdzące – w 2022 r. po raz pierwszy od zakończenia drugiej wojny światowej urodziło się w Polsce mniej niż 300 tys. polskich dzieci (wszystkich urodziło się 305 tys., lecz 15 tys. z nich nie jest narodowości polskiej). To niemal 25 tys. dzieci mniej, niż rząd PiS zakładał na 2022 r., gdy u progu swych rządów przekonywał podatników o skuteczności programu „500+”.

Czy więc teraz, gdy czarno na białym widać, że program ten – mimo wydawania co roku gór pieniędzy – zakończył się fiaskiem, znajdzie się ktoś, kto zastanowi się nad sensownością jego kontynuowania? Czy znajdzie się

ktos, kto zacznie dochodzić, że może jednak nie warto dłużej ponosić tych nieprzynoszających spodziewanych efektów wydatków, lecz te same pieniądze wydawać w inny sposób? W taki, który zamierzony cel, którym jest uniknięcie katastrofy demograficznej, pozwoli osiągnąć? Na przykład w taki jak Czechy, które wydając na politykę rodzinną 2 proc. PKB wobec 3,5 proc., które my wydajemy, sprawiły, że dzieciństwo Czeszek między 2010 r. a 2020 r. wzrosło z 1,51 do 1,71, podczas gdy dzieciństwo Polek spadła w tym czasie z 1,41 do 1,39?

Czy zatem polskie elity, które nie są w stanie – zamiast uciekać się wyłącznie do naszego zwyczajowego, rytualnego obrzucania się inwektywami – podjąć merytorycznej, dojrzałej debaty publicznej w zasadzie w żadnej ważnej sprawie (sposób walki z COVID-19, sposób reakcji na wojnę na Ukrainie itd.) – będą w stanie podjąć ją choć w tej jednej? W sprawie sposobu zaradzenia katastrofie demograficznej? I jeśli podczas takiej debaty udałoby się znaleźć rozwiązanie lepsze, bo skuteczne, to polskie elity byłyby w stanie – na jego rzecz – odstąpić od obecnie stosowanego, nieskutecznego?

A może należy odwrócić to pytanie: Czy Polska jest w stanie uciec od tej debaty i od zmiany swej antydemograficznej polityki, jeśli nie chce być zmuszona zacząć prognozować datę „końca Polski”? ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Mam schadenfreude

Mam poczucie schadenfreude po zajęciu przez rzecznika generalnego TSUE stanowiska w sprawie umów na kredyty frankowe, co opisywał szczegółowo Jacek Przybylski w poprzednim wydaniu „Do Rzeczy”. Pamiętam butę, z jaką lata temu Krzysztof Pietraszkiewicz, prezes Związku Banków Polskich, występował przeciwko posiadaczom kredytów indeksowanych w CHF. Pamiętam też doskonale wypowiedzi prezesów niektórych banków, którzy zapowiadali, że nie

sowego załamuje ręce nad możliwymi konsekwencjami wyroku TSUE, to mogą winić tylko siebie. Na systemowe rozwiązanie problemu było wiele lat. Nie zrobiono nic. Państwo umyło ręce, a banki bardzo się z tego cieszyły. Jarosław Kaczyński radził chodź do sądu.

Czy jednak nie mają racji ci, którzy twierdzą, że frankowicze są sami sobie winni, bo nie czytali, co podpisują, i nikt im pomagać nie powinien? Abstrahując od nadciągającego orzeczenia TSUE, które z prawnego punktu widzenia miażdży takie stanowisko, bo pośrednio potwierdza nielegalność umów kredytu – przede wszystkim bank to nie kasyno. Za to, jak działały banki, współodpowiedzialność ponosiło państwo. W epoce boomu na franki była to jeszcze Komisja Nadzoru Bankowego, potem dopiero zastąpiona przez KNF. Nieuczciwe praktyki banków powinny być już wtedy zwalczane. Skoro państwo tego nie zrobiło, to znaczy, że pośrednio przyczyniło się do powstania problemu i powinno było wziąć na siebie odpowiedzialność za jego systemowe uregulowanie.

Cóż, fortuna kołem się toczy. Wygląda na to, że teraz to raczej bankowcy będą przychodzić do swoich dłużników po prośbie, byle nie dopuścić do masowego składania pozwów z rujnującym dla sektora bankowego rezultatem. Nie powiem, żebym banków przesadnie żałował. ©

Teraz to raczej bankowcy będą przychodzić do swoich dłużników po prośbie

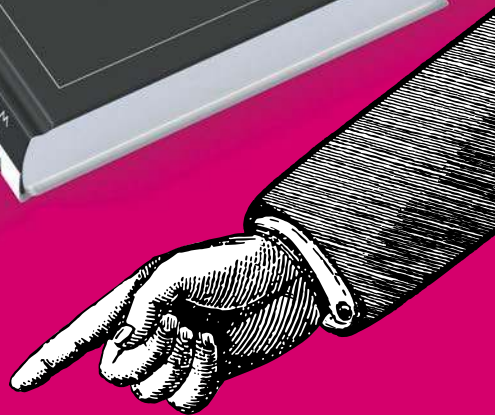
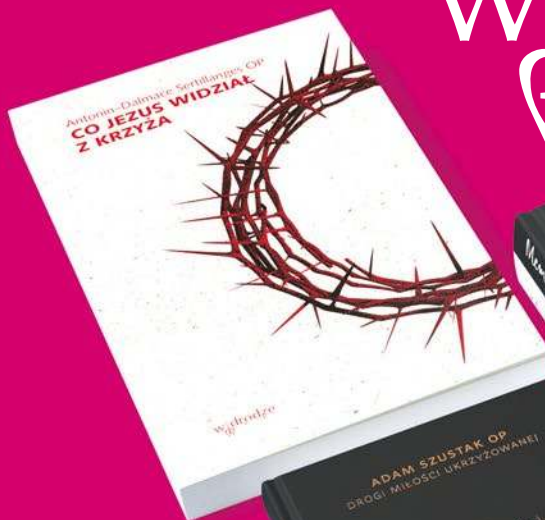
zamierzają żadnych ugód frankowiczom proponować, a w sądzie i tak wygrają.

Teraz okazuje się, że w sądzie nie tylko niemal na pewno przegrają, lecz także że koszty tej przegranej mogą wyrzucić bankowy stolik w Polsce. Stolik, przy którym siedzą bardzo tłuste koty. W ubiegłym roku zysk sektora bankowego sięgnął ponad 13 mld zł i był ponad dwa razy większy niż rok wcześniej. Jak mało gdzie pasuje tu zatem złośliwe powiedzenie: na biednego nie trafiło.

Jeśli dzisiaj płaczą bankowcy, a Komisja Nadzoru Finan-

WIELKOPOSTNA PROMOCJA

w|drodze



PAKIETY
DO PONAD

40% taniej!

SPRAWDŹ SZCZEGÓŁY NA: **WDRODZE.PL**

🐦 📺 📧 wdrodze.pl | sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 61 101 47 27

NASZ TEST: MOTOROLA EDGE 30 ULTRA

Piękny wyświetlacz OLED 144 Hz, solidne wykonanie, wysoka wydajność, dobra bateria, bezprzewodowe ładowanie zwrotne, aparat o rozdzielczości aż 200 Mpix oraz łączność 5G – to największe zalety modelu, który jest perłą w koronie amerykańskiej firmy Motorola.

Wystarczy rzut oka na ten model, aby wiedzieć, że to musi być flagowiec. Jakość wykonania jest bez zarzutu. Klasyczne wzornictwo, łączące metal oraz matowe szkło, sprawia, że Edge 30 Ultra wygląda naprawdę elegancko. Najpiękniejszy w tym smartfonie jest 6,67-calowy wyświetlacz typu OLED o rozdzielczości 2400 x 1080 i częstotliwości odświeżania ekranu wynoszącej aż 144 Hz. Czerń jest czarna, kontrast fantastyczny, a kolory pięknie nasycone.

Motorola nie oszczędzała również na podzespołach ukrytych pod obudową. Sercem testowanego smartfona jest Snapdragon 8+ Gen 1, który współdziała z 12 GB pamięci RAM. Udane połączenie podzespołów z systemem, który jest pozbawiony zbędnych śmieci, sprawia, że smartfon działa błyskawicznie. Świetnie nadaje się więc dla graczy, a także dla miłośników wykonywania wielu zadań jednocześnie. Miejsca na dane jest 256 GB.

Marketingowcy amerykańskiej marki uznali, że wygląd i wydajność to za mało, by rozpychać się na rynku flagowców. Model Edge 30 Ultra jest więc pierwszym na świecie smartfonem, który do robienia zdjęć wykorzystuje aparat ISOCELL

HP1 firmy Samsung z matrycą o rozdzielczości 200 MP.

Jasność obiektywu głównego aparatu wynosi f/1.9. Oczywiście we flagowcu jest również optyczna stabilizacja obrazu (OIS). Poza głównym obiektywem do dyspozycji użytkownika są jeszcze obiektyw ultraszerokokątny (który sprawdza się też w fotografiach makro) oraz portretowy. Jakość zdjęć zrobionych głównym aparatem jest bardzo dobra, a liczba detali robi wrażenie. Pozostałe dwa są gorsze, ale też dają radę. Testowany model nie jest jednak najlepszym smartfonem dla miłośników cyfrowej fotografii.

Czytnik linii papilarnych działa bez zarzutu. Świetnie sprawdza się również bateria o pojemności 4610 mAh z możliwością błyskawicznego ładowania.

Aby uzupełnić w rozładowanym smartfonie energię do 100 proc., wystarczy zaledwie 21 minut. Co ważne: szybka ładowarka o mocy 125 W znajduje się w zestawie (tymczasem niektórzy drożsi konkurenci Motoroli każą klientom ładowarki kupować osobno). Testowany model oferuje również ładowanie indukcyjne (w tym przypadku ładowanie trwa oczywiście dłużej).

Plusem są także głośniki stereo, które jak na swą smartfonową wielkość grają nawet całkiem

przyjemnie i wystarczająco głośno. Na pokładzie są też modem do łączności 5G oraz moduł NFC.

Wady? Niestety, Edge 30 Ultra nie jest wodoszczelna. Spełnia jedynie normę IP52, czyli niewielki deszcz jeszcze przeżyje, ale do wanny lub nad basen zdecydowanie lepiej iść bez tego telefonu. Niektórym brakować może również możliwości rozbudowania pamięci za pomocą kart microSD.

Mimo tych minusów model Edge 30 Ultra jest godny polecenia. Zwłaszcza że stosunek ceny (4499 zł) do jakości wypadła w tym przypadku naprawdę atrakcyjnie. ©© **Jacek Przybylski**



NIESAMOWICIE POJEMNE DYSKI

Rosnąca liczba zdjęć i filmów z wakacji nagranych w wysokiej rozdzielczości, a także coraz większa liczba prywatnych urządzeń, którym co jakiś czas przydałoby się zrobić kopię zapasową, wymaga coraz pojemniejszych dysków, zwłaszcza jeśli ktoś nie lubi przechowywać swoich prywatnych plików w chmurze. Amerykańska firma Western Digital rozszerzyła więc ofertę domowych dysków WD My Book o pojemności 22 TB i My Book Duo o pojemności aż 44 TB. Oba są przeznaczone do pracy stacjonarnej, bo pierwszy z nich waży 1 kg, a drugi aż 2,63 kg. Dane zabezpieczone są hasłem, a pliki mogą

być szyfrowane przy użyciu 256-bitowego klucza AES. Nowe modele mogą współpracować zarówno z Windowsem, jak i macOS. Tanio nie jest. Wariant o pojemności 22 TB kosztuje 3,2 tys. zł, a dwa razy większy aż 8,3 tys. zł.

GLUKOMETR W SMARTWATCHU

Brytyjska firma Afon Technology zaprezentowała glukometr w zegarku, który ma odmienić życie chorych cierpiących na cukrzycę. Urządzenie nie potrzebuje bowiem ani kropli krwi. Do monitorowania poziomu glukozy we krwi w czasie rzeczywistym, bez żadnych opóźnień, Afon Blood Glucose Sensor wykorzystuje mikrofałę o wysokiej częstotliwości oraz sensor RF, który ma być skuteczniejszy od dominujących dziś w smartwatchach sensorów optycznych. Kompletnie nieinwazyjny glukometr ma wejść do sprzedaży już w przyszłym roku. Na razie o cenie jeszcze nic nie wiadomo. ©©

Jacek Przybylski



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Cerkiew obronna w Radrużu



JACEK KOMUDA

Aby zobaczyć, jak w XVII w. wyglądały dawne kościoły i cerkwie na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, należy wybrać się do Radruża koło Horyńca-Zdroju, na granicy z Ukrainą, do cerkwi św. Paraskewy. Jest to drewniana świątynia wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Zachowały się wokół niej mur obronny i wysoka dzwonnica, które pokazują, że 400 lat temu prawie wszystkie kresowe cerkwie i kościoły były ufortyfikowane

i służyły za schronienie miejscowej ludności, stając się punktami oporu przeciwko Tatarom i czasem – jak w 1648 r. – Kozakom.

Głównym elementem obronnym takich miejsc była oczywiście cerkiew otoczona murem – zwykle kamiennym lub drewnianym. Ten w Radrużu powstał wprawdzie ok. 1825 r., ale

pokazuje zasięg starożytnego, zaopatrzonego w dwie bramy. Przy jednej z nich jest domek

diaka, który wprawdzie pochodzi z końca XIX w., ale być może wzniesiony został na fundamentach jakiegoś wcześniejszego dzieła obronnego. Takie kamienne mury obronne nie zawsze wznoszono z użyciem zaprawy. W górskiej części dzisiejszego Podkarpacia były one po prostu układane z kamieni, które uszczelniano gliną i ziemią. W miarę upływu lat mur osiadał i obrastał roślinnością, która spajała jego elementy prawie jak beton.

Niestety, większość tego typu murów nie zachowała się, nawet jeśli przetrwała sama cerkiew. Kamienne fortyfikacje traktowano bowiem – po wywiezieniu części ludności w trakcie akcji „Wisła” – jako darmowe źródło budulca. Przy cerkwi w Radrużu znajduje się zabytkowa dzwonnica, będąca jednocześnie wieżą strażniczą i obronną. Stąd prowadzono ostrzał odstraszaający najeźdźców – Tatarów, Kozaków, a nawet Węgrów.

Cerkiew w Radrużu powstała prawdopodobnie pod koniec XVI w. Jej fundatorem był Jan Płaza, władający starostwem lubaczowskim. W 1583 r. wydał przywilej dla wspomnianej świątyni, jednak nie wiadomo na pewno, czy był to akt fundacji obecnej cerkwi czy jedynie dokument związany z parafią. Nowa cerkiew zbudowana została na miejscu dawnej, wzniesionej być może jeszcze w średniowieczu, ponieważ istnienie Radruża jako osady na prawie wołoskim wzmiankowano w 1444 r.

Zabytkowe jest wyposażenie cerkwi – ikonostas z polichromiami wykonanymi ok. 1648 r., który kolejno upiększały ikony i elementy dodawane do połowy XVIII w. Najstarsza – św. Mikołaja – jest sprzed ok. 500 lat, Carskie Wrota wykonał pod koniec lat 40. XVII w. Zachariasz Tarnohorski z Niemirowa. W 1699 r. mieszkańcy ufundowali ikonę Chrystusa na tronie, w 1742 r. Jan z Hrebennego namalował kolejne – rząd apostołów, Ostatnią Wieczerzę i Mandylion. W 1756 r. w końcowych pracach uczestniczył Andrzej Wyszecki z Jaworowa, który poza wieloma obrazami ozdobił również oba skrzydła wrót diakońskich, a ponadto dwa boczne ołtarze – św. Mikołaja i Zaśnięcia Matki Bożej. Ostatnie elementy przybyły już w XIX w.; jak Boży

Grób ufundowany przez miejscowego proboszcza, ks. Bazylego Sierocińskiego, w 1839 r.

Radruż przynajmniej kilkakrotnie był zagrożony przez najazdy tatarskie, spośród których wymienić należy przynajmniej dwa niezwykle niszczycielskie. Pierwszy w październiku 1620 r., kiedy po rozbiciu armii polskiej pod Mohylowem nad Dniestrem czambuły wpadły na Ruś Czerwoną i Podole, docierając aż do położonego na północ Sokala. W roku 1672 Radruż stał się miejscem walk pomiędzy Tatarami a nielicznymi wojskami hetmana Jana Sobieskiego, który 5 października wyruszył spod Krasnegostawu, rozbijając kolejne czambuły. 6 października przyszedł król pobił dwa oddziały pod nieodległym Narołem, a jego wydzielone chorągwie pogromiły Orde pod Lubaczowem i Cieszanowem, dowiadując się, że główne siły Tatarów pod dowództwem Dżambeka Gereja wycofują się na Niemirow. Sobieski postanowił dopaść ich w marszu – jego jazda rozpoznała Tatarów pod Horyńcem, następnie chorągwie polskie obeszły tylną straż i napotkały w okolicach Radruża główny czambuł. Hetman zdołał go szybko osaczyć, wysyłając chorągiew Romana Linkowicza, który obszedł lasami Tatarów od wschodu oraz ściągając na miejsce pozostałe rotę spod Lubaczowa. W ten sposób ordyńcy znaleźli się w potrzasku; zaatakowani z trzech stron, zostali rozbici. Bitwa miała miejsce na północ od cerkwi, w miejscu, gdzie do dziś znajduje się upamiętniający te wydarzenia krzyż Sobieskiego. Hetman uwolnił 12 tys. jasyru, w tym wiele dzieci. Zginęło kilku murzów, ponoć po bitwie tatarskie trupy leżały wzdłuż wszystkich dróg „na dwie mile znaczne”. ©



FOT. DOMEN PUBLIENNA



I RZECZYPOSPOLITA

Radruż



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Wielki Post

Okres Wielkiego Postu to dla chrześcijan czas duchowego przygotowania się do świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Uważamy, że 40-dniowy post to doskonały moment, aby podjąć decyzję o samoograniczeniu, redukcji i powściągliwości w diecie. Niegdyś w tym czasie nie spożywano mięsa, a nawet produktów odzwierzęcych – jajek, mleka, masła i serów, a także alkoholu i słodczy. Ten czas traktowano naprawdę wyjątkowo – spożywano głównie dania mączne, dużo warzyw oraz ryby, szczególnie śledzie w oleju. Poza tym pamiętano o modlitwie i jałmużnie.

My proponujemy, aby w okresie postu stosować przynajmniej tzw. post przerywany, czyli intermittent fasting. Jest to model żywienia oparty na tzw. oknie żywieniowym, w którym wolno nam jeść. Oznacza to, że pokarmy przyjmujemy tylko podczas ośmiu godzin w ciągu dnia, a przez pozostałe 16 godzin pościmy, będąc tylko na wodzie, czarnej kawie, herbatce (zakazane są również herbatki owocowe) i naparach ziołowych, oczywiście bez dodatku cukru i słodzików. Bardziej wymagający i zawzięci mogą zastosować model 6/18 albo nawet 4/20. Jednak nie należy przesadzać i warto zacząć od postu 8/16.

Czas 16 godzin (wlicza się w to także sen) bez jedzenia pozwala naszemu organizmowi porządnie strawić to, co zjedliśmy, i wejść w tzw. fazę aerofagii – stanu, kiedy organizm zaczyna się odżywiać wewnętrznie. Sprzyja to zdrowieniu, bo – jak twierdzą niektórzy dietetycy – zjadamy

nasze uszkodzone komórki. Jeśli ograniczymy dodatkowo spożywanie mięsa i słodczy, to efekt zdrowotny będzie doskonały. Jednak IF jest dla osób zdrowych; najlepiej skonsultować ten model żywienia z lekarzem. Na naszym talerzu aż 75 proc. produktów powinny stanowić warzywa. Posiłki powinny być zbilansowane tak, aby nie doprowadzić do niedoborów. Pamiętajmy o kaszach i strączkach, czyli alternatywach dla białka pochodzącego z mięsa. Powinniśmy wykorzystywać produkty dobrej jakości i jak najmniej przetworzone.

Makaron z soczewicą i grzybami

- 20 dag suchej soczewicy (czerwona lub zielona)
- 2 cebule
- 1 łyżka masła
- 1 opakowanie słodkiej 30-procentowej śmietanki 150 ml
- szklanka bulionu warzywnego (może być rozpuszczona kostka warzywna)
- 5 dag suszonych grzybów i 30 dag świeżych lub mrożonych grzybów (podgrzybków)
- sól
- pieprz świeżo mielony
- świeża natka do posypania
- tarty parmezan
- opakowanie makaronu (według uznania: wstążki, kokardki itp.)

Grzyby suszone płuczemy i namaczamy w szklance wody z dodatkiem masła i gotujemy do miękkości. Na rozgrzanej oliwie podsmażamy posiekaną cebulę, dodajemy suszoną soczewicę, po kilku minutach podlewamy bulionem, dodajemy posiekane grzyby mrożone i gotujemy, następnie dodajemy posiekane grzyby suszone i gotujemy jeszcze kilkanaście minut do miękkości składników. Na koniec podlewamy wszystko śmietanką i chwilę czekamy, aż zgęstnieje. Podajemy posypane świeżą pietruszką i parmezanem. Smacznego! ©©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



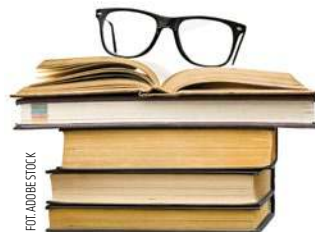
JOANNA BOJAŃCZYK

Czego nie wiedzieć

Czytam obecnie książkę Michaela Wooda „Chiny. Portret cywilizacji i ludu”. Każdy, kto chce coś zrozumieć z Chin (i co zrobią z nami ci Chińczycy), powinien ją przeczytać. Jednak nie jest to łatwe.

Jestem na stronie 136 i ledwo doszłam do 210 r. p.n.e. Strach pomyśleć, co będzie dalej. Zrobiłam skok, żeby dojść choć do dynastii Tangów, to przynajmniej między VII a XX w. naszej ery... Książka jest tak gęsta i tak wypełniona faktami, nazwiskami, nazwami geograficznymi, że nawet się nie wysilam, żeby je zapamiętać. Z przeczytanych poprzednio książek o Chinach, wprowadzie beletrystycznych, autorki chińsko-brytyjskiej Jung Chang zapamiętałam w gruncie rzeczy tylko rudymentarne fakty, lecz prawie żadnych chińskich nazw.

Tylko czy ja muszę to wszystko pamiętać? Wczoraj przy kolacji mój wzrok padł na stronę miesięcznika „National Geographic”, otwartą przez męża (czytał przy jedzeniu, wstyd się przyznać), a tam na artykuł: „Skąd się biorą pierścienie Saturna”. No właśnie, skąd? Oczywiście nie mam pojęcia. Ale też nie bardzo chcę się tego dowiedzieć, ponieważ astronomia interesuje mnie umiarkowanie. Więc czy muszę to czytać? Trochę dalej na stole leży obecna lektura męża: „Kaputt” – to podbarwione fikcją opowiadania z drugiej wojny światowej, słynne (podobno) dzieło Włocha Curzja Malapartego. Rosja, Bałkany...



Mąż zachęca. Ale czy muszę to wiedzieć? Wojnę światową znam z powieści dziadków oraz historii. Na razie starczy.

Zapamiętałam słowa Czesława Miłosza, które powiedział, mieszkając już parę lat w Kalifornii. Mówił o amerykańskiej rzeczywistości medialnej, która przecież wtedy – w latach 60., 70. – była nieporównywalna z tym, co mamy teraz, kiedy dławimy się od nadmiaru bodźców. „Jest tego tyle, a my nie możemy tego wszystkiego zrozumieć, zapamiętać, przeżyć. Nawet nie ma sensu próbować”.

No właśnie. Jest tyle książek, tyle gazet, tyle wiadomości. Co wybrać? Jeśli chodzi o wybór lektur, to dawno zdecydowałam, że nie będę czytać współczesnych powieści. Zatrzymuję się na 20-leciu międzywojennym, no może jeszcze parę lat powojennych. Polscy autorzy. Dzienniki, listy, biografie, tylko fakty, żadnego zmyślenia. Tak, to jest ograniczenie. Nie czytać Twardocha, Sapkowskiego, nie znać tych młodych autorek, które piszą o traumach dzieciństwa, o przemocy, alkoholizmie, molestowaniu i strasznej Polsce.

Dziękuję. Wystarczą „Wysokie Obcasy”. Których także nie czytam. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Innego końca pandemii nie będzie

Tak właściwie to się zastanawiam – czy to koniec COVID czy nie? Na swoim blogu już mam na liczniku ponad 1080 dni pandemii, od kiedy ją ogłoszono do dziś, do kiedy jej nie odwołano. W odbiorze społecznym jest już po wszystkim, ale z paroma zastrzeżeniami.

Większość, która uważa, że już po COVID, to ci, którzy dopiero teraz skonstatowali, że się dali zrobić – i maseczkowo, i szczepiennie. Ci będą szczególnie ochotnie uważali, że to już po kłopotcie, by zapomnieć, na co pozwolili innym z ingerencją w ich własne życie. Pewna frakcja będzie co prawda trzymała wysoko sanitarystyczną gardę z powodu strachu. Można ją rozpoznać po maseczkach w sferze publicznej. Ja co prawda stawiam tezę, że wszelkie obostrzenia co do tempa ich implementacji zależą od wyników społecznego przyzwolenia, mam więc co do obostrzeń stosunek taki, jak do marketingu, nie do potrzeb medycznych. Fakty są nieubłagane: 8–10 proc. zaszczepionych czwartą dawką to dowód na to, co naród o tym wszystkim myśli. Czyli koniec właśnie wchodzącej nie wiadomo po co dawki piątej.

Co do końca pandemii – to wszyscy myśleli, że pewnego dnia wyjdzie, powiedzmy, premier i powie „koniec”. Okazało się, że wszystko będzie się pokazywać w sferze jakiejś

niedookreśloności. Bo jak zdefiniować koniec pandemii? Zero zakażonych? Toż to religia „zero COVID” z reperkusjami jak w Chinach. Poza tym – absurd. No bo przecież nie da się wyeliminować wirusa w ogóle. Jednak odwołanie pandemii, kiedy ten wirus istnieje, przeczy z drugiej strony wszelkim dotychczasowym narracjom. Skoro taki szybki w transmisji i okrutny w zgonach gagatek, to walczyliśmy z nim do ostatniego żołnierza, straszyliśmy, że każdy pozostawiony zakażony to wylegarnia pandemii, to jak teraz odwołać, skoro licznik (fałszywie pozytywnych) zakażeń w testach wciąż bije?

Coś mi się wydaje, że nie będzie tego dnia, w którym powiedzą nam, że to koniec. Nawet nie chcę spekulować, jak dużo w tym przeciąganiu różnych interesów. Uważam, że nie będzie dnia końca pandemii ogłoszonego oficjalnie. Taki fakt pośrednio zmuszałby do analiz, bilansu zamknięcia i ewaluacji postępowania władz w okresie pandemicznym. I musi on być nieszczególny, gdyż z powodu tego bilansu władze nie chcą dopuścić do momentu rozliczeń. Mało tego – przewidując ten etap, prokurują fałszowane własne próby bilansowania COVID w różnych płaszczyznach. To inwestycja w przyszłe uniknięcie odpowiedzialności. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Obrońca prawdy

20 lutego zmarł prof. Stanisław Grygiel. Filozof, filolog, wykładowca uniwersytetów europejskich i amerykańskich. Doktorat uzyskał pod okiem Karola Wojtyły i z inicjatywy Jana Pawła II od 1982 r. współtworzył w Rzymie Instytut dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną.

Nasilający się z każdym rokiem tego pontyfikatu „wiatr zmian” nie ominął Instytutu. Nie tylko zabrakło w nim miejsca dla profesora, lecz także dla kierunków, które miały kontynuować katolicką naukę o małżeństwie, płciowości i seksualności.

Prof. Grygiel był jednym z tych, którzy porządkowali świat. W czasie zamętu w Kościele rozmowa z nim była jak przetarcie okularów. Oczyszczał, ustawiał na swoim miejscu, sięgał do fundamentów. Nazywał rzeczy po imieniu i nie lekceważył okazji, by dać świadectwo Prawdzie. W wywiadzie, którego udzielił mi w 2021 r., po otrzymaniu nagrody Totus Tuus, mówił, że Europa ma dwa początki: „Jeden w Grecji, na Areopagu, a drugi w akcie Odkupienia w Jerozolimie na Golgocie. Na Areopagu Europa uczyła się pytać o prawdę. Dziś się już nie pyta o prawdę. Mało kto o nią pyta. Myśmy się tego nauczyli w Atenach. I dlatego Areopag jest początkiem Europy w znaczeniu filozoficznym, kulturowym. Ale tam, na Areopagu, św. Paweł, kiedy przemawiał, w jed-

nej świątyni znalazł ołtarz, na którym było napisane: »nieznanemu Bogu«. Pytanie o prawdę, która nie jest jedną z wielu prawd, jest w gruncie rzeczy już sieganiem w stronę Boga. Nieznanego Boga. I teraz przychodzi drugi początek Europy: objawienie tej prawdy w osobie Chrystusa, zapowiedzianej przez proroków. To jest Jerozolima, Golgota, krzyż i pusty grób. To wszystko idzie razem.

Unia Europejska, jej rządcy, odcięli Europę od tych dwóch początków. Ja to nazywam »apostazją brukselską«: od Golgoty i od Areopagu. Papież miał nadzieję, że takie kraje jak Polska, tacy ludzie, którzy wierzą w ten początek, jeszcze potrafią zmienić coś, żeby UE powróciła do Europy. Bo w gruncie rzeczy ona jest antyeuropejska. Dzisiejsza Europa to jest liberalizm ściśle sprzęgnięty z marksizmem, jeżeli chodzi o zasadę, że praxis decyduje o prawdzie, o dobru, o złu, o prawdzie, o fałszu. Oni zapomnieli, że czasem jeden ma rację, a wszyscy nie mają racji. Ten stan jest bardzo bolesny, ale nadzieja, ta prawdziwa, chrześcijańska, mierzy w przyszłość, którą jest Bóg. I dlatego przed człowiekiem Wiary i Nadziei zawsze jest przyszłość, nawet kiedy go zabijają. Jego można zniszczyć, ale nie można go pokonać, bo on ma przyszłość przed sobą, którą jest Bóg. W imię tej przyszłości Jan Paweł II powtarzał ciągle ludziom słowa Chrystusa: nie bójcie się, nie lękajcie. Jam zwyciężył świat”. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Normalnie groza

Ztego Bidena to tak się śmiali, że slipi Dżon, slipi Dżon i że w ogóle on nie wie, co wokół niego ma miejsce w wydarzeniach, a tutaj sobie pan przyjechał, sobie nie spał 26 godzin, sobie popodróżował do Kijowa i Rzeszowa, i Warszawy jak kowboj jakiś i sobie poprzemawiał. Stop. Ukraińcom w serca wiał wielkie nadzieje, a w czasie wystąpienia w Warszawie powiedział, „nic nie powiedział” – jak podsumował Jarosław Kaczyński, z czym zgodzić się należy, niestety. Stop. My sobie tak czekaliśmy, że jakiś padnie konkret, że rola Polski urośnie, bo przecież dużą część ciężaru wojny bierzemy na siebie, nie ma co kryć. Stop. Ale jakoś konkret paść nie chciał, co robić. Stop. Jest w Bidenie jednak daleko coś podwójnego i czytać należy wszystkie jego ruchy słowa z uwagą naprężoną. Stop. Być może najważniejsza z wizyty (tak przynajmniej chce Tusk Donald) była audyencja schodowa, której Biden udzielił na schodach właśnie bardzo esencjonalnie, gdyż trwała 45 sekund, Tuskowi Donaldowi i Trzaskowskiemu Rafałowi. Stop. Tak zrelacjonował na Twitterze nauszny świadek, sam Donald: „Joe Biden krótko i dosadnie: Donaldzie, będziemy bronić solidarnie wolności i demokracji. Zawsze i wszędzie”. Stop. A proszę bardzo, z tego już w zasadzie można wysnuć wniosek, że Joe będzie głosował na Donalda. Stop.

Że co, że nie może? Cóż jest niemożliwego dla Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej? Przecież to mocarstwo nawet przegrało wojnę w Afganistanie. Stop.

Zatrzymali policjanci aktora Antoniego Królikowskiego, młodego i znanego, jak jechał samochodem i podobno był pod wpływem narkotyków. Stop. Na szczęście nikomu nie zrobił, a potem powiedział, że on się tymi substancjami leczy. Stop. Nie przesądzać niczego, gdyby prawdą było, że przy naszym kiepskim NFZ policja zabrania leczenia, byłby to nieprawdopodobny skandal. Stop. W tym tygodniu komendant główny policji nie zrobił nic spektakularnego. Stop. Czekajmy.

Miała miejsce taka akcja trochę polityczna, że jak wyszło na jaw, iż dalekosiężnym celem Rafała Trzaskowskiego może być zakazanie warszawiakom mięsa (Rafał się wypiera), to politycy głównie prawicy robili sobie zdjęcia w restauracjach przy stekach i schabowych i informowali, że sobie mięsa odebrać nie dadzą. Stop. Natychmiast jednak spotkali się z tsunami krytyki, że oni jedzą mięso, a np. w szpitalach posiłki biedne. Stop. Jak tak dalej pójdzie, strach będzie pójść do knajpy czy kupić sobie coś droższego, bo zaraz ktoś powie, że kogoś nie stać. Normalnie groza! Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Dehnel i tryumf porno

Małgośka – mówią mi – Michniki zrodziły Dehnela, a teraz Dehnel z tą samą satysfakcją wyżywa się zarówno na Michniku, jak i na Terliku! A ja pytam: Cóż w tym dziwnego, że rewolucja pożera własne dzieci? Obaj ostatnio zbyt mało kolaborowali z lewactwem, to dostali fangę w nos od pana literata. Nie wyrabiają norm w ściganiu zbrodniomyśli, nie widzą milionów represjonowanych przez Kościół, to będą musieli złożyć samokrytykę lub odejść na emeryturę.

Iprzysięgam, że dla mnie byłaby to dobra wiadomość, bo nigdy nie byłem fanką ani Michnika, ani Terlikowskiego. Ten pierwszy jednak swoje osiągnął, ten drugi zaś łapczywie szuka zasięgów, jakby się urwał z Pudelka. Zgodnie z logiką kazania rekolekcyjnego: komu więcej dano, od tego więcej wymagać należy. I nie chodzi tu o coraz „więcej” bywania, komentowania i zdjęć z żoną Małgosią na Facebooku (czemu zdaje się hołdować Terlikowski), ale zwyczajnie więcej o wierności wobec tego, co się kiedyś głosiło.

Ciekawie będzie obserwować, jak nowi hunwejbini za podszeptem Dehnela zajmą się obydwojoma panami, zanim oczywiście przyjdą po nas! Czytam Dehnela i zastanawiam się, czy jakby miał władzę, to wtrąciłby nas, katolików, do jakiegoś rezerwatu czy od razu gilotynował? Jeśli dla lewicy dekapitacja

30-tygodniowego dziecka w łonie matki jest tylko usuwaniem zygoty, to dlaczego nie mieliby się posunąć do dekapitacji swoich adwersarzy? Na razie Dehnel marzy za ledwie o jakimś obozie reedukacyjnym dla arcybiskupa: „Gdyby Jędraszewski musiał podkasać koronki i zamiatać przez miasec ulice, to może by na drugi raz się powstrzymał” – ogłasza pan literat. Może nawet zamieniłby swoją łaskę na pejczyk, aby motywować krnąbrnych biskupów do zmiatania?

Jedno, co wiem na pewno, to że w świecie urządzonym przez Dehnela wołałabym być ostatnim zamiataczem ulic niż gościem w jego nikczemnym salonie. I drugie, co wiem na pewno, to to, że umizgi Terlikowskiego wobec salonowców są żalosne, bo nie tylko nie nawrócą tamtych, lecz także zmieczą przede wszystkim tych, którzy dotąd mieli mocne przekonania o tym, co święte, a co cuchnie siarką.

Dehnel i spółka będą zapewne intensyfikować żądania do ekstremum: od homoseksualizmu przez transseksualizm do panseksualizmu i zoofilii (jak w Hiszpanii). Przecież prawa rozporka ponad wszystko! A kto neguje prawa rozporka, ten neguje prawa człowieka! Mrozek zapisał w „Dzienniku powrotu”: „Tryumf pornografii: dupa podnosi głowę”. Który literat jest najlepszym rzecznikiem owej dupy? Państwo sobie dośpiewają już sami... ©©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kto jest pontifexem?

Tytułowe pytanie nie dotyczy kwestii urzędu papieża Franciszka, który zresztą ostatnio deklarował wolę twardego utrzymania cugli władzy jako pontifex maximus i na żadną emeryturę się nie wybiera. Wielki kapłan to w swoim źródłosłowie budowniczy mostów. Usłyszałem ostatnio ten piękny termin na konferencji w Berlinie, znakomicie zorganizowanej przez Europejską Sieć Pamięć i Solidarność, od lat działającą na rzecz upamiętniania XX-wiecznej historii narodów i państw europejskich. Konferencja poświęcona była „polityce pamięci jako broni” – z perspektywy rosyjskiej agresji na Ukrainę. Na sympozjach w Niemczech, w których uczestniczyłem w ostatnich latach, Polska nierzadko była ustawiana w roli „chłopca do bicia” za swoje odwieczne grzechy „nacjonalizmu”, „łamania praworządności” i „rusofobii”. Tym razem tak nie było. Przeważało poczucie, że to Polska i inne kraje z naszego regionu, takie jak Litwa, Łotwa czy Ukraina, miały rację w rozpoznaniu rzeczywistego zagrożenia imperialną polityką Moskwy.

Niemieccy gospodarze, a było wśród nich sporo polityków (raczej z Zielonych i FDP, tj. partii obecnej koalicji rządowej, ale raczej krytycznych wobec pro-rosyjskiej w istocie linii, której tak długo trzymał się kanclerz z SPD) i dziennikarzy, bili energicznie brawo, gdy pierwszy mówca konferencji, profesor historii Ukrainy z uniwersytetu we Frankfurcie nad Odrą, Andrij Portnov, bez ogródek krytykował zafiksowanie niemieckiej wyobraźni tylko na Rosji, tak jakby nikt inny na wschód od Niemiec nie istniał. W pewnym momencie jednak prowadząca jeden z paneli niemiecka dziennikarka nie

wytrzymała. Przypomniła stałe bezinteresowne, szlachetne dążenie Niemiec, wynikające z ich pozycji na mapie naszego kontynentu: dążenie do budowania mostów między Europą a Rosją, czyli między Niemcami a Rosją. Ze wzrokiem zranionej łani zadała retoryczne pytanie: „A cóż złego jest w budowaniu mostów?”. Pozwoliłem sobie odpowiedzieć: jeśli budujecie most między Niemcami a Rosją, to zapytajcie może również o zdanie ludzi, którzy mieszkają pod owym wspianym mostem – Polaków, Litwinów, Ukraińców, Łotyszy...

Most budowany w niemieckiej wyobraźni (a także całkiem realnie – w postaci kolejnych rur Schrödera-Putina) do Rosji nie przebiega nad przepaścią czy nad rwącą rzeką, tylko nad miejscem historycznego zamieszkania kilku czy nawet kilkunastu europejskich narodów. Kanclerz Merkel konsekwentnie używała, podobnie jak większość prasy niemieckiej, określenia „Rosja, nasza największa sąsiadka na wschodzie”, jakby zapominając, że od 1945 r. Niemcy w żadnym miejscu na mapie nie sąsiadują z Rosją. Pani kanclerz z dumą trzymała na swoim biurku portrecik Katarzyny II – jako wzoru kobiety, skutecznej „polityczki”, do tego Niemki, która symbolizować może najdoskonalej owe „mosty” niemiecko-rosyjskie. I, owszem, to właśnie Katarzyna, podejmując decyzję o rozbiorach państwa polsko-litewskiego do spółki z dwoma niemieckimi partnerami, skróciła ów „most” do bezpośredniego przejścia granicznego między Rosją a Prusami. Ale już takiego przejścia nie ma. Ukraina przypomniła teraz, swoim twardym oporem wobec próby militarnego narzucenia jej moskiewskiego panowania, że są tutaj inne jeszcze państwa i narody,

które nie chcą, by decydowano o ich losie ponad ich głowami.

Jak już pisałem w „Do Rzeczy”, po stronie rosyjskiej nie wygasa ochota do „budowania mostów” w stronę Berlina, a nawet dalej – do Paryża, byle tylko uniknąć pytania o zdanie przedstawicieli tych paskudnych, wschodnioeuropejskich „etnokracji”. Czy po chwilowym załamaniu współpracy przy wznoszeniu owych mostów nastanie czas „pontifexów”, którzy zechcą znów nas, ludzi spod mostu, pouczać z wysokości swej pięknej budowli? To zależy: od postawy Ukraińców na froncie, od Ameryki – czy zechce nadal inwestować w budowanie Intermarium, ale także od nas. Czy będziemy gotowi mówić swoim głosem czy tylko powtarzać będziemy kwestie, które podyktują nam kapłani nowego wspianego świata z Berlina, Brukseli, Paryża czy z Waszyngtonu.

O tym, że warto mówić swoim głosem, przekonać można się było w miejscu, w którym odbywała się wspomniana konferencja: to otwarte w 2022 r. Muzeum/Centrum Dokumentacji Przesiedleń, Wypędzeń i Zgody. Taką nazwę nosi instytucja, którą wymarzyła sobie przed 20 laty Erika Steinbach jako centrum pretensji do Polaków zwłaszcza, a także Czechów, za los Niemców wypędzonych z Europy Wschodniej po klęsce Hitlera. Lata protestów polskich, uporczywego dopominania się o uwzględnienie istotnego kontekstu tych wypędzeń, to jest agresji i zbrodni niemieckich w czasie drugiej wojny, przyniosły skutek. Myślę, że pani Steinbach byłaby z kształtu wystawy tego muzeum bardzo niezadowolona. Polski odwiedzający – przynajmniej niżej podpisany – nie znajduje tu żadnych powodów do protestów w imię historycznej prawdy. Głos ludzi spod mostu został wysłuchany. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mam dwie szybkie refleksje po wystąpieniu prezydenta USA w Warszawie: Przyjechał, żeby załatwić interesy: 1) Powiedział, że po-handlujemy (broń, elektrownie jądrowe) i 2) będziemy w ścisłej współpracy (bazy NATO na terenie RP, ale... pod kontrolą USA), za co Polska chętnie i bez targowania się zapłaci, ile tylko Ameryka sobie zażyczy.

Dlaczego Polska płaci bez targowania się? Bo Morawiecki nie ma NIC w rękawie, czym mógłby szachować USA – żadnego lewara. A poza tym dżentelmeni o pieniądzach nie rozmawiają, a Morawiecki jest dżentelmenem, bo to nie są jego osobiste pieniądze, czyli może wydać dowolne kwoty, które zadowolą Bidena. Ameryka jest naszą JEDYNĄ opcją i Ameryka to wie, więc trzyma nas za gardło oraz za to, co każdy chłop ma poniżej pasa. Albo kupujeta, albo was wystawimy tak samo jak w Jacie. A gdybyśmy was wystawili, to... macie Putina w Warszawie. Wolicie Putina czy Bidena? Poprzednio dostaliście „w prezencie” Stalina. Czyli jak będzie teraz, Polaczki?

W oczywisty sposób wybieramy Bidena, który trzyma nas za gardło i za klejnoty rodowe, bo wolimy to niż Putina, który nam utnie zarówno pierwsze, jak i to drugie, podobnie jak to zrobił Stalin za PRZYZWOLENIEM Ameryki. Biden to wie, Morawiecki to wie, więc tańczymy, jak Ameryka zagra, bo doprowadziliśmy się do sytuacji takiej, że nie mamy żadnej drugiej opcji poza Ameryką oraz nie mamy żadnych lewarów na Amerykę.



Czyli Biden powiedział w Warszawie: „Buy Then” & „Bye Then”. W tłumaczeniu: „No to płać i potem won”.

Biden powiedział też w Warszawie, że „Kijów trzyma się mocno”. I powiedział to na tle flag ukraińskich powiewających pod zamkiem polskich królów. Nie ma w protokole dyplomatycznym takiej procedury, że flagi trzeciego państwa powiewają w trakcie wizyty bilateralnej. Nie padły słowa, że „Warszawa trzyma się mocno”. I nie ma takiej procedury dyplomatycznej pomiędzy państwami równorzędnymi, że wejściówki na imprezę w Warszawie rozdaje i zatwierdza ambasada USA, a nie dowolny organ POLSKI.

Zawsze byłem za współpracą z USA! Jeszcze w stanie wojennym, gdy prezydentem US był Ronald Reagan, a dyktatorem w PRL Jaruzelski (ja zaś byłem nastolatkiem i odkrywałem swoje poglądy polityczne). Za współpracą z USA byłem nawet za czasów tego zbrodźcy Clintona, który gwałcił kolejne kobiety, a moja ukochana Ameryka zamiatała to pod dywan. Potem byłem za współpracą z USA za czasów antyamerykańskiego prezydenta Obamy, za czasów patriotycznego Trumpa i jestem nadal – za czasów Bidena. ALE „współpraca” składa się z dwóch elementów: „współ-” oraz „praca”, a obecnie mamy do czynienia ze słowem „wydupczyć” Polskę

na kasę, a potem zostawić na pastwę.

W mediach amerykańskich wizytę Bidena w Polsce zakryła całkowicie wizyta Bidena w Kijowie. Nic w tym dziwnego i to nie jest złośliwość amerykańskich mediów wobec Polski, lecz rzeczywistość – Realpolitik. Dudy nie zna nikt, Zełenskiego wszyscy. Wojna toczy się na Ukrainie, a nie w Polsce. Forse amerykańskich podatników pompuje się miliardami do Kijowa, a nie do Warszawy, a Amerykanów interesuje ich FORSA, a nie układy polsko-amerykańskie. Więc my, Polacy, możemy sobie odbierać wizytę Bidena w Warszawie jako kluczową, ale reszta świata jako kluczową odbiera wizytę w Kijowie.

Pierwszy komentarz po wizycie Bidena w Warszawie, jaki znalazłem w USA, był taki: „20 marca obchodziliśmy w USA Dzień Prezydencki [odpowiednik polskiego Dnia Flagi – przypis WC]. Biden był wtedy w Kijowie zamiast w Waszyngtonie, a Zełenski nawet nie założył garnituru z krawatem, aby przywitać prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Bierze naszą forse ubrany w dresy, ale Biden oddaje naszą forse pod krawatem. Obrażliwe! America Last!!! [Odwrotność hasła Donalda Trumpa: America First! – przypis WC].

Mieszkam w USA wystarczająco długo, by wiedzieć, jak bardzo Amerykanie zwracają uwagę na strój. Na co dzień możesz ubierać się, jak tylko chcesz, a nawet chodzić na golasa – w USA cenią wolność osobistą, więc nikt nie powie złego słowa Murzynce, która wchodzi do Walmarka w piżamie i kapciach. Ale od święta zakładasz garnitur i każdy to wie! Garnitury do założenia, „gdy idzie się z wizytą”, mają tu nawet najgorsze lumpy i biedota. A kto mi nie wierzy... niech jedzie do... Konga. Filmowałem tam „Boso przez świat” i nawet w tej zapyziałej części Afryki wiedzieli, że gdy się idzie w gości, gdy się idzie „do ludzi”, wypada się ubrać elegancko. Kwestia szacunku dla osoby, z którą się spotkasz.

A gdyby z wizytą przyjechał prezydent USA, to tym bardziej! A gdy prezydent USA ma ze sobą dodatkowo walizkę forsy wartą pół miliarda dolarów, to jeszcze bardziej – WYMAGA SIĘ GARNITURU. Tak to odbierają Amerykanie. Brak garnituru to chamstwo i tyle. Takim chamstwem legitymowali się Fidel Castro i Mao. Nawet ruski prymityw Chruszczow, który walił śmierdzącym buciorem w pulpit w trakcie przemówienia przed Narodami w ONZ, miał na sobie garnitur i krawat.

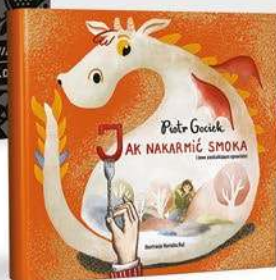
Biden w Kijowie był przyjmowany w pałacu, gdzie były piękne zabytkowe meble, doskonałe ściany, drzwi o złotych klamkach, a w oknach draperie. Czyściutko. Na schodach dywany odkurzone i płonące kolorami; pomimo wojny, nalotów, kurzu dymiącego z gruzów. I Biden pofatygował się tam w garniturze – tyle po wizycie w Warszawie pamiętają Amerykanie. Po wizycie w Warszawie pamiętają, że był w Kijowie. ©©

FOT. W. CEJROWSKI / D. JARUSZKIEWICZ

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

PIOTR GOCIEK:
„CZARNE BATALIONY 2.0”
i „JAK NAKARMIĆ SMOKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~983~~ ZŁ

345,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 638 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpmg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 9a77d2b09f

Jesteśmy jednym z największych producentów szczepionek na świecie

W naszym portfolio znajduje się obecnie ponad 20 szczepionek od lat stosowanych w profilaktyce:

- krztuśca, tężca i błonicy u dzieci i dorosłych
- odry, świnki i różyczki
- zakażeń WZW A i B
- WZW B u osób dializowanych
- pneumokoków dla dzieci
- meningokoków B i ACWY
- rotawirusów
- haemofilus influenzae
- wirusa brodawczaka ludzkiego
- polio
- półpaśca i ospy wietrznej
- wścieklizny
- grypy
- malarii

Jesteśmy wynalazcą platformy systemów adjuwantowych stosowanych w szczepionkach przeciwpandemicznych COVID-19, HPV i WZW B.

Każdego roku dostarczamy pacjentom w Polsce prawie 3 miliony dawek szczepionek zabezpieczając zdrowie osób w każdym wieku – niemowląt, dzieci i młodzieży, osób dorosłych oraz seniorów.

20+

szczepionek
w portfolio

~3 mln

dawek dostarczanych
każdego roku dla polskich
pacjentów

4 na 10

dzieci na świecie otrzymuje
każdego roku szczepionkę
GSK

Źródło: na podstawie raportu „GSK w Polsce. Innowacyjna firma biofarmaceutyczna. PARTNER POLSKIEJ GOSPODARKI”, sierpień 2022

Luty 2023, SUPP-2300507